

STEVEN BURST

Teckla

Trzeci tom serii Vlad Taltos

ILLUMINATION

* * *

Oto miasto: Adrilankha, Whitecrest.

Stolica i największe miasto Imperium. Zawiera wszystko, co składa się na owo Imperium, tyle że w znacznie bardziej skoncentrowanej formie niż gdziekolwiek indziej. Waśnie wewnątrz siedemnastu Domów i między nimi są tu gwałtowniejsze i wybuchają z błahszych powodów. Lordowie z Domu Smoka biją się dla honoru, lordowie z Domu Ioricha dla sprawiedliwości, członkowie Domu Jherega dla pieniędzy, a Dzurowie-bohaterzy dla przyjemności.

Jeśli w trakcie tych waśni zostanie złamane prawo, poszkodowany może zwrócić się ze skargą do Imperium nadzorującego te spory z bezstronnością godną Lyorna sędziującego w pojedynku. Ale organizacja będąca w praktyce Domem Jherega działa nielegalnie, toteż Imperium nie może i nie chce ingerować w prawa i zwyczaje nią rządzące. A prawa te, choć niepisane, także bywają łamane. . .

Wtedy ja biorę się do roboty.

Bo jestem zawodowym zabójcą.

* * *

Cykl

*Feniks ponownie rozpada się w kurz,
Smok groźny na łów wyrusza już.
Lyorn dziś warczy, opuszcza róg,
Przed tiassy snami umyka wróg.
Sokoła na niebie znak wartownika,
Dzur cieniem przez noc przenika.
Issola uderza zdradziecko i cicho,
Tsalmoth jak żyje, wie tylko lichy.
Valista na zmianę niszczy i stwarza,
Cichy iorich zna, nie powtarza,
Jhereg tym żyje, co ma po innych,
Chreotha plecie sieć na niewinnych.
Yendi wystrzela zabójczym splotem,
Jhegaala co robi, dowiesz się potem.
Athyra w myśli milczkiem się wkrada,
Strachliwa teckla w trawach jak zjawia.
Orka przemierza podmorskie gaje,
A szary Feniks z popiołów wstaje.*

Wstęp

Wieszcza znalazłem trzy przecznice w dół Undauntry, kawałek poza moim terenem. Ubrany był w biel i błękit Domu Tiassy, ale z wyglądu nie przypominał uskrzydłonego dzikiego kota. Nieuskrzydłonego i niedzikiego zresztą też nie. Urzędował w klitce nad piekarnią, do której można było się dostać jedynie długimi, stromymi schodami usytuowanymi między dwiema ścianami, które dawno straciły tynk. Schody o zreumatyzowanych stopniach prowadziły do spróchniałych drzwi, za którymi znajdowało się pasujące wnętrze. No cóż, nikt mnie nie zmuszał, żebym tu przyszedł. . .

Nie wyglądał na zajętego, więc rzuciłem mu dwa złote imperiale na stół i usiadłem naprzeciwko na lekko chwiejnym ośmiokątym stołku. Tak na oko był trochę za stary — wieszcz, nie stołek, bowiem oceniłem go na tysiąc pięćset lat.

Przyjrzał się dwóm jheregom siedzącym na moich ramionach i zdecydował, że nie jest zaskoczony.

— Człowiek — odezwał się.

Spostrzegawczy.

— I Jhereg — dodał.

No, wręcz geniusz bystrości.

— Jak mogę panu służyć? — spytał.

— Ostatnio stałem się posiadaczem większej gotówki, niż marzyłem — wyjaśniłem. — Żona chce, żebym zbudował zamek. Mógłbym kupić wyższy tytuł: obecnie jestem baronetem. Albo mógłbym użyć tych pieniędzy, by rozkręcić interes. Jeśli zdecyduje się na to ostatnie, ryzykuję konflikt z niezadowoloną konkurencją. Jak poważny byłby to konflikt? Tego chciałbym się dowiedzieć.

Oparł prawą rękę o blat, a podbródek o dłoń tej ręki, zaś palcami lewej zaczął bębnić po stole, nie spuszczając ze mnie wzroku. Nie ulegało wątpliwości, że wiedział, kim jestem, co nie było zbytnim osiągnięciem: był tylko jeden człowiek pałętający się po mieście z dwoma Jheregami i należący do organizacji.

Kiedy doszedł do wniosku, że wywarł na mnie odpowiednie wrażenie, oznajmił:

— Jeśli spróbujesz, panie, rozszerzyć interes, potężna organizacja upadnie.

Zacząłem tracić cierpliwość, więc strzeliłem go otwartą dłońią w twarz. Lekko.

„Rocza też chce go zjeść, szefie. Możemy?”

„Może za chwilę, Loiosh. Jestem trochę zajęty.”

— Właśnie miałem wizję, że leżysz tu sobie z połamanymi nogami. Zastanawiam się, czy była prawdziwa. . . jak sądzisz? — spytałem wreszcie.

Pomamrotał coś o braku poczucia humoru i zamknął oczy. Po jakiejś pół minucie nawet się spocił. Potem potrząsnął głową i wyciągnął talię kart owiniętą w niebieski jedwab. Na koszulkach był znak Domu Tiassy.

Jęknąłem.

Nie cierpię wróżenia z kart.

„Może ma ochotę na partyjkę?” — pocieszył mnie Loiosh.

W tle słyszałem telepatyczny chichot Roczy.

Wieszcz spojrział na mnie przepaszająco i wyjaśnił:

— Naprawdę niczego nie widziałem.

— No dobra, miejmy to już za sobą.

Kiedy skończyliśmy rytuał układania i przekładania, próbowałem wyjaśnić mi wszystkie możliwe znaczenia odsłoniętych kart, więc go czym prędzej zgasilem:

— Odpowiedź. . . proszę.

Wyglądał na urażonego.

Przyjrzał się Górze Zmian, po czym wykrztusił:

— Z tego, co widzisz, panie, to nic nie ma wpływu. To, co się stanie, w żadnym stopniu nie zależy od tego, co pan zrobi.

I znowu spojrział na mnie przepaszająco.

Musiał to długo ćwiczyć.

— To wszystko, co mogę powiedzieć — dodał.

Ślicznie.

— Dobra, reszta dla ciebie — burknąłem.

To miał być żart, ale chyba go nie zrozumiał, więc pewnie dalej jest przekonany, że nie mam poczucia humoru.

Wróciłem na ulicę, nie zlatując na zbitą twarz ze schodów, co było sporym osiągnięciem, i przeszedłem na zachodnią stronę. Ulica bowiem była szeroka i wschodnia strona zapakowana była różnymi sklepikami i warsztatami rzemieślniczymi, natomiast po zachodniej stały tylko małe domki.

Byliśmy w połowie drogi do domu, gdy usłyszałem ostrzeżenie Loiosha:

„Ktoś do ciebie, szefie. Wygląda na silnorękiego.”

Odgarnąłem włosy z czoła lewą ręką i poprawiłem pelerynę prawą, sprawdzając w ten sposób, czy wszystko jest na miejscu. Jak zwykle było. Poczulem jak Rocza zaciska pazury na moim ramieniu — nadal była to dla niej pewna nowość, ale tym już się zajął Loiosh.

„Tylko jeden, Loiosh?” — upewniłem się.

„Tylko, szefie.”

„Dobra.”

Mniej więcej w tym momencie dogonił mnie średnio wysoki Dragaerianin w szarości i czerni, czyli barwach Domu Jherega. Średnio wysoki, czyli o półtorej głowy wyższy ode mnie. Wyrównał krok, dostosowując go do mojego, i zagał uprzejmie:

— Dobry wieczór, lordzie Taltos.

Przygotował się dokładnie, gdyż właściwie wymówił moje nazwisko. Miło z jego strony.

Odpowiedziałem uprzejmym chrząknięciem, obserwując go równocześnie kątem oka. Nosił lekki rapier przypięty wysoko na udzie, a pelerynę miał z wystarczająco grubego materiału, by mogła w szwach ukryć z tuzin przydatnych narzędzi z rodzaju tych, których sześćdziesiąt trzy zawierała moja.

— Mój przyjaciel pragnąłby pogratulować panu najnowszych sukcesów — odezwał się.

— Proszę mu podziękować w moim imieniu.

— Mieszka w naprawdę miłym sąsiedztwie.

— Miło mi to słyszeć.

— Być może zechciałby pan kiedyś go odwiedzić.

— Być może.

— Chciałby pan zaplanować taką wizytę?

— Teraz?

— Albo później. Kiedy tylko będzie to panu odpowiadało.

— Gdzie w takim razie porozmawiamy?

— Wybór należy do pana.

Ponownie chrząknąłem.

Rozmowa miała rzeczywiście ciekawy przebieg — właśnie powiedział mi, że pracuje dla kogoś wysoko postawionego w organizacji i że jego pracodawca chciałby skorzystać z moich usług. Teoretycznie mogło chodzić o jedną z wielu rzeczy, w praktyce w grę mogła wchodzić tylko jedna.

Odczekałem, aż znajdziemy się w głębi mojego terenu, nim zaprosiłem go do gospody wysuniętej o parę stóp na ulicę. W tym rejonie była to reguła i dlatego tego fragmentu miasta serdecznie nie cierpieli przekupnie z wózkami.

Znaleźliśmy wolny stół, a Loioosh wyjątkowo nie miał nic do powiedzenia.

— Nazywam się Bajinok — przedstawił się nieznajomy, gdy gospodarz odszedł po postawieniu na stole butelki przyzwoitego wina i kielichów.

— Miło mi.

— Mój przyjaciel chciałby, żeby ktoś wykonał pewną robotę na jego terenie.

Kiwnąłem głową, utwierdzony w podejrzeniach.

— Znam sporo osób, ale wszyscy są ostatnio trochę zajęci. Od mojego ostatniego zabójstwa minęło zaledwie parę tygodni, a było ono dość głośne i nie chciałem ryzykować kolejnego tak szybko.

— Jest pan pewien? To byłaby robota w pana stylu.

— Jestem pewien, ale proszę podziękować przyjacielowi, że o mnie pomyślał.

Innym razem, zgoda?

— Naturalnie. Innym razem.

Skłonił się, wstał i wyszedł.

I to powinien być koniec całej sprawy.

A to, cholera, był dopiero początek, żeby to Verra i jej demony porwały!

Leffero, Siostrzeńcy i Kuzynki

Pralnia i Krawiectwo

Malak Circle

Od: V. Taltos

Numer 17, Garshos St.

Proszę zwrócić uwagę na następujące rzeczy:

1 szara, bawełniana koszula

— usunąć zacieki po winie z prawego rękawa, czarną stearynę i kopeć z lewego oraz zacerować rozcięty mankiet

1 para spodni szarych

— usunąć ślady krwi z prawej nogawki, a ślady po klawie z lewej oraz brud z kolan

1 para czarnych, wysokich butów

— usunąć rdzawe plamy z prawego, kurz i tłuszcz z obu i wyglansować

1 szary jedwabny fular

— zeszyć rozcięcie, usunąć ślady potu

1 czarna peleryna

— wyprać i wyprasować, usunąć kocią sierść, wyszczotkować białe drobinki i ślady po oliwie maszynowej oraz zeszyć rozcięcie z lewej strony

2 chusteczka

— wyprać i wyprasować

Spodziewam się otrzymać wszystko do końca tygodnia.

Z poważaniem

V. Taltos, baronet, Jhereg /(pieczęć)

Rozdział pierwszy

„I szara, bawełniana koszula

— usunąć zacieki po winie z prawego rękawa. . . ”

Gapilem się w okno, choć ulicy z fotela nie mogłem dostrzec, i rozmyślałem sobie o zamkach. Była noc i siedziałem w domu. Nie mam właściwie nic przeciwko siedzeniu w domu i gapieniu się przez okno, na ulicę, której nie mogę dojrzeć, ale przyznaję, że wolałbym siedzieć w zamku i gapić się przez okno na dziedzińiec, którego nie mógłbym zobaczyć.

Cawti siedziała obok z zamkniętymi oczyma, myśląc o czymś. Popijałem czerwone, nieco za słodkie wino. Na kredensie siedział Loiosh, a obok niego Rocza — ot, słowem sielski domowy obrazek w rodzinie zawodowego zabójcy.

Odchrząknąłem i powiedziałem:

— W tym tygodniu byłem u wieszczka.

Cawti wytrzeszczyła oczy, przyglądając mi się z niedowierzaniem.

— Ty?! Świat się kończy! Po coś tam poszedł?!

Skupiłem się na ostatnim pytaniu.

— Żeby sprawdzić, co się stanie, jeśli całą gotówkę zainwestuję w rozwój interesu.

— Aha. I jak się spodziewam, usłyszałeś coś ogólnikowego i mistycznego w stylu, że jeśli to zrobisz, będziesz w tydzień martwy i to bez nadziei na wskrzeszenie.

— Nie całkiem. . . — przyznałem i opowiedziałem jej przebieg wizyty.

Spoważniała. I też ładnie wyglądała, chociaż wolę, gdy ma bardziej radosną minę.

— I co o tym sądzisz? — spytała, gdy skończyłem.

— Właśnie nie wiem. Ty podchodzisz do takich rzeczy poważniej, więc zacznijmy od tego, co ty o tym sądzisz.

Przygryzła dolną wargę.

A Loiosh i Rocza opuścili nagle kredens i polecili na korytarz. A raczej do małego pokoiku przeznaczonego wyłącznie do ich dyspozycji. Nasunęło mi to

pewien pomysł, który zdecydowanie odrzuciłem, bo nie lubię, jak latający gad sugeruje mi, co mam robić.

W końcu Cawti przerwała milczenie:

— Nie wiem, Vlad. . . Chyba będziemy musieli poczekać i zobaczyć.

— Właśnie. I pomartwić się, jakby bez tego nam się nudziło. Nie o to chodzi, że nie mamy wystarczającej. . .

Urwałem, bo coś załomotało w drzwi. Odgłos przypominał walenie jakimś tępym narzędziem i nie należał do normalnych, toteż oboje zerwaliśmy się błyskawicznie. Ja z nożem w dłoni, ona z dwoma. Kielich z winem wylądował naturalnie na podłodze, a ja musiałem się przy tej okazji oblać, całe szczęście, że tylko na rękawie. Przy drzwiach zapanowała cisza, więc spojrzeliśmy na siebie i zgodnie postanowiliśmy poczekać. Łomot powtórzył się. Z pokoiku wypadł Loiosh i wylądował na moim ramieniu. W ślad za nim wyleciała Rocza, sycząc z niezadowolenia. Już miałem mu powiedzieć, żeby kazał jej się zamknąć, ale mnie uprzedził, bo Rocza zamilkła w pół syku, dając mi moment spokoju do namysłu. Pojęcia nie miałem, co to jest — wiedziałem jedynie, że na pewno nie atak kogoś z Domu Jherega, a to z tej prostej przyczyny, że dom stanowił dla wszystkich członków organizacji nienaruszalny azyl. No, ale ja miałem dość wrogów poza Domem Jherega.

Ostrożnie podeszliśmy do drzwi. Stałem z boku, po tej stronie, w którą się otwierały, a Cawti na wprost nich. Wziąłem głęboki oddech i ująłem klamkę w dłoń. Loiosh sprężył się, Cawti skinęła głową. . .

I w tym momencie ktoś za drzwiami zawołał:

— Hej, jest tam kto?

Zamarłem.

Cawti zaś uniosła brwi i spytała niepewnie:

— Gregor?

— Jasne że ja — odparł głos nieco ciszej. — To ty, Cawti?

— Tak.

— Co za. . . ? — zacząłem i urwałem, bo Cawti powiedziała:

— Wszystko w porządku.

W jej głosie nie było jednakże pewności. Nie schowała też noży.

Zamrugąłem gwałtownie oczami, a potem dotarło do mnie, że Gregor to ludzkie imię, nie dragaeriańskie. A jeszcze potem, że ludzie, kiedy chcą powiadomić, że stoją przed czyimiś drzwiami, nie klaszczą, tylko walą pięścią w te drzwi.

— Aha — mruknąłem i odprężyłem się nieco. — Wejdz!

W drzwiach stanął niewysoki, łysiejący mężczyzna w średnim wieku i zamarł, wytrzeszczając oczy. Cóż — kiedy kogoś nieprzyzwyczajonego witają trzy gołe noże w rękach gospodarzy, może być nawet mocno zaskoczony.

Uśmiechnąłem się i powtórzyłem zaproszenie, nie chowając broni:

— Wejdz, Gregor. Napijesz się czegoś?

— Vladimir — Cawti najwyraźniej rozpoznała nutkę brzmiącą w moim głosie. Gregor ani drgnął i nie odezwał się słowem.

„Wszystko w porządku, Vlad” — zapewniła mnie telepatycznie Cawti.

„Z kim?” — spytałem, ale schowałem nóż i odsunąłem się od drzwi.

Gregor wszedł, omijając mnie ostrożnie. Biorąc pod uwagę okoliczności, musiałem przyznać, że trzymał się nienajgorzej.

„Nie lubię go, szefie” — oznajmił Loiosh.

„Dlaczego?”

„Jest człowiekiem: powinien mieć brodę.”

W zasadzie się z nim zgadzałem. Włosy rosnące na twarzy były jedną z cech, które posiadali ludzie, a nie posiadali Dragaerianie, i być może niektórzy nam tego zazdrościli, gdyż obelżywy zwrot w stosunku do człowieka brzmiał „wąsaty”. Żeby podkreślić tę różnicę, zapuściłem, gdy tylko mogłem, wąsa. Potem spróbowałem zapuścić także i brodę, ale eksperyment okazał się nieudany — Cawti po kolejnym podrapaniu ostrzegła mnie, że ogoli mnie zardzewiałym kozikiem.

Teraz wskazała gościowi fotel, sama siadła na sofie. Po drodze schowała noże. Przyniosłem butelkę, schłodziłem ją magicznie i nalałem do trzech kielichów. Gregor kiwnął głową z podziękowaniem i wypił spory łyk. Dopiero teraz zorientowałem się, że był młodszy, niż sądziłem: po prostu zaczął wcześniej łyścieć i to wprowadziło mnie w błąd.

Usiadłem obok Cawti i spytałem:

— Dobrze. Zacznijmy od początku: kim jesteś?

— Vlad... — zaczęła Cawti i westchnęła. — Vladimir, to jest Gregor. Gregor, to mój mąż, baronet Taltos.

Słyszając mój tytuł, skrzywił się leciutko z pogardą. Zacząłem go poważniej nie lubić: ja mogę gardzić tytułami kupowanymi w Domu Jherega, ale to nie znaczy, że byle kto z ulicy może gardzić moim.

— Pięknie. Skoro już się wszyscy znamy, powiedz mi, kim jesteś i dlaczego próbowałeś rozwalić mi dom - zaproponowałem.

Przeniósł spojrzenie z Loiosha siedzącego na moim ramieniu na moją twarz, a potem na ubranie. Zupełnie jakby mnie oceniał, co nie wpłynęło korzystnie na mój stosunek do niego. Zaczynałem tracić cierpliwość. Spojrzałem na Cawti.

Przygryzła wargę.

— Vladimir — powiedziała, najwyraźniej rozumiejąc, co się święci.

— Hmm?

— Gregor jest moim przyjacielem. Spotkałam go kilka tygodni temu, kiedy byłam z wizytą u twego dziadka.

— I co dalej?

Poruszyła się niespokojnie.

— To raczej dłuższa historia. Wolałabym najpierw dowiedzieć się, co go tu sprowadza, jeśli nie masz nic przeciwko.

W jej głosie też zabrzmiała znajoma nutka.
„Mam się wybrać na spacer?” — spytałem.
„Nie wiem, ale dzięki, że spytałeś. Buziak.”
Spojrzałem na niego wyczekująco.
— Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw? — spytał.
— Dlaczego nie masz brody?
— Co?!

Loiosh zachichotał i zasyczał radośnie.
— Nieważne — oceniłem. — Co cię tu sprowadza?
Spojrzał na Cawti, potem na mnie, potem znowu na nią i powiedział:
— Franz został zabity. Wczoraj wieczorem.
Zerknąłem na Cawti, by zobaczyć jak zareaguje: jej oczy zrobiły się nieco większe.
Ugryzłem się w język.
Cawti wzięła parę głębokich oddechów i poleciała:
— Opowiedz dokładnie jak to było.
Miał tupet — spojrzał na mnie znacząco. Wykazałem niezwykle opanowanie — nie zabolalo go to. W końcu zdecydował, że jednak jestem w porządku, bo zaczął mówić:
— Stał w drzwiach sali, którą wynajęliśmy, i wpuszczał ludzi, kiedy ktoś do niego podszedł i poderżnął mu gardło. Usłyszałem zamieszanie i pobiegłem tam, ale zabójca już zniknął.
— Ktoś go widział?
— Niedokładnie. Ale to na pewno był elf. Ubrany na czarno i szaro.
— Zawodowiec — oceniłem.
Gregor spojrzał na mnie w taki sposób, w jaki mógłby to zrobić w miarę bezpiecznie, jedynie trzymając mi nóż na gardle. Zaczynałem mieć poważne problemy z panowaniem nad sobą. Cawti zauważyła to i pospiesznie wstała.
— Dobrze, Gregor — oświadczyła. — Potem z tobą porozmawiam.
Wyglądał na zaskoczonego i już otwierał gębę, żeby coś powiedzieć, gdy posłała mu spojrzenie z gatunku tych, którymi kwituje moje głupie dowcipy. Zamknął usta bez słowa i wstał. Odprowadziła go do drzwi. Ja nawet nie siliłem się na podniesienie tyłka.
— No dobrze — odezwałem się, gdy wróciła. — Powiedz mi, o co chodzi.
Przyglądała mi się przez chwilę, po czym zaproponowała:
— Przejdźmy się.

* * *

Nigdy wcześniej nie targały mną tak silne mieszane uczucia jak po powrocie z tego spaceru. Nikt, nawet Loiosh, nie odezwał się przez ostatnich dziesięć minut, czyli od czasu, kiedy skończyły mi się złośliwe pytania, a Cawti zgryźliwe odpowiedzi. Loiosh rytmicznie ścisnął moje ramię coraz to innym pazurem. Podświadomie byłem mu za to wdzięczny. Rocza, na zmianę krążąca nad nami lub siedząca na ramieniu moim lub Cawti, ostatni kawałek przejechała na jej ramieniu. Nocne powietrze było orzeźwiające i była to praktycznie jedyna pozytywna rzecz, jaką znalazłem, otwierając drzwi do mieszkania.

Rozebraliśmy się i poszliśmy spać, odzywając się do siebie jedynie wtedy, gdy wymagała tego uprzejmość, i odpowiadając monosylabami. Długi czas leżałem, poruszając się od czasu do czasu, by Cawti nie zorientowała się, że nie mogę zasnąć. Nie wiem, czy z nią było podobnie, ale prawie się nie ruszała.

* * *

Cawti wstała pierwsza i przygotowała klawę, najpierw piekąc, potem mieląc ziarna, a na końcu robiąc aromatyczny płyn. Wypiłem kubek i wyszedłem do biura. Towarzyszył mi Loiosh, Rocza została z Cawti. Było chłodno i mglisto — znad morza nadciągnęła gęsta mgła, tworząc „pogodę zabójców”. Nie wiem, jaki kretyń wymyślił tę nazwę, ale przyjęła się, i to dawno temu.

Dotarłem do biura, przywitałem się z Melestavem i Kragarem i zamknąłem się u siebie. Po czym wgapiłem się ponuro w ścianę, czując się naprawdę podle.

„Szefie, dość mazgajstwa!” — oznajmił Loiosh jakiś czas później.

„Bo co?”

„Bo mamy sprawy do załatwienia.”

„Na przykład jakie?”

„Na przykład takie, jak dowiedzieć się, kto załatwił tego całego Franza.”

Zastanowiłem się nad tym dogłębnie — jeśli już człowiek dorobił się familia-
ra, nie jest rozsądne ignorowanie jego rad.

„No dobra” — zgodziłem się. „Dlaczego?”

Zamiast odpowiedzi przedstawił mi serię obrazków wyciągniętych z mojej własnej pamięci: Cawti pod Górą Dzur, kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz po tym, jak mnie zabiła, Cawti trzymająca nóż na gardle Morrolana i tłumacząca mu jak cielęciu, jak będzie, Cawti, gdy pierwszy raz się kochaliśmy... i dołożył do tego, skubany, moje własne uczucia z tych chwil, tyle że przefiltrowane przez

swój gadzi umysł.

„Przestań!” — poleciłem.

„Pytałeś.”

Westchnąłem ciężko.

„Na głupie pytanie... Tylko po cholere wplątywała się w coś takiego? Dlaczego...?”

„Dlaczego jej o to nie zapytałeś?”

„Zapytałem. Nie odpowiedziała.”

„Odpowiedziałyby, gdybyś jej się tak nie...”

„Przestań mi dawać małżeńskie rady! Ekspert się, cholera, znalazł! Nie potrzebuje... chyba jednak potrzebuję rady... No dobra: co byś zrobił?”

„Hmmm... powiedziałbym jej, że gdybym miał dwie martwe teckle, to dałbym jej jedną.”

„Wielceś pomocny, nie ma co.”

Zamilkł urażony.

— Melestav! — ryknąłem. — Daj tu Kragara!

— Się robi, szefie!

Kragar należał do tej nielicznej grupy osób, które nie muszą robić absolutnie nic, by pozostać niezauważonymi. Był to jego wrodzony talent i w ekstremalnej sytuacji można byłoby go szukać, siedząc mu na kolanach i nie mając o tym pojęcia. Ponieważ tym razem się zawzięłem i nie spuszczałem wzroku z drzwi, zdołałem zauważyć, kiedy wszedł.

— O co chodzi, Vlad?

— Skoncentruj się: prześlę ci pewną gębę.

— Dobra.

Sam też się skoncentrowałem, by jak najdokładniej przypomnieć sobie rysy twarzy Bajinoka. Wzmianka, że „roboty” byłyby w moim stylu, mogła oznaczać, że celem był człowiek. Oczywiście nie musiała, ale zbieg czasowy był zbyt zastanawiający, by go zignorować. A ani Bajinok, ani jego zleceniodawca nie mieli pojęcia, że wybrali ostatniego zabójcę do zabicia człowieka: elfy mogłem zarżnąć hurtowo — po to właśnie zostałem zawodowym zabójcą. Ludzie nic złego mi nie zrobili, więc niby dlaczego miałbym ich zabijać?

Co prawda usłyszane niedawno od Aliery rewelacje nieco wstrząsnęły moim światopoglądem, ale teraz nie było to ani miejsce, ani czas, by się nad tym dogłębniej zastanawiać.

— Znasz go? — spytałem. — Dla kogo pracuje?

— Znam. Dla Hertha.

— Aha.

— Aha, co?

— Herth rządzi całą Południową Stroną.

— Ano. I całą, Wschodnią Dzielnicą.

— Właśnie. A ostatnio jeden z nas zabił człowieka.

„Nas?!” — zdziwił się Loiosh. — „Kto jest „my”?”

„Fakt” — przyznałem. „Zastanowię się nad tym.”

— A co to ma wspólnego z nami? — spytał Kragar, używając kolejnego znaczenia tego popularnego określenia.

— Jeszcze nie wiem — przyznałem się i natychmiast poprawiłem: — To znaczy wiem, ale jeszcze nie jestem gotów o tym mówić. Możesz mi zorganizować spotkanie z Herthem?

Kragar pobębnił chwilę palcami po poręczy fotela, przyglądając mi się ze zdziwieniem. Zupełnie zresztą zrozumiałym — nie miałem zwyczaju w takich sprawach bawić się przed nim w tajemniczość. W końcu jednak mruknął:

— Dobra.

I wyszedł.

Wyjąłem jeden z noży i zacząłem go podrzucać, łapiąc na przemian za rękojeść i za ostrze.

„Mimo wszystko mogła mi o tym powiedzieć” — stwierdziłem po chwili.

„Próbowała. Tylko nie byłeś zainteresowany słuchaniem.”

„Mogła bardziej próbować.”

„Ale nie musiała. Nic byś nie wiedział, gdyby nie to zabójstwo. A to jest jej życie: jeśli chce spędzić jego połowę w ludzkim getcie, nawołując do ruchawki, to jest to...”

„Nie powiedziałbym, że do ruchawki. Poza tym nie świntusz.”

„Aha.”

Zawsze tak to się kończy, gdy człowiek próbuje przegadać swego familiara.

* * *

Następnych kilka dni nie należało do miłych. Przez dwie pełne doby i ja, i Cawti prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Byłem wściekły, że nie powiedziała mi o tej grupie ludzi, a ona była wściekła, że ja byłem wściekły. Parę razy próbowałem nawiązać rozmowę, ale za szybko gryzłem się w język, bo za późno zauważałem, że Cawti z nadzieją czeka na ciąg dalszy. Wściekałem się jeszcze bardziej (tym razem już na samego siebie) i wychodziłem z pokoju. Parę razy Cawti zaczynała mówić coś w stylu: „Nawet cię nie obchodzi...” i milkła. Najinteligentniej zachowywał się Loiosh — nie odzywał się w ogóle. Są takie sytuacje, w których nawet familiar na nic nie może się przydać.

Takie dni jak te nie są łatwe do przeżycia. A jeszcze trudniejsze do zapomnienia.

* * *

Herth zgodził się na spotkanie w moim lokalu o nazwie „The Terrace”. Okazał się niewysokim, cichym Dragaerianinem: był ledwie o pół głowy wyższy ode mnie. Miał też zwyczaj opuszczania oczu, jakby się wstydził, co nie mogło być prawdziwym powodem. Przyproceedził ze sobą dwóch ochroniarzy. Ja też miałem dwóch: Kija i Świetlika. Pierwszy zawdzięczał przezwisko ulubionej broni, czyli parze pałek, drugi temu, że jego oczy zaczynały pałać wewnętrznym blaskiem w najdziwniejszych pozycjach. Cała czwórka obrała dobre pozycje i zajęła się tym, za co brała pieniądze. Herth zaś poszedł za moją radą i zamówił parówki pieprzowe, smakujące znacznie lepiej, niż sugerował to ich wygląd.

Kiedy skończyliśmy podane na deser naleśniki (wyjątkowo smaczne, choć naturalnie nie dorównywały tym przyrządzonym przez Valabara), Herth otarł usta serwetką i spytał:

— Tak więc co mogę dla pana zrobić?

— Mam problem — poinformowałem go.

Kiwnął głową i opuścił oczy, jakby chciał powiedzieć: „W czym też takie nic jak ja może pomóc takiemu wielkiemu panu”.

— Kilka dni temu został zabity pewien człowiek — dodałem. — Przez zawodowca. Zdarzyło się to na pańskim terenie, więc pomyślałem sobie, że być może byłby pan w stanie nieco mnie oświecić w kwestii, co się właściwie stało i dlaczego.

Mógł mi udzielić kilku rozmaitych odpowiedzi: mógł powiedzieć, o co naprawdę chodziło, mógł się uśmiechnąć i stwierdzić, że o niczym nie wie, mógł powiedzieć tyle, ile uzna za stosowne, lub też spytać mnie, dlaczego mnie to interesuje. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Spojrzał na mnie, wstał i powiedział:

— Dziękuję za obiad. Zobaczymy się jeszcze, być może.

I wyszedł.

A ja nadal siedziałem.

Dopiłem klavę i spytałem Loiosha:

„I co ty na to?”

„Nie wiem, szefie. Dziwne, że nie spytał, po co chcesz wiedzieć. A jeśli wiedział, to też dziwne, że zgodził się na spotkanie. Nie wiem dlaczego.”

„Właśnie.”

Podpisałem rachunek — przecież nie będę sam sobie płacił za obiad — i wyszedłem.

* * *

Po dotarciu do biura zwolniłem Kija i Świetlika z dalszego pilnowania swojej osoby. Zaczynał się wieczór. Zazwyczaj o tej porze kończyłem pracę i wracałem do domu, ale tym razem jakoś mnie tam nie ciągnęło. Żeby zabić czas, wymieniłem uzbrojenie, choć minęły ledwie dwa dni od poprzedniej zmiany. Na wszelki wypadek raz w tygodniu wymieniam wszystko, co noszę przy sobie, poza rapierem, by nie nabrało mojej aury. Dragaeriańska magia nie potrafi co prawda na tej podstawie zidentyfikować użytkownika, ale ludzkie czary bez trudu mogą to zrobić, a jeśli kiedyś władze zdecydują się na użycie tego sposobu, nie miałem zamiaru robić za ofiarę śledczej nowinki. . .

Nagle mnie olśniło.

„Jestem idiotą, Loioosh.”

„Przez grzeczność nie zaprzeczę. Ale nie przejmuj się, szefie: też o tym nie pomyślałem.”

Pospiesznie dokończyłem wymianę arsenału i czym prędzej udałem się do domu.

— Cawti! — krzyknąłem, stając w progu.

Siedziała w salonie, drapiąc Roczę po podgardlu. Ta na nasz widok zerwała się, po czym oboje z Loiooshem zaczęli krążyć pod sufitem — pewnie mu relacjonowała, jak jej minął dzień. Cawti zaś wstała i spoglądała na mnie zdziwiona. Miała na sobie szare spodnie doskonale dopasowane na biodrach i szarą koszulę z czarnym obszyciem. Przekrzywiła głowę, uniosła pytająco brwi i znieruchomiała, czekając na wyjaśnienia. Poczułem, że mój puls przyspiesza coraz bardziej, w sposób, którego — bałem się — już nie poczuję.

— Tak? — spytała, gdyż nadal milczałem jak głaz.

— Kocham cię.

Zamknęła oczy i po sekundzie otworzyła je, nadal nic nie mówiąc.

— Masz broń? — spytałem.

— Broń?!

— Tę, którą zabito twojego znajomego. Pozostawiono ją przy ciele, prawda?

— Zostawiono. Ktoś ją chyba pozbierał. . .

— Postaraj się o nią.

— Dlaczego?

— Bo wątpię, by ten, kto jej użył, znał właściwości czarów. Jeśli nosił ją dłużej, będę w stanie zdjąć z niej jego aurę. . .

Resztę zrozumiała w pół słowa.

— Jasne. Zaraz się tym zajmę — obiecała i sięgnęła po kaftan.

— Iść z tobą?

— Nie, nie ma... Jasne, dlaczego nie?

Loiośh wylądował na moim ramieniu, Rocza na jej, gdy Cawti założyła kaftan i zarzuciła pelerynę. Zeszliśmy na ulicę. Zdażyła już zapaść noc i było zdecydowanie przyjemniej. Między nami też, ale nie ujęła mnie pod ramię.

Zaczynałem czuć przygnębienie — jednak znacznie łatwiej jest mieć do czynienia z kimś, kogo ma się jedynie zabić... Kiedy opuściliśmy mój teren i weszliśmy w gorsze sąsiedztwo, zacząłem mieć nadzieję, że ktoś spróbuje mnie uśmiercić — miałbym okazję nieco się rozładować.

Nasze kroki musiały jednak brzmieć niezachęcająco i to mimo iż nie trzymaliśmy rytmu, bo nikt nie spróbował. Cawti jak zwykle szybciej stawiała kroki, ale nie odzywała się. Ja także milczałem.

O bliskości dzielnicy zamieszkaney przez ludzi najpierw informuje nos — w ciągu dnia pełno tu knajpek z ogródkami, a zapachy towarzyszące ludzkiej kuchni są zupełnie inne od wydobywających się z dragaeriańskich lokali gastronomicznych. We wczesnych godzinach rannych rozpoczynają pracę piekarnie i powietrze przesycone jest aromatem świeżego pieczywa — znacznie lepszego niż dragaeriańskie. Za to w nocy, gdy lokale są już zamknięte, a piekarnia jeszcze, okolica śmierdzi psującą się żywnością oraz ludzkimi i zwierzęcymi odchodami. Na dodatek nocą wiatr wieje ku morzu, czyli z północy, a na północ od miasta znajdują się rzeźnie. Złośliwi mogliby twierdzić, że dopiero nocą ujawnia się prawdziwy koloryt dzielnicy.

W mroku domy były prawie niewidoczne, gdyż jedynie w niewielu oknach paliły się świece czy lampy rzucające na zewnątrz nieco blasku. Ulice były tak wąskie, że momentami wygodniej było iść bokiem — były takie miejsca, gdzie nie sposób było równocześnie otworzyć drzwi do znajdujących się naprzeciwko siebie domów. W innych miejscach piętra prawie się ze sobą stykały, stwarzając wrażenie, iż idzie się jaskinią, nie ulicą, a nogi znacznie częściej grzęzły w śmieciach, niż trafiały na ubitą nawierzchnię.

Ile razy tu wracałem, tylekroć doświadczałem mieszanych uczuć. Z jednej strony nienawidziłem tej okolicy — była wszystkim, od czego chciałem uciec i uciekłem, nie oszczędzając trudu. Z drugiej strony, kiedy znalazłem się wśród ludzi, czułem jak opuszcza mnie napięcie, ciągle obecne, gdy przebywałem wśród Dragaerian, choć gdy byłem wśród nich, nie zdawałem sobie sprawy z jego istnienia.

Do zamieszkaney przez ludzi dzielnicy dotarliśmy dobrze po północy — o tej porze nie śpią jedynie męty i śmieci. Obie grupy omijały nas starannie, uważając — i słusznie — że lepiej nie zaczepiać pary zachowującej się tak, jakby w tej niebezpiecznej okolicy nic jej nie zagrażało. Nie powiem, żeby ten respekt sprawił mi przykrość.

Zatrzymaliśmy się, a raczej Cawti zatrzymała się przed jednym z domów. Zamiast drzwi widniała zasłona skutecznie blokująca widok. Choć nie mogłem ni-

czego dostrzec, miałem jednakże wrażenie, że za nią znajduje się wąski korytarz. Weszliśmy i choć nadal było ciemno jak w grobie, okazało się, że miałem rację. Śmierdziało. Stanęliśmy przed następnym otworem drzwiowym i Cawti zawołała:

— Halo.

W środku coś zaszeleściło i rozległ się niepewny głos:

— Ktoś tam jest?

— To ja. Cawti.

W pomieszczeniu coś głośniejsz zaszurało, rozległy się kaszlnięcia i rozbudzone głosy, a potem ktoś skrzesał iskrę i zapalił świeczkę. W rzeczy samej staliśmy w wejściu pozbawionym nawet zasłony, o samych drzwiach nie wspominając. W izbie było kilkoro osób obojga płci, które właśnie się budziły, ale poza wywołanym przez postania nieładem — ku memu zaskoczeniu — było zadziwiająco czysto i porządnie. Zza świecy przyglądała nam się para zaspanych oczu tkwiących w okrągłej twarzy należącej do niskiego, grubego mężczyzny w wyblakłej nocnej koszuli. Popatrzył na mnie, potem kolejno na Loiosha, Cawti, Roczę i znów na mnie.

— Wejdźcie — zaprosił nieco przytomniejszy głos. — Siadajcie.

Weszliśmy i usiedliśmy na drewnianych krzesłach, a on zapalił jeszcze parę świec stojących w różnych miejscach pomieszczenia. Łącznie naliczyłem cztery osoby oprócz niego: młodą kobietę, starszą, siwiejącą i przy kości, starego znajomego imieniem Gregor i Dragaerianina, co mnie zaskoczyło, toteż poświęciłem mu najwięcej uwagi. Gdy zorientowałem się, że należy do Domu Teckli, nie wiedziałem, czy mnie to bardziej zaskoczyło, czy rozbawiło.

Cawti poczekała, aż wszyscy oprzytomnieją i siądą, po czym pochyliła głowę na powitanie i dokonała prezentacji.

— To Vladimir, mój mąż. A to Kelly.

Kelly był grubasem, który obudził się pierwszy.

Kiwnęliśmy sobie głowami, a potem przedstawiła mi pozostałych. Starsza miała na imię Natalia, młodsza Sheryl, a Tecklę zwano Pareshem. Nazwisk Cawti nie dodała, a ja nie pytałem, bo i po co.

— Kelly, masz nóż, który znaleziono przy ciele Franza? — spytała następnie Cawti.

Kelly przytaknął ruchem głowy.

— Zaraz! — obruszył się Gregor. — Nic nie mówiłem o żadnym nożu przy zwłokach!

— Nie musiałeś — odparłem spokojnie. — Wystarczyło, że powiedziałaś, że zrobił to elf. To robota zawodowca z Domu Jherega, więc broń została obok ciała ofiary.

Skrzywił się, patrząc na mnie niezyczliwie.

„Szefie, może bym tak go nadgryzł, co?” — zaproponował Loiosh.

„Może później. Na razie bądź cicho.”

Kelly wpatrywał się we mnie intensywnie, jakby próbował przewiercić mnie wzrokiem. Jakoś nie zrobiło to na mnie wrażenia.

Spojrzał więc na Cawti i spytał:

— Po co wam ten nóż?

— Vladimir sądzi, że być może zdoła znaleźć dzięki niemu zabójcę.

— A potem? — Kelly przeniósł wzrok na mnie. Wzruszyłem ramionami.

— Wtedy dowiemy się, dla kogo pracował.

Natalia siedząca pod przeciwną ścianą spytała:

— Czy to takie ważne?

Wzruszyłem ramionami.

— Dla mnie nie — przyznałem. — Myślę, że dla was tak.

Kelly znów się na mnie gapił, co zaczynało mnie irytować. Zanim mnie jednak poważnie zirytował, kiwnął głową bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego i wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Wrócił po paru sekundach z zawiniątkiem, które wyglądało na kawałek prześcieradła, i podał je Cawti.

Skinąłem mu głową i powiedziałem:

— Będziemy w kontakcie.

Wstaliśmy i skierowaliśmy się ku drzwiom. Stał przed nimi Paresh — ustąpił nam z drogi, ale nie tak szybko, jak można by się spodziewać. Uznałem to za dziwne i być może znaczące.

* * *

Do domu wróciliśmy na parę godzin przed świtem.

— A więc to są ludzie, którzy zagrażają Imperium, tak? — spytałem, siadając.

Cawti położyła na stole nóż w prześcieradle i odparła:

— Ktoś najwyraźniej tak sądzi.

— Fakt — przyznałem.

Nadal czułem smród ludzkiej dzielnicy...

Rozdział drugi

„... czarną stearynę i kopeć z lewego...”

W piwnicy pod moim biurem znajduje się niewielki pokoik, który nazwałem laboratorium — to takie wygodne określenie zasłyszane od dziadka. Na kamiennych ścianach wisało jedynie kilka kinkietów, na środku stał niewielki stół, a w rogu szafka i kosz. Na stole mieścił się kociołek na żar i dwa pojedyncze świeczniki. W szafce zaś znajdowały się rozmaite rzeczy.

Wczesnym popołudniem następnego dnia zeszedliśmy tam w czwórkę — Cawti, Loiośh, Rocza i ja. Powietrze było zastałe i pachniało lekko co bardziej aromatycznymi elementami zawartości szafki.

„Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, szefie?” — spytał niespodziewanie Loiośh siedzący na moim lewym ramieniu.

„O co ci chodzi?”

„Jesteś pewien, że masz stosowny nastrój do rzucania czarów?”

Zastanowiłem się. Ostrzeżenia familiara nie lekceważy żadna czarownica ani żaden czarnoksiężnik, którym pozostała choć szczypta instynktu samozachowawczego. Spojrzałem na Cawti — czekała cierpliwie i być może domyślała się części tego, o czym myślałem. Fakt, ostatnio miałem dość poważne przejścia uczuciowe, co akurat mogło być pomocne, jak długo udawało mi się nad sobą panować, bowiem wzmacniało czar. Ale poza tym byłem też nieco otępieły, a z reguły chce mi się wtedy spać. Jeśli nie będę miał dość energii, by kontrolować czar, sytuacja może stać się naprawdę poważna.

„Dam sobie radę” — oceniłem.

„Twoja decyzja, szefie.”

Wyrzuciłem do kosza nie do końca spalone węgle z kociołka, obiecując sobie któregoś dnia posprzątać w koszu i w rogu, w którym stał. Wyjąłem z szafki świeże węgle, a Cawti pomogła mi umieścić je w kociołku. Wyrzuciłem nadpalone świece i umieściłem w lichtarzach nowe, czarne. Cawti stanęła po mojej lewej stronie, trzymając w ręku nóż. Skoncentrowałem się, zaczerpnąłem energii z Imperialnej Kuli i zapaliłem pierwszą świecę. Od niej zapaliłem drugą, a następnie

węgle w kociołku. Dołożyłem doń tego i owego, zamknąłem szafkę i położyłem przed kociołkiem nóż, który podała mi Cawti.

Można naturalnie rzucać czary bez tych wszystkich materialnych przygotowań i utensyliów, ale naprawdę niewiele czarownic i czarowników to robi. Przygotowania i narzędzia pomagają bowiem ukierunkować myśli i zachować stosowną kolejność czynności.

Czasami się zastanawiałem, dlaczego zadaję sobie tyle trudu z uzyskaniem pewnych ingrediencji — przecież wystarczyłaby zwykła woda zamiast oczyszczonej (obojętne co to w ogóle znaczyło: „oczyszczona woda”). Mogłem też użyć ziół kupionych od pierwszego lepszego handlarza na rynku — tymianek to tymianek, tutejszy czy przywieziony ze wschodu. Jedyna różnica polegała na tym, że ten drugi był droższy. Jakoś jednak nigdy się na to nie zdecydowałem i nic nie wskazywało, bym miał się zdecydować.

Te rozmyślenia nie przeszkadzały mi w koncentrowaniu się, a potem w ogóle zniknęły — kiedy człowiek zajmuje się czarami, na nic innego po prostu nie ma miejsca. Zacząłem recytować formułę w rytm migotania świec i poczułem, jak opadam w serce płomienia, aż znajduję się gdzieś, ale obok i we mnie znajduje się Cawti oplatająca mnie więzią uniemożliwiającą powrót. . . dotknąłem broni i wiedziałem, że jest narzędziem mordy, a w następnym momencie zacząłem wyczuwać osobę, która nią władała. Moja dłoń powtórzyła jego gesty — delikatne cięcie i rozwarcie pazurów po zakończonej „robocie”. . . Na myśl przyszło mi jego imię — zupełnie jakbym je znał i teraz po prostu przypomniało mi się. . . W tym momencie ta część mnie, która była Loiošem, uświadomiła sobie, że osiągnąłem cel, i powoli zaczęła wyplątywać się z czaru, wracając do rzeczywistości.

Właśnie wówczas zdałem sobie sprawę, że coś jest nie tak. Podobne sytuacje zdarzają się, gdy przy jednym czarze współpracuje kilka czarownic. Przeważnie łączą się wówczas do pewnego stopnia ich umysły. To nie jest tak, że zna się myśli partnera czy partnerki. . . bardziej że myśli się je za niego. W ten właśnie sposób przez moment myślałem o sobie i gdy zdałem sobie sprawę, co myślę, wstrząsnęło to mną naprawdę skutecznie.

Ponieważ był to już ostatni etap, nie groziło mi niebezpieczeństwo, którego obawiał się Loioš. Głównie zresztą dlatego, że on także tam był. Czar rozplątał się już bez mojego udziału, bo w gardle miałem kluchę, a wstrząs był na tyle silny, że drgnąłem, wywracając ręką świecę. Cawti złapała mnie i gdy spojrzeliśmy sobie w oczy, resztką czaru zniknęła i nasze umysły znowu stanowiły dwie odrębności.

Spuściła oczy, wiedząc, że poczułem i pomyślałem to co ona.

Otworzyłem drzwi, by przewietrzyć pokój, i zgasilem drugą świecę i węgle. Nie byłem zmęczony — to nie był aż tak trudny czar. Oboje z Cawti wróciliśmy do mojego biura — wiedzieliśmy, że musimy porozmawiać, ale nie zaraz. Zresztą prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem co chcę jej powiedzieć. . . albo raczej nie

mogłem się do tego zmusić.

Wrzasnąłem na Kragara, żeby przyszedł, a Cawti usiadła w jego fotelu. A raczej próbowała, bo okazało się, że Kragar już tam siedzi, więc zeskoczyła z jego kolan z piskiem. Roześmiałem się, widząc niewinną minę Kragara. Zważywszy na sytuację, powinienem śmiać się szczerzej, ale jakoś zawiodło mnie poczucie humoru.

— Yerekim — powiedziałem. — Nigdy o nim nie słyszałem. A ty?

Kragar skinął głową.

— Silnoreki. Pracuje dla Hertha.

— Wyłącznie?

— Tak sędzę. Mam sprawdzić?

— Tak.

Kiwnął głową, nie wspominając słowem o przepracowaniu. Musiało do niego dotrzeć, że coś jest na bakier z moim poczuciem humoru, a może też i inne sprawy... Kragar jest bystrzejszy, niż mogłoby się wydawać. Po jego wyjściu siedzieliśmy oboje przez dłuższą chwilę. Potem Cawti powiedziała:

— Ja też cię kocham.

I poszła do domu.

* * *

Kilka godzin spędziłem, przeszkadzając swoim pracownikom i próbując udawać, że jestem niezbędny do kierowania interesem. Kiedy Melestav, mój sekretarz, trzeci raz oznajmił, jaki to dziś piękny dzień, zrozumiałem aluzję i zrobiłem sobie wolne.

Połąziłem po ulicach, dzięki czemu uporządkowałem myśli i podjąłem kilka sensownych decyzji. A przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki Loioosh nie spytał dlaczego. Przyznałem uczciwie, że nie wiem.

Dla odmiany wiało z północy zamiast znad morza i choć północne wiatry bywają świeże, ten taki nie był. Był za to chłodny i śmierdzący. Loioosh zapytał, jak długo jeszcze zamierzam szwendać się bez celu po ulicach. Ponieważ nic mądrego nie przyszło mi do głowy, poszedłem do domu.

Jedyną pozytywną rzeczą było obiecanie sobie, że już nigdy nie będę kierował się opinią Melestava w kwestii pogody.

To był parszywy dzień.

* * *

Następnego ranka Kragar potwierdził, że Yerekim pracuje wyłącznie dla Hertha. A więc to on chciał śmierci tego całego Franza, czyli albo Herth miał do niego coś osobistego, a w to mógłbym uwierzyć jedynie z największym trudem, jako że nigdy o czymś podobnym nie słyszałem, albo też cała ta grupa w jakiś sposób mu przeszkadzała. Albo go po prostu denerwowała.

Było to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie, tym niemniej cała sprawa nadal jawiła mi się zagadkowa.

„Jakieś pomysły, Loiosh?”

„Pytanie: kto według ciebie jest przywódcą tej grupy?”

„Kelly, bo co?”

„To dlaczego załatwili Franza, nie jego?”

W sąsiednim pokoju Melestav grzebał w stercie papierów, z kominka dochodziły odgłosy przytłumionej rozmowy nie wiedzieć gdzie toczonej... jednym słowem budynek żył.

„Racja” — przyznałem.

* * *

Jakoś tak wczesnym popołudniem dotarliśmy z Loioshem do Dzielnicy Wschodniej. Ja, ma się rozumieć, w życiu bym nie znalazł tego budynku, ale Loiosh nie miał z tym najmniejszego problemu. Obejrzałem go sobie, korzystając z dziennego światła — niski, byle jaki i beżowej barwy, a jedyne, co go wyróżniało z sąsiedztwa, to zabite deskami od wewnątrz okna. Było ich dwa, znajdowały się po obu stronach wejścia i nie miały zbyt dużych rozmiarów.

Stałem przed zasłoną w wejściu i prawie zaklaskałem. Po czym skłamałem się w duchu i walnąłem parę razy pięścią w futrynę. Po chwili zza zasłony wyłonił się Paresz i stanął na środku wejścia, zupełnie jakby je blokował. Skubany.

— Tak? — spytał.

— Chcę się zobaczyć z Kellym.

— Nie ma go — powiedział powoli, robiąc przerwy przed każdym słowem, jakby musiał poukładać sobie myśli, nim je wypowie.

Akcent miał typowy dla mieszkańców terenów znajdujących się zaraz na północ od miasta, ale wymowa i dobór słów bardziej pasowały do rzemieślnika z Domu Chreothy czy Valisty, a nawet kupca z Domu Jhegaali niż do Teckli. Przedziwne.

„Wierzysz mu, Loiosh?”
„Nie jestem pewien.”
Więc spytałem głośno:
— Jesteś pewien?
Coś mignęło w jego oczach, lecz zgasło zbyt szybko, by dało się rozpoznać.
— Jestem — przyznał zwięźle.
„Z nim jest coś nie w porządku, szefie.”
„Zauważyłem.”
— Z tobą jest coś nie tak — poinformowałem go.
— Dlaczego? Bo nie trzęsę się ze strachu na sam widok barw Domu Jherega?
— Chociażby.
— Przykro mi, że cię rozczarowałem.
— Och, nie jestem rozczarowany — zapewniłem go. — Zaintrygowany owszem.
Przyjrzał mi się przez chwilę i odsunął się od drzwi.
— Wejdz, jeśli chcesz — zaproponował.
Ponieważ nie miałem nic lepszego do roboty, wszedłem. Pokój z oczywistych względów nie został wywietrzony, za to oświetlały go dwie lampki oliwne. Wskazał mi wyściełany stołek. Usiadłem. Przyniósł jakiegoś cienkusza ludzkiej produkcji smakującego jak woda po myciu beczki po winie i wyszczerbione porcelanowe kubki. A potem usiadł naprzeciwko.
— Intrygujące, powiadasz — odezwał się. — Bo się ciebie nie boję.
— Co jest, przyznasz, dość dziwne.
— Jak na Tecklę — dokończył.
— Właśnie.
Nalał wina. Wypiliśmy. On spoglądał na ścianę, a ja przyglądałem się jemu. A potem zaczął mówić i w miarę słuchania stawałem się coraz bardziej zaintrygowany...

* * *

Masz tytuł. Prawda? Baron, tak?... Aha, baronet. No dobrze — tobie to i tak nie robi w sumie różnicy, prawda? Obaj wiemy, ile są warte tytuły z Domu Jherega. Dom Orki to co innego — tam pilnują, żeby tytuły nadawane były we właściwej kolejności i tym, którym się należą. U nich kwatermistrz zawsze jest wyższy od bosmana, a niższy od kapitana. Nie wiedziałeś?... Ale i tak słyszałem o wypadku, kiedy Orka została pozbawiona hrabstwa, bo nadano jej baronię, zabrano

ją i dano księstwo, potem zabrano i dano hrabstwo, a w końcu przywrócono pierwotne hrabstwo. I to wszystko w ciągu tygodnia.

Podobno był to błąd w papierach. W sumie mało istotne, bo te hrabstwa i księstwa tak naprawdę nie istnieją, podobnie jak ma to miejsce w przypadku wielu innych domów. W Domu Chreothy na przykład tytuły są dziedziczne i dożywotnie, chyba że wydarzy się coś naprawdę nienormalnego. Ale też nie są przywiązane do ziemi.

Ale twój tytuł jest przywiązany do ziemi, jest prawdziwy. A byłeś kiedykolwiek w swoich włościach? Widzę po twojej minie, że nawet przez myśl ci to nie przeszło. Ile rodzin żyje w twojej domenie, baronacie Taltos? Co, tylko cztery?! Widzisz, moglibyście się zaprzyjaźnić, a ty nawet nikogo z nich nie znasz. . .

Nie zaskoczyło mnie to — Jheregi myślą w ten sposób. Ta posiadłość znajduje się w jakiejś nieznannej baronii, być może także wyludnionej, a ta w hrabstwie obejmującym pustkowie, które z kolei wchodzi w skład księstwa. Z jakiego domu pochodzi twój książę, baronacie? Także jest Jheregiem? . . . Nie wiesz? To też mnie nie zaskakuje.

O co mi chodzi? Tylko o to, że ze wszystkich „Szlachetnych Domów”, czyli ze wszystkich oprócz Domu Teckli, niewiele może się pochwalić prawdziwą arystokracją i na dodatek nie wszyscy z tego domu się do niej zaliczają. Większość należy do Domu Lyorna, gdyż tylko tam spotkać można rycerzy, a rycerz to tytuł z założenia nie związany z włością.

Pomyślałeś kiedyś o tym, szlachetny Jheregu? Rycerze przypisani są do wojсковych ziem, dlatego w tej okolicy większość posiadłości należy do Smoków — tu pierwotnie znajdowało się wschodnie pogranicze Imperium, a Smoki zawsze były najlepszymi dowódcami.

Moją panią była lady z Domu Dzura. Jej pradziad otrzymał tytuł barona w czasie wojen o wyspę Elde, a ona wyróżniła się odwagą w czasie wojny na Wschodzie jeszcze przed Bezkrólewem. Była stara, ale nie na tyle, by nie pognać na taką czy inną wojnę, więc w domu bywała rzadko. W sumie była dobrą panią — nie zabraniała nam czytać, jak wielu, a ja jeszcze miałem szczęście, że nauczono mnie tej sztuki w młodym wieku, choć potem niewiele książek wpadło w moje ręce aż do. . . ale o tym potem.

Miałem starszą siostrę i dwóch młodszych braci. Mieliśmy trzydzieści akrów ziemi, z których musieliśmy płacić sto buszli zboża albo sześćdziesiąt buszli kukurydzy daniny. Wybór należał do nas. Nie było to mało, ale dało się wyżyć, a pani była wyrozumiała w chudych latach. Nasz najbliższy sąsiad na zachodzie płacił sto pięćdziesiąt buszli zboża daniny za dwadzieścia osiem akrów, więc uważaliśmy się za szczęściarzy i pomagaliśmy mu, gdy tego potrzebował. Sąsiad na północy miał trzydzieści pięć akrów i ponoć posiadał dwa złote imperiale, ale tak rzadko go widywaliśmy, że nie wiem, jaką płacił daninę.

Kiedy skończyłem szesnaście lat, dostałem dwadzieścia akrów na południe od

pól rodziny. Wszyscy sąsiedzi pomogli mi oczyścić pola i zbudować dom wystarczająco duży, by pomieścić rodzinę, którą miałem zamiar w przyszłości założyć. W zamian miałem rocznie dostarczać cztery młode kethny, więc chcąc nie chcąc, zająłem się ich hodowlą.

Po dwudziestu latach spłaciłem pożyczki trzody i ziarna, które dostałem na początku, i uważałem, że powodzi mi się nieźle, zwłaszcza że przyzwyczailem się do smrodu kethn. W Blackwater była pewna kobieta i myślę, że coś się między nami rodziło.

Wszystko tak naprawdę zaczęło się późnym wieczorem wiosną dwudziestego pierwszego roku, gdy gospodarowałem na swoim. Usłyszałem z południa dziwne trzaski, takie, jakie wydaje przewracające się drzewo, ale znacznie głośniejsze, a w nocy zobaczyłem na południu płomień. Stałem przed domem, obserwowałem je i zastanawiałem się.

Po godzinie płomień wypełniały całe niebo, a trzaski stały się naprawdę głośne. Potem coś błysnęło oślepiająco i gdy mogłem znów widzieć, zobaczyłem nad głową ścianę czerwono-żółtego ognia, która zdawała się opadać. Myślę, że wrzasnąłem i wbiegłem do domu. Wtedy ogień opadł i cała moja ziemia zaczęła płonąć. Dom zresztą też — i dopiero to mi uświadomiło, że spoglądam w oczy śmierci. Uznałem to za niesprawiedliwe: zbyt krótko żyłem, by tak skończyć. Wezwałem na pomoc Barłana o Zielonych Łuskach, ale sądzę, że robiło to wówczas wielu. Zwróciłem się więc do Pstrąga, ale nie sprowadził wody, by ugasić pożar. Błagałem nawet Kelchor, boginię kotów-centaurów, by wyniosła mnie w bezpieczne miejsce. Jedynym efektem było to, że dom się rozpałił, część dachu zdążyła się już zawalić, a ja omal nie udusiłem się w dymie.

Wtedy przypomniałem sobie o spiżarni. Wybiegłem na dwór i jakoś przedarłem się przez wyższe ode mnie płomień do kamiennego budynku. Byłem solidnie popalony, ale dostałem się do przepływającego przez nią strumienia i zanurzyłem w lodowatej wodzie. To znaczy w wodzie, która powinna być lodowata, a była ciepła, ale i tak nieporównanie chłodniejsza niż powietrze.

Przeleżałem tam resztę nocy i cały następny dzień, a byłem tak słaby, że zasnąłem. Gdy się obudziłem, powietrze na tyle ostygło, że zdecydowałem się opuścić kryjówkę. Na zewnątrz zobaczyłem pustkę i zniszczenie. Wstyd przyznać, ale dopiero wtedy pomyślałem o trzodzie. Naturalnie spaliła się, zresztą nawet gdybym zdołał w nocy wypuścić zwierzęta, i tak nie zdążyłyby uciec przed ogniem.

I jak myślisz, lordzie Taltos, co zrobiłem potem? Śmiechu warte, ale jedyne, co było wtedy dla mnie ważne, to to, że nijak nie zdołałem w tym roku zapłacić daniny i muszę błagać panią o łaskę. Przecież musi mnie zrozumieć... I dlatego ruszyłem w stronę jej zamku. Na południe.

Aha! Widzę, że też na to wpadłeś. Ja dopiero po paru kilometrach uświadomiłem sobie, że przecież właśnie z południa nadszedł ogień. Tak mnie to zaskoczyło, że stanąłem i długo się zastanawiałem co dalej. W końcu ruszyłem w dalszą drogę,

bo i tak nie miałem dokąd pójść.

Od celu dzieliło mnie wiele mil, a wszędzie wokół rozciągały się spalone pola i obejścia czy popalone lasy, z których zostały jedynie kikuty drzew. Nikogo nie widziałem przez całą drogę — nawet ptaka. Po drodze dotarłem do rodzinnego gospodarstwa i zastałem je tak samo spalone jak inne. Myślę, że byłem zbyt oępiaty, by zrozumieć, co to znaczy. Szedłem dalej, spałem na polach, a ogrzewała mnie ziemia nadal ciepła po tym niezwykłym ogniu.

W końcu dotarłem do zamku, który ku mojemu zaskoczeniu wyglądał na cały i nie naznaczony śladami ognia. Brama jednak była zamknięta, a na moje wołania nikt nie reagował — wspiąłem się na mury, co nie było takie trudne, bo nikt mi w tym nie przeszkadzał. Odszukałem nadpalony drąg, przyciągnąłem go pod mur i użyłem jako drabiny.

Na dziedzińcu nie było żywej duszy, leżało tylko kilka ciał w liberiach Domu Dzura. A ja stałem i trząsałem się, przeklinając się za głupotę — mogłem przecież zabrać jedzenie ze spiżarni: ani się nie spaliło, ani nie zepsuło.

Myślę, że stałem tam dobrą godzinę, nim odważyłem się wejść do któregoś budynku. Znalazłem w końcu kuchnię i najadłem się wreszcie do syta. A potem powoli i stopniowo zebrałem dość odwagi, by przeszukać cały zamek. Trwało to tygodnie, a cały czas spałem, dureń, w stajni, bojąc się użyć choćby kwater służby. Wszystkie trupy spaliłem, jak mogłem najlepiej, choć nie bardzo znałem się na ceremoniach pogrzebowych. Większość należała do mojego domu, a niektórych znałem. Kilku nawet nazywałem przyjaciółmi, nim nie poszli na służbę do zamku, gdyż wówczas przestaliśmy się widywać. Co stało się z baronową, nie wiem, ale jej ciała nie znalazłem.

A potem zacząłem rządzić w zamku. Zwierzęta karmiłem zebranych w spi-chrach ziarnem i zabijałem na własne potrzeby. Spałem w sypialni swej byłej pani, jadłem jej przysmaki i czytałem jej książki. Miała całą bibliotekę książek. Wiele o magii, ale także o historii, geografii i parę powieści. Wiele się nauczyłem, zacząłem nawet praktykować magię, co otworzyło przede mną zupełnie nowy świat...

W ten sposób minęła większa część roku. Pewnego zimowego dnia usłyszałem, jak ktoś ciągnie za sznur dzwonka znajdującego się przy bramie. Wrócił natychmiast cały typowy dla Teckli strach. Zacząłem dygotać i szukać gorączkowo kryjówki.

A potem coś we mnie wstąpiło — może sprawiła to magia, której się uczyłem, a może to wszystko co poza tym przeczytałem... Nie wiem, wiem, że uzmysłowiłem sobie, że nie jestem małym gryzoniem ze słonych bagien i nie muszę się wszystkich bać. A może po prostu podczas tego ognistego piekła zrozumiałem, co to naprawdę znaczy strach i przerażenie.

Zamiast się ukryć, zszedłem po kręconych schodach i otworzyłem bramę.

Zobaczyłem lorda z Domu Lyorna mniej więcej mojego wieku i wzrostu,

w złocistej szacie, futrzanej czapce i żelaznych zarękawkach. Przy pasie miał rapier. Na mój widok oznajmił:

— Poinformuj swego pana, że księżę Arylle chce się z nim zobaczyć.

Wtedy po raz pierwszy poczułem to, co ty pewnie czujesz często, ale dla mnie była to nowość. Poczułem złość, taką jaką odczuwa dzik, szarżując na myśliwego, bowiem zupełnie nieistotny przy niej jest stosunek sił. Dlatego dzik czasami wygrywa, a myśliwy zawsze się boi.

On stał w moim zamku i chciał rozmawiać z moim panem!

Cofnąłem się o krok, wyprostowałem i oznajmiłem:

— Ja tu jestem panem!

Ledwie zaszczycił mnie spojrzeniem.

— Nie opowiadaj nonsensów — poradził. — Sprowadź tu natychmiast swego pana albo każę cię obić.

Miałem dość, więc powiedziałem mu, co myślałem:

— Panie, powiedziałem ci, że ja tu jestem panem. Jesteś w moim domu i brak ci manier, więc zmuszony jestem prosić, byś opuścił moje progi.

Wtedy pierwszy raz naprawdę na mnie spojrział. Z taką pogardą, że normalnie przytłoczyłoby mnie to kompletnie. Sięgnął po broń, pewnie tylko po to, by mnie wypłazować, ale nie zdążył go dobyć. Skorzystałem z nowo nabytych umiejętności magicznych i posłałem mu wyładowanie, które, jak sądziłem, spopieli go na miejscu.

Wykonał oburącz jakiś gest i widać było, że jest zaskoczony. I od tej pory zaczął mnie traktować poważnie. I to zwyczajstwo, baronecie Taltos, będę zawsze wspominał jako jedną z najpiękniejszych chwil w moim życiu. Szacunek na jego twarzy był dla mnie równie wspaniały jak szklanka wody dla umierającego z pragnienia na pustyni.

Odpowiedział znacznie potężniejszym atakiem i wiedziałem, że nie obronię się przed jego magią, więc się uchyliłem. Ściana za moimi plecami eksplodowała ogniem i dymem. Cisnąłem w niego czymś, co mi przyszło na myśl, i rzuciłem się do ucieczki schodami.

Przez następną godzinę bawiłem się z nim, zmuszając do gonitwy przez cały zamek, kłując magią, jak potrafiłem, i unikając rewanzu. Myślę, że śmiałem się i szydziłem z niego, ale nie jestem tego pewien. Wreszcie zrobiłem sobie dłuższą przerwę i zrozumiałem, że w końcu mnie dopadnie i zabije, więc teleportowałem się do spiżarni, którą pamiętałem aż zbyt dokładnie.

Nigdy więcej go nie widziałem i nawet nie wiem, po co przybył — może po należną daninę. Mnie to spotkanie odmieniło wystarczająco, żebym udał się do stolicy, zarabiając po drodze nowymi umiejętnościami magicznymi wśród Teckli. Mag zgadzający się pracować za grosze należy do takich rzadkości, że zgromadziłem całkiem sporą sumę. Już w mieście znalazłem biednego pijacznę z Domu Issoli gotowego nauczyć mnie dworskich manier i wymowy za to, co mogłem mu

zapłacić. Z pewnością nauczył mnie manier i sposobu wysławiania się prymitywnych jak na dworskie standardy, ale nie na dworze chciałem się pokazać. Chodziło mi o to, by być równorzędną konkurencją dla maga pracującego w okolicy.

Naturalnie znów się pomyliłem — byłem Tecklą, czyli żadną konkurencją. Teckla uważający się za maga mógł być zabawny, ale nikt nie traktował go wystarczająco poważnie, by wezwać do uleczenia choroby, zwalczania nałogów czy zabezpieczenia domu przed złodziejami, toteż byłem nędzarzem, gdy trafiłem do dzielnicy ludzi. Nie twierdzę, że żyje mi się tutaj łatwo, bo nie kochacie nas, podobnie jak my was, ale przynajmniej moje umiejętności są tu przydatne i nie przymieram głodem.

Jeśli chodzi o resztę, to spotkałem Franza przypadkiem. Porozmawialiśmy i przekonał mnie, że los ludzi i Teckli jest w gruncie rzeczy niezwykle podobny i że nie musi być tak jak obecnie. Przedstawił mnie Kelly'emu, a ten nauczył mnie widzieć świat jako coś co mogę... co muszę zmienić. I tak zacząłem pracować z Franzem. Razem znaleźliśmy więcej podobnych do mnie, którzy mieli znacznie gorszych panów. Ja mówiłem o terrorze, w którym żyjemy, on o nadziei, że razem możemy uwolnić świat od tego terroru zwanego Imperium. Nadzieja to zawsze połowa sukcesu. My wzbudzamy nadzieję przez nasze działania. A kiedy czasami sami nie wiemy, co powinniśmy zrobić, Kelly prowadzi nas, byśmy to odkryli.

Byli zgranym zespołem, on i Franz — kiedy ktoś nie wykonał zadania, Kelly słownie wypruwał mu flaki, ale Franz był obok, żeby mu pomóc spróbować jeszcze raz, w praktyce — na ulicy. Nic nie było w stanie go przestraszyć. Groźby sprawiały mu przyjemność, bo dowodziły, że ktoś się nas obawia, a więc jesteśmy na dobrej drodze. Taki był Franz, lordzie Taltos. I dlatego właśnie go zabili.

* * *

Nie pytałem, dlaczego go zabili.

Przegryzłem się przez tę historię w ciągu paru minut i wyłowilem z niej to co najważniejsze.

— Paresh, czego dotyczyły te groźby? — spytałem.

Przyglądał mi się tak, jakbyśmy byli świadkami lawiny, a ja zadał pytanie, z jakich kamieni składa się osuwisko. Potem westchnął i odwrócił głowę. Ja też westchnąłem — z Teckli jednak był niewielki pożytek.

— No dobra, kiedy Kelly wróci? — spytałem.

Kiedy ponownie na mnie spojrział, miał minę przywodzącą na myśl zamknięte drzwi.

— A dlaczego chcesz wiedzieć?

Loiośh ścisnął mi ramię, tak na wszelki wypadek.

„Spokojnie, nie przyłożę mu” — obiecałem.

— Bo chcę z nim porozmawiać — wytłumaczyłem Pareshowi łopatologicznie.

— Spróbuj jutro.

Przez moment zastanowiłem się, czy nie wyjaśnić mu, o co chodzi, bo najprawdopodobniej też znał odpowiedź, ale zrezygnowałem. Był nietypowy jak na kogoś z Domu Teckli, ale nadal pozostał Tecklą.

Wstałem, wyszedłem i wróciłem do swojej części miasta.

Rozdział trzeci

„... oraz zacerować rozcięty mankiet...”

Na znajomy teren dotarłem wczesnym wieczorem, a ponieważ nie widziałem powodu, by iść do biura, poszedłem do domu.

Jeden podpierał ścianę na Garshos Street w pobliżu Copper Lane. Loiosh i ja dostrzegliśmy go równocześnie, ale zaraz potem Loiosh ostrzegł:

„Drugi jest z tyłu.”

„Jasne.”

Nie martwiłem się zbyt, bo gdyby chcieli mnie zabić, zobaczyłbym ich dopiero, gdy zaatakowałiby. Ten z przodu odlepił się od muru i zablokował mi drogę — był to Bajinok. Co oznaczało, że jest tu z polecenia Hertha rządzącego całym południem miasta. Opuściłem ramiona i stanąłem o parę kroków przed nim. Loiosh zaś obserwował tego za mną. Bajinok spojrzął na mnie z góry i oznajmił:

— Mam wiadomość.

Kiwnąłem głową, domyślając się jaką.

Dodał:

— Trzymaj się od tego z daleka.

Ponownie kiwnąłem głową.

— Zrobisz tak? — upewnił się.

— Obawiam się, że nie mogę.

Sięgnął ku rękojeści miecza — ot taki odruchowy straszący gest.

— Jesteś pewien? — spytał.

— Jestem.

— Mogę argumentować — ostrzegł.

Ponieważ nie miałem ochoty mieć złamanej nogi czy ręki, cisnąłem w niego nożem. Od dołu i bez ostrzeżenia. Sporo czasu ćwiczyłem taki rzut, gdyż jest równie trudny co skuteczny. To znaczy — tylko przy dużym szczęściu nóż trafia ostrzem, a nie rękojeścią, ale ruch jest szybki i nie znam nikogo, kto nie zrobiłby odruchowego uniku. On też go zrobił.

A Loiosh wystartował ku drugiemu. Nóż trafił Bajinoka w brzuch, ale rękojeścią, dało mi to jednakże dość czasu, by dobyć rapier i uskoczyć na ulicę, by nie przyparli mnie do muru.

Skoczył na mnie z rapierem w jednej, a sztyletem w drugiej dłoni. Nie zdążył jeszcze przyjąć pozycji, gdy trafiłem go w prawą nogę nad kolaniem. Zaklął i cofnął się, ale nie dość szybko — dwoma krótkimi cięciami naznaczyłem mu lewy policzek i rozplątałem prawy nadgarstek. Cofnął się o kolejny krok. Mój rapier przeszył jego lewe ramię i Bajinok padł na plecy.

Poszukałem wzrokiem drugiego. Był duży, silny i świeżo pogryziony na gębie przez Loiosha. Wymachiwał też zawzięcie ciężkim rapierem, próbując trafić, co Loiosh, weteran podobnych starć, kwitował złośliwym sykiem, trzymając się tuż poza jego zasięgiem. Lewą dłonią wybrałem stosowny nóż i posłałem go w brzuch natręta. Tym razem normalnie i z gwarantowanym wynikiem. Jęknął i ciął szeroko. Ostrze przeciwnika przeleciało zadziwiająco blisko mojego lewego nadgarstka, ale to było wszystko, na co mógł się zdobyć. W następnej sekundzie puścił broń, klęknął, po czym złapał się oburącz za brzuch, zgiął w pałąk i znieruchomiał.

— Dobra, zabierajcie się — poleciłem, maskując ciężki oddech.

Spojrzeli na siebie i ten z moim nożem w brzuchu teleportował się. Bajinok zaś pobierał się i utykając, odszedł. Trzymał się cały czas za lewe ramię i ani razu się nie odwrócił.

Zmieniłem zdanie co do pójścia do domu i zawróciłem.

Loiosh cały czas obserwował Bajinoka.

* * *

— Uznałbym to za ostrzeżenie — ocenił Kragar.

— Nie jesteś mi potrzebny do wygłaszania komunałów i innych prawd oczywistych.

— Polemizowałbym, ale nie o to teraz chodzi. Problem w tym, jak daleko się posunie.

— O, widzisz! Do znajdowania odpowiedzi na takie pytania jesteś mi potrzebny — pochwaliłem.

— Prawdę mówiąc nie wiem... — przyznał. — Ale najrozsądniej byłoby przygotować się na najgorsze.

Przytaknąłem ruchem głowy.

„Szefie?”

„Tak.”

„Powiesz Cawti?”

„Co?! Oczywiście, że... aha, już wiem, o co ci chodzi: nieszczęścia chodzą parami...”

Wyglądało na to, że Kragar wyszedł w trakcie naszej rozmowy, więc wyjąłem sztylet i cisnąłem go z całych sił w ścianę. Tę bez tarczy. Ślad, który pozostał, gdy go wyjąłem, nie był pierwszy. Ale był najgłębszy.

* * *

Wróciłem do domu dość późno, ale Cawti jeszcze nie było. Nie zmartwiło mnie to, gdyż nadal nie mogłem się zdecydować. Zapadłem w ulubiony fotel — wielki, szary i zdecydowanie zbyt miękki. Miał też specyficzną szorstką powierzchnię, toteż unikałem siadania w nim bez ubrania. Całkiem długo się odprężałem, uważając jedynie, by nie wypić za dużo, ale nie doczekałem się.

Więc skoncentrowałem się i wywołałem ją telepatycznie.

„Tak?”

„Cześć. Gdzie jesteś?”

Nie odpowiedziała i natychmiast stałem się czujny.

„Dlaczego pytasz?” — spytała w końcu.

„Bo chcę wiedzieć. Dlaczego cię to dziwi?”

„W Dzielnicy Wschodniej.”

„Jesteś w niebezpieczeństwie?”

„Nie większym niż każdy człowiek żyjący w tym społeczeństwie.”

Zdusiłem w zarodku odruchową odpowiedź i spytałem:

„Kiedy wrócisz?”

„A po co chcesz wiedzieć?”

Zacząłem być naprawdę zły. Prawie jej powiedziałem: „Bo omal mnie dziś nie zabili”, ale to akurat nie byłaby prawda. Zresztą...

„Nieważne” — odrzekłem.

I przerwałem połączenie.

Wstałem i poszedłem do kuchni. Rozpaliłem w piecu, zagotowałem wodę i zmyłem talerze, które wcześniej Loioś i Rocza wylizali do czysta. Wytarłem stół i zamiotłem kuchnię, a śmieci wsypałem do pieca. Zamiast wycierać naczynia, osuszyłem je magicznie, bo nigdy nie lubiłem tej czynności. Już miałem je schować, gdy zauważyłem, że szafka nie jest pierwszej czystości, więc wyjąłem z niej wszystko, przetrąłem półki moką ścierką i wstawiłem z powrotem. Ktoś w tym momencie chciał nawiązać kontakt telepatyczny, ale nie była to Cawti, więc go zignorowałem.

Wytarłem podłogę w kuchni, wróciłem do pokoju i stwierdziłem, że nie mam ochoty na wycieranie kurzu. Usiadłem wygodnie i pograżyłem się w błogim nieróbstwie pełen podziwu dla własnej pracowitości.

Po paru minutach wstałem, złapałem szmatę i starłem kurz z półek przy drzwiach, czyszcząc przy okazji polerowanego psa z drewna i ramkę z miniaturą Cawti oraz rzeźbę lyorna wyglądającą na wykonaną z jadeitu. No i naturalnie większą znacznie miniaturę dziadka. Z żadną nie rozmawiałem — nie byłem w nastroju.

Potem ścierką z kuchni przetrąłem stolik do herbaty, który Cawti podarowała mi w zeszłym roku. Odnosząc ją, zauważyłem, że róg lyorna celuje w miniaturę Cawti, która gdy jest przewrażliwiona, potrafi większe zbiegi okoliczności uznać za celowe dawanie czegoś do zrozumienia, więc przestawiłem figurkę. I usiadłem zadowolony z siebie.

Po czym wstałem i starłem kurz z lanta, który podarowałem jej w zeszłym roku, a którego ona przez dwanaście tygodni nawet nie nastroiła. A potem wyrzuciłem ścierkę, podszedłem do półki i wziąłem tomik wierszy Winta. Przekartkowałem go i odłożyłem, gdyż nie chciało mi się bawić w odgadywanie, co miał na myśli. Sięgnąłem po Bingię, ale uznałem, że jest zbyt przygnębiająca. Po Torturiego czy Lartola nawet nie sięgałem — sam potrafię być próżny albo sprytny, nie muszę czytać kogoś, kto się na to sili. Sprawdziłem Imperialny Zegar, potem swój wewnętrzny — oba były zgodne: na pewno jeszcze nie zdołam zasnąć.

„Loioosh?”

„Co, szefie?”

„Nie obejrzałbyś przedstawienia?”

„Jakiego?”

„A bo ja wiem?”

„Jasne.”

* * *

Do Kieron Circle doszedłem, zamiast się teleportować, bo nie chciałem się sprzeczać z własnym żołądkiem. Był to kawał drogi, ale szło mi się dobrze. Teatr wybrałem, nie patrząc co grają, byle przedstawienie rozpoczynało się zaraz. Chyba to było coś historycznego dziejącego się przed Bezkrólewem, bo w ten sposób można użyć wszystkich kostiumów wiszących w magazynie przez ostatnie pięćdziesiąt lat.

Po jakimś kwadransie zacząłem mieć nadzieję, że może ktoś spróbuje rąbnąć mi sakiewkę — wtedy coś by się zaczęło dziać. Rzuciłem szybkie spojrzenie za

siebie i nadzieja zwiędła: za mną siedziała starsza para z Domu Teckli, najprawdopodobniej przepuszczająca właśnie roczne oszczędności.

Wyszedłem przed końcem pierwszego aktu. Loiosh nie protestował — uważał, że aktora grającego Warlorda nie powinni wypuścić z piwnicy — jeśli chodzi o teatr, Loiosh jest prawdziwym snobem.

„Warlord to Smok, no nie szefie? A Smoki wkraczają, nie wślizgują się. A ta oferma na dodatek trzy razy potknęła się o własną szpadę! I miał się domagać zwiększenia zaciągu, a nie błagać o . . .”

„A który to był Warlord?” — spytałem uprzejmie.

„At, z tobą o sztuce szkoda gadać.”

Do domu wróciłem spacerkiem, żywiąc nadzieję, że może ktoś mnie napadnie, to miałbym okazję do rozrywki, ale jak na złość wszędzie było cicho i spokojnie. Już wydawało mi się w pewnym momencie, że ktoś chce mnie rozebrać z peleryny, ale okazało się, że to tylko jakiś wiekowy Orka będący pod wpływem czegoś tam. Zanim zdążył się odezwać, spytałem, czy nie ma zbędnych drobnych — zamarł z otwartą gębą i wytrzeszczonymi oczyma. Poklepałem go po ramieniu i poszedłem dalej.

Kiedy wróciłem, okazało się, że Cawti już śpi. Powiesiłem pelerynę, zdjąłem buty i wszedłem do sypialni. Z dziesięć minut stałem obok łóżka, mając nadzieję, że się obudzi i spyta, co się stało, i będę mógł jej zrobić awanturę. Nawet nie drgnęła. Pewnie stałbym tak dłużej jak ta oferma skończona, gdyby nie Loiosh. Nie odezwał się co prawda, ale wyraźnie dał mi do zrozumienia, co myśli o rozczulających się nad sobą po nocy niedojdach.

Rozebrałem się i położyłem.

Zasnąłem długi czas później.

* * *

Budziłem się powoli.

Z budzeniem u mnie bywa różnie — zdarzało się, że przytomniałem natychmiast rozbudzony ostrzeżeniem Loiosha. Raz czy dwa budziły mnie niemiłe rzeczy, które prawie się wydarzyły. Ale zazwyczaj mam tę chwilę między snem a jawą zdającą się trwać godzinami, kiedy tuli się poduszkę i zastanawia, czy naprawdę ma się ochotę wstać. Potem przewracam się na plecy, otwieram oczy i patrząc w sufit, zaczynam przypominać sobie, co też mam tego dnia do zrobienia. I to dopiero tak naprawdę mnie budzi. Już dawno tak sobie zorganizowałem życie, by każdego dnia znalazł się jakiś powód, dla którego trzeba wstać. A to wyprawa do Wschodniej Dzielnicy na targ przypraw, a to finalizacja interesu z otwarciem

nowego burdelu, a to wizyta w Czarnym Zamku i kontrola bezpieczeństwa oraz pogawędka z Alierą, a to śledzenie jakiegoś faceta, by potwierdzić, że codziennie odwiedza kochankę. Słowem rozmaite drobne, ale istotne powody.

Obudziłem się następnego ranka i stwierdziłem, że jestem lepszy, niż sam siebie podejrzewałem, bowiem wstałem, nie mając ku temu absolutnie żadnego powodu. Cawti musiała wstać wcześniej, ale nie wiedziałem, czy jest w domu czy nie, i średnio mnie to wzruszało. Tak na dobrą sprawę to nie bardzo miałem po co wychodzić z pokoju — interes się kręcił, zobowiązań względem nikogo nie miałem, a jedyne, czym powinienem się zająć, to odkrycie, dlaczego Herth kazał zabić Franza, a Cawti, którą powinno to interesować, miała wszystko gdzieś.

Dotarłem do kuchni i podgrzałem wodę. Cawti siedziała w salonie i czytała jakąś gazetkę. Poszedłem do łazienki. Użyłem nocnika zgodnie z przeznaczeniem i opróżniłem go, używając magii. Szybko, sprawnie i porządnie jak przeciętny Dragaerianin. Ogoliłem się w zimnej wodzie — mój dziadek golił się w takiej, zanim zapuścił brodę, twierdząc, że w ten sposób człowiek lepiej przygotowuje się do zimy. Pojęcia nie mam, o co mu chodziło, ale z szacunku do niego też się gołem w zimnej wodzie. Pożułem czyszczący zęby patyk, wyrzuciłem go i wypłukałem usta. Woda osiągnęła w tym czasie temperaturę odpowiednią do kąpieli, więc wszedłem do wanny i wymoczyłem się.

Po kąpieli wytarłem się, wyczyściłem łazienkę, ubrałem się i wylałem wodę przez okno z tyłu budynku. Wylądowała na ziemi z miłym pluskiem i spłynęła strumyczkami w dół alejki. Że też nikt dotąd nie zaczął wróżyć z wylanej po kąpieli wody! Spojrzałem w lewo — pod oknem sąsiadki było sucho, czyli znów wstałem wcześniej od niej. Nie ma to jak rozpocząć dzień od małego zwycięstwa.

Przeszedłem do salonu, zagłębiłem się w swój fotel stojący naprzeciw tapczanu zajętego przez Cawti i spojrzałem na tytuł: „Trzeba zażądać śledztwa...” Dalej nie doczytałem, bo Cawti odłożyła gazetkę i spojrzała na mnie.

Oznajmiłem:

— Jestem na ciebie wściekły.

— Wiem — przyznała spokojnie. — Wyjdziemy coś zjeść?

Kiwnąłem głową potakująco.

Z jakichś powodów nie udawało nam się sensownie dyskutować o rozmaitych kwestiach w domu. Zupełnie inaczej rzecz się miała w lokalu.

Wybraliśmy niewielką znajomą knajpkę. Zamówiłem sadzone jajka i klawę, Cawti zaś herbatę. Loiosh i Rocza z sobie jedynie znanych powodów obsiedli moje ramiona, gdy wychodziliśmy, i pozostali na nich przez całą drogę i potem w lokalu.

Kiedy kelner odszedł z zamówieniem, Cawti spytała:

— Dobrze. Dlaczego jesteś wściekły?

Była to doskonała metoda sprowadzająca rozmówcę na pozycję obronną.

Żeby tak się nie stało, odpowiedziałem pytaniem:

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, gdzie byłaś?
 Ona też знаła ten sposób.
 — A dlaczego chciałaś wiedzieć?
 I uśmiechnęła się lekko.
 — Dlaczego niby miałbym nie chcieć? — spytałem i także się uśmiechnąłem.
 Przez chwilę oboje poczuliśmy się lepiej.
 A potem Cawti potrząsnęła głową i powiedziała:
 — Kiedy spytałeś, gdzie jestem i kiedy wrócę, zabrzmiało to tak, jakbyś zamierzał aprobować lub nie to, co robię o tej porze poza domem.
 Spoważniałem natychmiast.
 — Absurd! Po prostu chciałem wiedzieć, gdzie jesteś.
 — Dobrze, jestem absurdalna, ale to nadal nie daje ci prawa...
 — Cholera, nie powiedziałem, że jesteś absurdalna,
 — I wiesz o tym. Oskarżasz mnie...
 — Nie oskarżam cię o nic. Powiedziałałam, co czułam.
 — I w ten sposób sugerujesz...
 — To śmieszne!

Była to doskonała okazja, by odplacić jej pięknym za nadobne i powiedzieć: „Dobrze, więc jestem śmieszny”, ale miałem dość.

— Posłuchaj i zapamiętaj sobie — powiedziałem spokojnie. — Nigdy nie próbowałem dyktować ci, co masz robić. Wróciłem do domu, nie było cię...
 — Jeszcze powiesz, że pierwszy raz?
 — Tak — odparłem odruchowo.

Oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda, ale już palnąłem. Cawti uniosła kącik ust w ironicznym uśmieszku i brwi w wyrazie uprzejmego niedowierzania.

— No dobrze — przyznałem. — Ale tym razem martwiłem się o ciebie.
 — O mnie? Czy o to, że jestem zamieszana w coś, czego nie pochwalasz?
 — O tym, że jesteś zamieszana w coś, czego nie pochwalam, wiem już od paru dni.
 — A dlaczego tego nie pochwalasz?
 — Dlatego, że to głupie. Jak pięciu ludzi i Teckla mogą „zniszczyć despotyzm” Imperium? A...
 — Jest nas więcej. To tylko wierzchołek góry lodowej.
 Zatkano mnie.
 — Co to jest „góra lodowa”? — spytałem ostrożnie po chwili.
 Teraz ją zatkano.
 — Hmm... nie wiem — przyznała. — Ale wiesz, o co mi chodzi.
 — Podejrzewam, że wiem. Problem w tym, że nawet nie zbliżamy się do okresu panowania Cesarza z Domu Teckli. Mógłbym sobie coś podobnego wyobrazić w tym czasie, ale teraz rządzi Feniks, a następny będzie Smok i nie wiadomo, czy

my tego dożyjemy. Teckla jest tak daleko w kolejce, że nawet nie warto wspominać. Po drugie, co jest znowu takiego złego w istniejącej sytuacji? Naturalnie nie jest doskonała, ale żyjemy na nienajgorszym poziomie i zawdzięczamy to samym sobie. A ty mówisz o zrezygnowaniu z ambicji, stylu życia i wszystkiego innego. I to po co? Po to, żeby grupka niezauważanych mogła udawać, że są ważni i . . .

— Uważaj.

— Na co? Chciałaś usłyszeć moje zdanie, to je słyszysz. Odpowiedziałem na twoje pytanie?

Milczała.

I to na tyle długo, że przyniesiono śniadanie, więc zajęliśmy się jedzeniem. Kiedy skończyliśmy, przyszła kolej na Loiosha i Roczę. Dopiero wtedy Cawti odezwała się:

— Vladimir, postanowiliśmy kiedyś nigdy nie trafiać drugiego poniżej pasa, nie wykorzystywać znanych, czułych miejsc, prawda?

Pytanie wpłynęło niekorzystnie na zadomawianie się śniadania w moim żołądku, ale przytaknąłem.

— Chodzi mi o to, że to, co powiem, może zabrzmieć tak, jakbym złamała tę zasadę, ale nie o to mi chodzi. I nie chodzi mi o to, by cię zranić, a nie widzę innego sposobu, by ci to wytłumaczyć. Dlatego musiałam cię uprzedzić. Rozumiesz?

— Rozumiem. Wal.

— Tylko nie wyłączaj się, jak to masz w zwyczaju, gdy próbuję cię zmusić do zastanowienia się nad samym sobą. Będiesz mnie tym razem słuchał?

Dopiłem klawę, skinąłem na kelnera i gdy przyniósł następną, obiecałem:

— Będę.

— Do niedawna sądziłeś, że zająłeś się tym, co robisz zarobkowo, z nienawiści do elfów. Zabijając ich, za ich własne pieniądze wyrównywałeś rachunki za to, jak cię traktowali w młodości. Mam rację?

Przytaknąłem.

— Dobrze. Kilka miesięcy temu rozmawiałeś z Alierą.

Skrzywiłem się na samo wspomnienie, ale przyznałem:

— Rozmawiałem.

— Powiedziała ci, że w poprzednim życiu byłeś . . .

— Dragaerianinem — dokończyłem.

— I jak sam przyznałeś, czułeś się tak, jakby całe twoje obecne życie było kłamstwem.

— Tak.

— Dlaczego?

— Hmm?

— Dlaczego to tobą aż tak wstrząsnęło?

— Nie rozumiem. . .

— Czy dlatego, że zawsze czułeś, że musisz znajdować uzasadnienie swoich czynów? Że gdzieś w głębi duszy uważasz, że zabijanie ludzi dla pieniędzy jest złe?

— Nie ludzi, tylko elfów — poprawiłem ją odruchowo.

— Ludzi. I właśnie udowodniłeś, że mam rację. Nas oboje życie zmusiło do zajęcia się tym, czym się zajmujemy. Ty musiałeś sam przed sobą to uzasadnić i zrobiłeś to tak dokładnie, że nie rezygnujesz z „roboty”, mimo że już nie musisz tego robić. Masz wystarczające dochody ze swojego terenu, by nie musieć dorabiać. Jeżeli doda się do tego fakt, że uzasadnienie, które znalazłeś, rozpadło się po tym, co usłyszałeś od Aliery, wychodzi na to, że nie wiesz, na czym stoisz, i cały czas zastanawiasz się, czy tak naprawdę nie jesteś po prostu urodzonym mordercą, czyli kimś całkowicie złym.

— Nie...

— Pozwól mi skończyć. Otóż nie jesteś zły. Robiłeś to, co robiłeś, by móc żyć i zapewnić potem nam obojgu dom i wygodne życie. Ale powiedz mi, skoro już nie możesz ukrywać się za nienawiścią do Dragaerian, czy uważasz, że państwo, w którym żyjemy, jest dobre, skoro zmusza kogoś takiego jak ty do robienia tego, co robisz, tylko po to, by miał za co żyć i mógł chodzić po ulicach, nie kłaniając się każdemu uniżenie? Co to za Imperium, które nie tylko stworzyło Dom Jherega, ale pozwala mu rozkwitać? Możesz znaleźć uzasadnienie poglądu, że to słuszne i sprawiedliwe?

Zająłem się klawą, pozwalając, by jej słowa pokotłowały się w moim umyśle, po czym powiedziałem:

— Tak jest urządzony ten świat. Nawet jeśli ci, z którymi ostatnio przebywasz, nie są kompletnymi wariatami, to nie są w stanie zrobić nic, by to zmienić. Nawet zmiana Cesarza dałaby jedynie kilkuletnią odmianę, po czym wszystko wróciłoby do stanu obecnego. Gdyby został nim człowiek, to jeszcze szybciej.

— A to jest zupełnie odmienna kwestia. Chodzi mi o to, że musisz dojść do ładu z tym, co robisz, na czyj koszt żyjesz i dlaczego. Pomogę ci, ile będę mogła, ale to twoje życie i ty przede wszystkim musisz się z tym uporać.

Wpatrzyłem się w kubek z klawą — wszystko się zaciemniało, zamiast wyjaśniać.

W końcu powiedziałem:

— No dobrze, ale nadal mi nie powiedziałaś, gdzie byłaś.

— Uczyłam.

— Czego?!

— Czytania. Klasę złożoną z ludzi i z Teckli.

Wybałuszyłem oczy.

— Moja żona jest belfrem.

— Nie zaczynaj.

— No dobra, każdy ma ukryte talenty. Jak długo ich uczysz?

— Dopiero zaczęłam.

— Doskonale — odchrząknąłem. — I jak ci idzie?

— Dobrze.

Nagle coś mi przyszło do głowy.

— A dlaczego dopiero teraz zaczęłaś ich uczyć? — spytałem niewinnie.

— Bo ktoś musiał to robić po śmierci Franza — odparła spokojnie, potwierdzając moje podejrzenia.

— Aha... Słuchaj, a nie przyszło ci do głowy, że może właśnie za to go zabi-
to?

Spojrzała mi w oczy i powiedziała:

— Przyszło.

Coś lodowatego przemaszerowało mi po plecach.

— I mimo to narażasz... .

— Nie jestem Franzem... . — przerwała mi ostro.

— Wiem. I wiem także, podobnie jak ty, że każdego można zabić. Jak długo
ktoś jest skłonny wynająć zawodowca, a oczywiście jest, że jest skłonny, każdego
można zabić.

— Wiem.

— Nie!

— Co „nie”?

— Nie zmuszaj mnie, żebym wybierał... .

— Ja wybrałam.

— A ja nie pozwolę ci brać udziału w czymś, co sprawia, że jesteś bezbronnym
celem.

— Nie powstrzymasz mnie.

— Powstrzymam. Jeszcze co prawda nie wiem jak, ale powstrzymam.

— Jeśli to zrobisz, odejdę.

— Jeśli będziesz martwa, nie będziesz miała możliwości takiego wyboru.

Umilkła i wytarła klawę, którą rozlałem i nawet tego nie zauważyłem.

— Nie jesteśmy bezbronni — odezwała się po chwili. — Mamy poparcie
i zwolenników.

— Ludzi i Teckle.

— To Teckle wszystkich żywią.

— Wiem. I wiem także, co się stało ostatnim razem, gdy próbowali to zmienić.
Ty też wiesz, że burzyli się kilkakrotnie, ale sukces odnieśli tylko raz: gdy Cesarz
pochodził z Domu Orki, a następny w kolejności miał być z Domu Teckli. Jak ci
już powiedziałem, taka sytuacja w najbliższym czasie nie nastąpi.

— Nie mówimy o powstaniu Teckli ani o rządach Teckli. Mówimy o złamaniu
kolejności cyklu.

— Adron próbował go tylko przyspieszyć i zniszczył miasto, wywołując Bez-
królowie trwające ponad dwieście lat. Pamiętasz?! I też mu się nie udało.

— My nie mamy zamiaru używać żadnej magii czy czarów. Dokonamy tego siłą mas tych, którzy dysponują prawdziwą władzą.

Ugryzłem się w język, by nie powiedzieć, kto tu naprawdę dysponuje władzą, a komu się tak tylko wydaje. Zamiast tego wróciłem do znacznie bardziej przyziemnej kwestii:

— Nie mogę pozwolić, byś została zabita, Cawti.

— Najlepszym sposobem ochrony mnie będzie przyłączenie się do nas. Możemy wykorzystać...

— Słowa — przerwałem jej. — To tylko słowa.

— Słowa, ale płynące z umysłów i serc myślących istot ludzkich. Nie ma na świecie potężniejszej siły ani lepszej broni, kiedy zaczniesz się ich właściwie używać.

— Zgrabne — przyznałem. — Ale ja mam inne zdanie na ten temat i nie zgadzam się z tym, co powiedziałaś.

— Będziesz musiał. A przynajmniej będziesz musiał to skonfrontować.

Nie odpowiedziałem.

Bo nie miało to sensu.

Oboje już nic nie mówiliśmy, ale nim wyszliśmy, wiedziałem, co będę zmuszony zrobić. I wiedziałem, że Cawti się to nie spodoba.

Mnie też się nie podobało.

Rozdział czwarty

*„1 para spodni szarych
— usunąć ślady krwi z prawej nogawki...”*

Spacer do dzielnicy zamieszkaney przez ludzi zajmował dobre dwie godziny. I było to czyste marnowanie czasu, tyle że alternatywą był trwający trzy sekundy teleport i piętnaście do dwudziestu minut uspokajania własnego żołądka. A w razie częstszego stosowania opróżnienie tegoż żołądka w trybie nagłym i z kwadrans dochodzenia do siebie. Dlatego głównie pokonywałem tę trasę na piechotę, co dawało mi okazję przemyślenia wielu spraw, ale zabierało masę czasu — każda wycieczka tam i z powrotem to pięć godzin marszu.

Straciłem więc kolejny raz ponad dwie godziny, nim dotarłem do celu i stanąłem przed wejściem, tym razem zasłoniętym jakimś kawałem materiału. Ponieważ nie zamierzałem klaskać ani walić w ścianę, zawołałem:

— Jest tam kto?

Rozległy się ciężkie kroki, zasłonka poruszyła się i oto miałem przed sobą przyjaciela Gregora. Za nim stała Sheryl, przyglądając mi się. Oboje tak skutecznie blokowali przejście, że nie widziałem, czy w pokoju jest ktoś jeszcze, toteż przepchnąłem się obok Gregora i dopiero gdy wszedłem, spytałem:

— Kelly jest w pobliżu?

— Nie krępuj się, wejdź — zaprosiła mnie ironicznie Sheryl.

Zignorowałem to. W pomieszczeniu nie było nikogo więcej, za to w rogu leżała sterta gazetek — takich jak ta, którą rano czytała Cawti.

— Dlaczego chcesz się widzieć z Kellym? — spytał Gregor.

— Bo planuję pozostawić wszystkie moje dobra doczesne w spadku największemu idiocie, jakiego spotkam, i chciałem sprawdzić, czy się nadaje. Jednakże teraz po bliższym poznaniu ciebie wychodzi mi, że już nie muszę dłużej szukać.

Spojrzał na mnie bykiem.

Sheryl zachichotała i zarumieniła się.

W tym momencie do izby wszedł Kelly. Przyjrzałem mu się dokładniej, korzystając z lepszego oświetlenia. Rzeczywiście, był gruby i niski, ale sprawiał

wrażenie nabitego, nie tłustego. Czoło miał płaskie, sprawiające wrażenie, iż cała głowa jest duża, co podkreślały krótko przycięte — gdzieś na pół cala — włosy. Nie miał bokobrodów ani innego zarostu na twarzy, zaś oczy niewielkie, wąskie i prawie stale zmrużone. Natomiast usta niezwykle wyraziste, prawdopodobnie z uwagi na otaczającą je ilość tłuszczu. Ogólnie sprawiał wrażenie kogoś, kto może w jednej chwili z radosnego stać się groźny, jak dajmy na to Świetlik.

— Chodź — powiedział, odwrócił się i zniknął za zasłoną w otworze drzwiowym, prowadzącym do dalszych pomieszczeń.

Nie wiedziałem, czy z zasady jest nieuprzejmy, czy było to celowe pod moim adresem, ale w sumie nie obchodziło mnie to.

Poszedłem za nim.

Pokoik, do którego weszliśmy, był wąski, zagracony i pachniał tytoniem fajkowym, choć Kelly nie miał zębów palacza. Byłbym zresztą zdziwiony, gdyby okazało się, że w ogóle ma jakieś nałogi. Poza obżarstwem, znaczy się. Dragarianie mogą sobie na to pozwolić bezkarnie, gdyż przy użyciu magii są w stanie pozbyć się nadmiaru tłuszczu. Ludziom niestety nie jest tak łatwo: podobne próby kończyły się śmiercią pacjenta, toteż dawno temu zaprzestano ich.

Pod ścianą stały regały pełne książek w skórzanych oprawach — głównie czarnych, czasami brązowych. Nie byłem w stanie przeczytać tytułów, ale autorem jednej był niejaki Pdraic Kelly.

Wskazał mi proste drewniane krzesło, sam zajął takie samo stojące za niezbyt pewnie wyglądającym biurkiem i czekał.

Wskazałem palcem na książkę i spytałem:

— Ty ją napisałeś?

Spojrzał, o którą mi chodzi, i odparł:

— Ja.

— O czym jest?

— To historia powstania w 221.

— A gdzie ono wybuchło?

Przyjrzał mi się uważnie, jakby sprawdzając, czy sobie żartów nie stroję, po czym powiedział:

— Tu. W południowej części Adrilankhi.

— Aha... — odchrząknąłem. — Czytujesz poezje?

— Owszem.

Westchnąłem. Nie miałem tak naprawdę ochoty przejść do gróźb, ale wyglądało na to, że nie mam innego wyjścia, bo niby o czym miałem z nim gadać?

— Cawti opowiedziała mi co nieco o tym, czym się zajmujecie — zagailem.

Kiwnął głową i czekał na ciąg dalszy.

— Nie podoba mi się to — oznajmiłem.

Zmrużył oczy i nadal milczał.

— Nie podoba mi się, że Cawti jest w to zamieszana — dodałem.

Nadal nic nie mówił, przypatrując mi się.

— Ale to jej sprawa. Nie kieruję jej życiem i jeśli chce marnować czas w ten sposób, nie będę jej tego zabraniał — zrobiłem przerwę, czekając na komentarz, który nie nastąpił, więc dokończyłem: — W tej chwili najbardziej nie daje mi spokoju ta nauka czytania. Franz się tym zajmował, tak?

— Tym i innymi sprawami.

— Dobra. Proponuję ci więc układ: dowiem się, kto i dlaczego go zabił, jeśli przestaniesz prowadzić naukę czytania albo znajdziesz kogoś innego, kto będzie uczył. Nie chcę, żeby Cawti się tym, zajmowała.

Nadal mi się przypatrywał.

— A jeżeli nie? — spytał.

Zaczynał mnie irytować, bo nie lubię, gdy ktoś się na mnie gapi jak wół na malowane wrota. Zgrzytnąłem zębami, tłumiąc ochotę powiedzenia mu obrazowo, co z nim zrobię, bo to w tej sytuacji nie prowadziłyby do niczego. Wziętem głęboki oddech i powiedziałem spokojnie:

— Nie zmuszaj mnie, żebym ci groził. Nie lubię grozić ludziom.

Pochylił się nad blatem, mrużąc oczy bardziej niż zwykle i zaciskając usta.

Po czym wycedził:

— Przychodzisz tu sprowadzony śmiercią męczeńską człowieka, który...

— Daj sobie spokój.

— Ja ci nie przerywałem. To była męczeńska śmierć: zginął, walcząc za to, w co wierzył! — oznajmił i zamilkł, przyglądając mi się, po czym dodał nieco łagodniej. — Wiem, czym się zajmujesz. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak nisko upadłeś.

Dotknąłem rękojeści sztyletu, lecz nie wyjąłem go.

— Masz rację — zgodziłem się. — A ponieważ nie zdaję sobie z tego sprawy, nie wysilaj się, by mi o tym opowiadać.

— Sam decyduję, na co chcę tracić siły. Ty nie jesteś w stanie nawet tego ocenić, bo nie potrafisz oceniać światka. Nawet ci do głowy nie przyszło, że sprzedawanie śmierci niczym warzyw na targu jest złe i niewłaściwe.

— Nie przyszło. A teraz, jeżeli już skończyłeś...

— Ale tu nie tylko o ciebie chodzi, lordzie Zabójco. Ile z tego, co każdy z nas robi, robi z własnej woli, a do jakiej części jest zmuszany? Akceptujesz to, nie myśląc i nie zastanawiając się nad tym. Ludzie i Teckle są zmuszeni sprzedawać połowę swoich dzieci, by wykarmić resztę. Nie wiesz o tym, czy po prostu cię to nie interesuje?

— Mogą robić mniej dzieci, ale nie w tym rzecz. Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

Zgrzytnął zębami i tak zmrużył oczy, że aż dziw brał, iż cokolwiek widzi.

— Ludzkość nie może upaść niżej niż ty — oznajmił. — Nie wiem, czy zająłeś się tym, bo nie miałeś wyboru, czy dlatego, że jesteś tak zboczony, że sprawia

ci to przyjemność, i nie obchodzi mnie to. W tym budynku znajdziesz kobiety i mężczyzn dumnych z tego co robią, bo wiedzą, że walczą o lepszą przyszłość. A ty ze swym cynizmem i złośliwościami nie tylko nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale chcesz nam jeszcze mówić, jak powinniśmy postępować. Nie mamy czasu dla takich jak ty ani na słuchanie twoich propozycji. A twoje groźby nie robią na nas wrażenia.

Urwał, jakby czekał, czy coś powiem.

Nie powiedziałem, bo szkoda było śliny.

— Wyjdź — powiedział cicho.

Wstałem i wyszedłem — w końcu to był jego dom.

* * *

„Różnica między zwycięstwem a porażką polega na tym, czy ma się potem ochotę wrócić do domu.”

„Ale mądre, szefie. To gdzie my idziemy?”

„Nie wiem.”

„To może pójdziemy do Hertha, naplujemy mu do zupy i zobaczymy, co on na to?”

Jakoś nie uznałem tego za dobry pomysł.

Było popołudnie i wszędzie panował ożywiony ruch. Co kilka ulic znajdował się jakiś targ. A to zielono-żółtoczerwony warzywny, pachnący świeżością i rozbrzmiewający gwarem. A to różowo-czerwony mięsny, znacznie cichszy i mniej aromatyczny. A to różnobarwny tekstylny, całkiem nie pachnący, za to najgłośniejszy, jako że nikt nie targuje się tak jak kupcy tekstylni: z krzykiem, błaganiami i wrzaskiem. Ja się szybciej męczyłem, słuchając, niż oni targując!

Ostatnio zresztą męczyłem się dość szybko. Zbyt dużo na mnie spadło. Miałem dość obchodzenia Czarnego Zamku i sprawdzania wartowników, alarmów i pułapek. Miałem dość obaw na widok każdego patrolu Gwardii, bo nigdy nie wiadomo było, o co im chodzi. Miałem dość pogardliwego traktowania przez elfy, bo byłem Jheregiem i człowiekiem. A naprawdę miałem dość fochów Cawti.

„Szefie, wiesz, że musisz znaleźć rozwiązanie.”

„Właśnie próbowałem, jak byś nie zauważył.”

„Więc musisz spróbować znaleźć inne.”

„Wiem.”

Stwierdziłem, że doszedłem w pobliże domu dziadka, co choć wyglądało na przypadek, nie mogło nim być, toteż skierowałem się już świadomie do znajomego budynku. Wszedłem, uruchamiając dzwonki, które zabrzmiały tak radośnie, że

zaczął mi się humor poprawiać.

Dziadek siedział za stołem, pisząc coś czy rysując na dużym kawałku pergaminu. Mimo swego wieku cieszył się doskonałym zdrowiem. Był wysoki i masywny. A także prawie zupełnie łysy — światło lampek odbijało się w jego łysinie. Słyszając dzwonki, uniósł głowę, a widząc mnie, uśmiechnął się szeroko, ukazując resztki zębów.

— Vladimir!

— Witaj, noish-pa!

Uściskaliśmy się, dziadek ucałował mnie w policzki, a Loiosh, który na wszelki wypadek przeniósł się na czas tych czułości z mojego ramienia na półkę, usadowił się na ramieniu dziadka po powitalnym drapaniu po szyi. Zaś familiar dziadka — duży, puszysty kot imieniem Ambrus — wskoczył mi na kolana, ledwie usiadłem, i szturchnął nosem. Pogłaskałem go, jak należało.

Dziadek zawiesił małą kartkę na dzwoneczkach i zaprosił mnie gestem do pokoiku na zapleczu sklepu. Poczułem aromat herbaty i ziół i zrobiło mi się jeszcze przyjemniej.

Dziadek nalał nam obu herbaty, skrzywił się, gdy dołożyłem do swojej miodu, ale nic nie powiedział. Powąchałem i upiłem mały łyżeczek. Różana.

— I jak się wiedzie mojemu wnukowi? — spytał.

— Nienajgorzej, noish-pa.

— Tylko nienajgorzej?

Przytaknąłem bez słowa.

— Masz problem — było to stwierdzenie, nie pytanie.

— Mam. Skomplikowany.

— Proste sprawy nigdy nie stają się problemami, Vlad. Mogą stać się smutne, ale nigdy nie stają się problemami.

— Wiem.

— A więc jak zaczął się ten problem?

— Tak się zaczął. . . Ktoś imieniem Franz został zabity.

— A, tak. Straszna rzecz.

— Wiesz o tym? — zdziwiłem się.

— Wszyscy o tym mówią.

— Naprawdę?

— Przynajmniej wszyscy jego. . . jak by to powiedzieć. . . *elvtar sok*.

— Przyjaciele? Współpracownicy?

— Właśnie. Wszędzie ich pełno i mówią o tym ciągle.

— Rozumiem.

— Ale ty nie jesteś jednym z nich.

Potrząsnąłem przecząco głową i wyjaśniłem:

— Cawti jest.

Westchnął.

— Och, Vlad, Vlad. To jest głupota. Jeśli będzie okazja do powstania, to naturalnie należy ją wykorzystać. Ale narażać się w ten sposób to głupota.

— A kiedy była okazja do powstania?

— W 221.

— A tak. Oczywiście.

— Owszem. Walczyliśmy wtedy, bo było trzeba, ale trudno to zapomnieć i uważać, że powinniśmy ciągle walczyć.

Pomilczałem chwilę, nim spytałem:

— Co wiesz o tych ludziach?

— Niewiele. Słyszałem różne rzeczy. Mówią, że ich przywódca Kelly to ktoś, kto lubi walczyć.

— Bić się?

— Nie. Chodzi o to, że się nie poddaje. No i rosną w siłę: pierwszy raz usłyszałem o nich kilka lat temu, wtedy na wiecu było ze dwadzieścia osób. Teraz przychodzą tysiące.

— Dlaczego ludzie to robią?

— Och, zawsze znajdują się niezadowoleni. Przemoc też jest dobrym powodem, a tej nie brak. Ludzie są bici, ograbiani, a Gwardia Feniksa nie reaguje. Część kamieniczników podniosła czynsze, bo spłonęły im inne budynki. To też się ludziom nie podoba.

— Ale co to ma wspólnego z Cawti?! My tu nawet nie mieszkamy!

Potrząsnął głową.

— To głupota — powtórzył.

Znów chwilę pomilczałem, nim spytałem:

— Co mogę zrobić?

Dziadek wzruszył ramionami.

— Twoja babka robiła rzeczy, których nie pochwalałem... Nic nie można zrobić. Być może się znudzi i samo jej przejdzie — zmarszczył brwi. — Nie, to mało prawdopodobne, Cawti nie zniechęca się łatwo, jeśli coś się zainteresuje. Cóż, to jej życie, nie twoje.

— Właśnie o to chodzi, noish-pa: o jej życie. Ktoś zabił tego całego Franza, a Cawti teraz zajmuje się tym samym co on robił przed śmiercią. Proszę bardzo: chce tracić czas i zadawać się z tą bandą, prosząc się o kłopoty, jej sprawa. Ale nie pozwolę, by ktoś ją zabił. Nie mogę jej zabronić, bo zagroziła, że mnie zostawi, więc to też nie jest rozwiązanie.

Dziadek mocniej zmarszczył brwi.

— Próbowaleś innych sposobów?

— Jak na razie rozmawiałem z Kellym, ale to była strata czasu. Coś jak: „mówił chłop do obrazu”.

— Wiesz, kto zabił Franza?

— Wiem.

— A dlaczego?

Zastanowiłem się.

— Nie mam pewności — przyznałem.

— W takim razie musisz się dowiedzieć. Bo może się okazać, że niepotrzebnie się martwisz. A być może znajdziesz sposób rozwiązania problemu bez dalszego ryzyka dla twojej żony.

Tym razem nie powiedział „Cawti”. Dla dziadka rodzina była wszystkim, a my dwoje byliśmy całą rodziną, jaka mu pozostała. Nagle przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie jest mną rozczarowany. Nie sędzę, by pochwalał moją profesję, ale byłem rodziną, więc nic nie mówił.

— Noish-pa, co sądzisz o moim zajęciu? — spytałem niespodziewanie.

— Jest straszne. Nie jest dobrze, jeśli ktoś żyje z zabijania. To cię rani. To sprawia ci ból.

— Jasne — pożałowałem, że spytałem, ale sam się prosiłem o prawdę. — Dziękci, noish-pa. Muszę iść.

— Dobrze było cię widzieć, Vladimir.

Uściskałem go, gwizdnałem na Loiosha i wyszedłem przed sklep.

Czekała mnie długa droga, a jakoś nie miałem ochoty się teleportować.

* * *

Moczyłem nogi, kiedy Cawti wróciła do domu.

— Co się stało? — zdziwiła się na mój widok.

— Nogi mnie bołą.

Uśmiechnęła się złośliwie.

— To jakoś mnie nie dziwi. Chodzi mi o to, dlaczego cię bołą?

— Bo w ciągu ostatnich paru dni łąziłem za dużo.

Przestała się uśmiechać.

Usiadła i przeciągnęła się.

Ubrana była w szare spodnie z szerokim czarnym pasem, czarne wysokie buty, szarą koszulę i czarną kamizelkę.

— Gdzie konkretnie cię nosiło?

— W tę i z powrotem do Wschodniej Dzielnicy.

Odwróciła lekko głowę, spoglądając na mnie kątem oka. Lubiłem, gdy to robiła, bo jej oczy nagle powiększały się, a twarz nabierała idealnych wręcz rysów.

— A ostatnio po co? — zainteresowała się.

— Żeby pogadać z Kellym.

Zaskoczyłem ją.

— Dlaczego?

— Żeby mu wytłumaczyć, że powinien dopilnować, byś nie zajmowała się niczym, co mogłoby ściągnąć na ciebie niebezpieczeństwo. Żeby zrozumiał, że jeśli coś ci się stanie, to go zabiję.

Zainteresowanie zmieniło się w niedowierzanie, a potem w złość.

— Doprawdy? — spytała powoli

— Owszem.

— Jakoś spokojnie mi to mówisz.

— A jak mam mówić?

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi, więc wołała zmienić temat:

— A co na to Kelly?

— Okazał wyjątkowo słabo rozwinięty instynkt samozachowawczy. A poza tym oświecił mnie, że według niego znajduję się gdzieś pomiędzy bezużytecznym śmieciem a nie rokującym szans na reedukację degeneratem.

Była zaskoczona, ale nie oburzona.

— Powiedział to?

— Nie tak kwieście.

— Hmm.

— Miło mi, że obelgi pod adresem twego męża napełniają cię takim oburzeniem.

— Hmm — powtórzyła.

— Co? Zastanawiasz się, czy przypadkiem nie miał racji?

— Och, nie: wiem, że ma rację. Zaskoczyło mnie, że ci to powiedział.

— Aha... — mruknąłem, bojąc się, by mi się głos nie załamał.

Cóż: sam się prosiłem, to w końcu usłyszałem. Zawsze wiedziałem, że jestem dobry w prowokowaniu ludzi. Szkoda tylko, że tym razem w efekcie prysnęło kolejne złudzenie...

Cawti usiadła obok i pogładziła mnie po nodze.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie myślę tak i nie powinnam była z tego żartować. Kelly nie ma racji. Ale ty nie powinieneś robić tego, co zrobiłeś.

— Wiem. To nic nie dało.

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy oboje.

— Co zamierzasz teraz zrobić?

— Myśleć. Poczekać, aż mnie nogi przestaną boleć. A potem kogoś zabić.

Przyjrzała mi się uważnie.

— Poważnie mówisz? — spytała.

— Tak... Nie... Nie jestem pewien...

— Chyba naprawdę cię trafiło. Przepraszam... Będzie jeszcze trudniej.

— Wiem.

— Chciałabym ci pomóc.

— Możesz. Wiesz jak.

Skinęła głową.

Ponieważ nie pozostało już nic więcej do powiedzenia, posiedzieliśmy chwilę w milczeniu. A potem poszliśmy grzecznie spać.

* * *

Następnego ranka zjawiłem się w biurze wcześniej razem z Loiošem i Roczą. Wypuściłem ich przez okno — Loioš nadal pokazywał jej miasto i uczył rozmaitych przydatnych rzeczy. Sprawiało mu to najwyraźniej dużą przyjemność. A ja się zastanawiałem, jak to z nimi będzie — Loioš był nauczycielem, ale wśród jheregów dominujące są samice. . .

„Słuchaj no, Loioš. . .”

„Nie twój zasmarkany interes, szefie!”

Znowu łajza podsłuchiwał moje myśli!

A do mojego małżeństwa się wtrącał. Mimo wszystko zdecydowałem się chwilowo nie drażnić tego tematu.

* * *

Kiedy Loioš i Rocza wrócili po paru godzinach, wiedziałem już, co powinienem zrobić. Od Kragara dostałem adres i pełne pretensji spojrzenie; miał żal, że nie mówię mu, po co jest mi potrzebny. Loioš i Rocza obsiedli moje ramiona i wyszedłem, nadal nie mówiąc mu, co zamierzam.

Lower Kieron Road w pobliżu Malak Circle jest najszerszą ulicą w okolicy i pełno przy niej gospod, restauracji, tavern i kafejek, podobnie jak hotelików i placów targowych. Ulica prowadzi na południowy zachód i staje się stopniowo coraz węższa i więcej przy niej domów mieszkalnych niż lokali. Kiedyś takie budynki były malowane na zielono. Teraz mają brudną barwę. Odbiłem w uliczkę zwaną Vlor i znalazłem się w zupełnie dziadowskim sąsiedztwie. Poprawiło się nieco, gdy wyszedłem na Copper Street, ale i tak w niczym nie przypominała ona Copper Lane znajdującej się na moim terenie. Po paru krokach skręciłem w lewo, do gospody.

Wyglądała zadziwiająco porządnie. Meble solidne, z polituowanego drewna, czysto. . . przestałem podziwiać widoki, odszukałem barmana i spytałem:

— Jest tu prywatna sala?

Zaprowadził mnie, całym swoim zachowaniem dając do zrozumienia, że lokalu normalnie nie zanieczyszcza obecność ludzi. Zignorowałem to.

— Jestem Vlad — oznajmiłem. — Powiedz Bajinokowi, że czekam tu na niego.

Zawołał kelnera i przekazał mu wiadomość. Ja tymczasem rozejrzałem się. Salka była pusta i co najważniejsze wyposażona w normalne, drewniane drzwi. Wskazałem je bez słowa barmanowi, a gdy wyszedł, usiadłem tyłem do drzwi — Loiośh i tak je obserwował, więc co mi szkodziło. Ciekawiło mnie, ilu asystentów przyprowadzi ze sobą Bajinok — jeśli więcej niż jednego, mój plan nie powiedzie się. Z drugiej strony mógł przyjść sam. Szanse były wyrównane.

Rozmyślania przerwało mi otwarcie drzwi.

Wszedł Bajinok w towarzystwie nieznanego mi Dragaerianina w barwach Domu Jherega; wstałem, zanim zdążyli usiąść.

— Dzień dobry — powitałem go uprzejmie. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

— O co chodzi? — spytał bez wstępów Bajinok.

— Lubię zwięzłość wypowiedzi — pochwaliłem go.

Loiośh syknął, co można było uznać za potwierdzenie.

— Dobra. O co chodzi?

— Pomyślałem sobie, że moglibyśmy dokończyć dyskusję rozpoczętą parę dni temu.

Towarzysz Bajinoka rozprostował ramiona i podrapał się po brzuchu. Sam Bajinok wytarł dłonie o nogawki. Ja zaś sprawdziłem jedną ręką zapięcie peleryny, drugą poprawiłem włosy. Nie wiem jak oni, ale ja byłem gotów.

Bajinok okazał się bardziej rozmowny, niż sądziłem:

— Jeśli masz coś do powiedzenia, to mów.

— Chce wiedzieć, dlaczego Herth kazał zabić tego człowieka.

Bajinok przestał być rozmowny:

— Odwal się, Wąsaty!

Zrobiłem gest, jakbym chciał powiedzieć coś ważnego. Można by to tak określić — co prawda nie odezwałem się, za to dzięki temu gestowi miałem w dłoni sztylet, który wbiłem towarzyszowi Bajinoka pod brodę tak, że ostrze dotarło do mózgu. Osunął się na podłogę bez jednego dźwięku, a nim znieruchomiał, ja miałem w dłoni drugi sztylet, którego ostrze znieruchomiało dokładnie na wprost lewego oka Bajinoka.

Powiedziałem cicho, ale wyraźnie:

— W momencie, w którym ktokolwiek pojawi się w tym pokoju lub otworzy drzwi, będziesz martwy bez możliwości wskrzeszenia. Jeśli będę podejrzewał, że rozmawiasz z kimś telepatycznie, także.

Przełknął ślinę i wykrztusił:

— Rozumiem.

— Pomyślałem, że kiedy będziemy tylko we dwóch, okażesz się bardziej rozmowny i powiesz mi kilka rzeczy na temat Hertha, zaczynając od tego, dlaczego kazał zabić tego człowieka.

Nie poruszając głową, spojrział na trupa, a potem skupił uwagę na sztylcie.

— Wiesz, to całkiem prawdopodobne — przyznał.

— Doskonale — pochwaliłem go radośnie.

— Mogę usiąść?

— Proszę bardzo.

Nim usiadł, przeszedłem za jego plecy i umieściłem czubek ostrza na jego karku, skierowany ku górze.

— Wiesz, że to cię zabije — oznajmił uprzejmie.

— Wszyscy kiedyś umrzemy. A my, ludzie, nie musimy na to aż tak długo czekać — pocieszyłem go. — Co naturalnie nie oznacza, że lubimy, gdy ktoś przyspiesza ten proces, co sprowadza nas z powrotem do Franza.

Zwiększyłem nieco nacisk na jego kark, uważając równocześnie, czy nie dostrzegę jakichkolwiek oznak teleportacji. Jeśli zareaguję natychmiast, zdołam go zabić, nim zniknie.

— Aha, Franz. Był członkiem jakiejś grupy...

— Wiem — przerwałem mu.

— To w takim razie niewiele mogę ci powiedzieć.

— Próbuj. Herth kazał zabić konkretnie jego czy kogokolwiek z tej grupy?

— Konkretnie jego.

— Śledziłeś ich? Sprawdziłeś, czym się zajmuje?

— Herth sprawdzał.

— Wiem o tym, łamago! Chodzi mi o to, czy to ty ich obserwowałeś.

— Nie.

— A kto?

— Jeden taki, nazywa się Nath.

— Gdzie go znajdę?

— Zabijesz mnie?

— Jeżeli będziesz mówił to nie.

— Mieszka nad warsztatem stolarskim na północ od Wschodniej Dzielnicy. Shade Tree Street numer cztery.

— Dobrze — pochwaliłem. — Masz zamiar opowiedzieć Herthowi o naszej rozmowie?

— Tak.

— Chwalebna uczciwość. Będziesz musiał powiedzieć mu, jakich informacji mi udzieliłeś.

— Jest wyrozumiały w takich sytuacjach.

— W takim razie potrzebuję naprawdę dobrego powodu, by pozostawić cię przy życiu.

— Powiedziałeś, że tak zrobisz.
— Fakt. Lepszego powodu.
— Jesteś trupem, wiesz.
— Wiem.
— Nieuczciwym trupem.
— Mam parszywy humor. Zazwyczaj jestem nader uczciwym trupem. Spytaj, kogo chcesz.

— Dobra. Przez godzinę nic nie powiem.
— Dotrzymasz słowa wobec kogoś, kto cię okłamał?
Zastanowił się.
— Tak.
— Z Hertha musi być naprawdę wyrozumiały facet.
— I jest. Poza sytuacjami, gdy ginie któryś z jego podwładnych. Wtedy zupełnie traci wyrozumiałość.
— Ciekawość dłaczego. Możesz iść.

Bez słowa wstał i wyszedł.

Schowałem sztylet, zostawiłem pierwszy w nieboszczyku i wyszedłem do głównej sali. Nikt nawet na mnie nie spojrział. Wyszedłem na ulicę i skierowałem się do biura. Czułem napięcie Loiosha, podobnie jak on moje. Zaglądałem w każdą alejkę.

„Nie musiałeś zabijać tamtego, szefie.”

„Musiałem, inaczej Bajinok nie potraktowałby mnie poważnie. Poza tym nie wiem, czy zdołałbym kontrolować obu.”

„To trzeba było zabić też Bajinoka.”

„Mam miękkie serce.”

„To objij sobie dupę blachą, bo Herth tym razem ci nie daruje.”

„Wiem.”

„Nie pomożesz Cawti, będąc nieboszczykiem.”

„Też wiem.”

„To dłaczego. . .”

„Bądź łaskaw się zamknąć” — zakończyłem dyskusję.

Nawet ja nie uznałem tego za rzeczowy argument.

Rozdział piąty

„... a ślady po klawie z lewej...”

Teleportowałem się do znajomego miejsca w sąsiedztwie mieszkania Natha, żeby nie tracić czasu na spacer — w sumie miałem tylko godzinę. No to straciłem dziesięć minut na dojście do ładu z żołądkiem.

Shade Tree Street była stara tak z wyglądu jak i z nazwy. Równie szeroka co Lower Kieron Road, ale krawężniki zapadły się pod wpływem czasu, a po drzewach pozostały jedynie pnie. Chodniki wyłożone były płytami popękanyymi od starości, podobnie jak nawierzchnia. Sądząc po ilości wolnych placów, musiało tu kiedyś być dużo targowisk i sklepów, teraz pozostały tylko domy i hoteliki cofnięte w stosunku do ulicy. Czasy świetności tak na moje oko przypadły na jakieś pół wieku przed Bezkrólewem. Teraz świetność stanowiła jedynie odległe wspomnienie.

Numer cztery znajdował się między numerami sześć i piętnaście — logiczne jak cholera. Miał jedno piętro, czyli dwa mieszkania, i zbudowany był z brunatnych kamieni. Nad wejściem na parter ktoś wymalował chreothę — dobrze że z pajęczyną, bo na lisopodobnego gryzonia stwór w żaden sposób nie wyglądał. Musiał więc być dziełem wybitnego artysty.

Wspiąłem się po drewnianych stopniach na piętro. Nawet nie skrzypnęły.

Byłem pod wrażeniem.

Na drzwiach znajdowały się dwie metalowe plakietki. Na jednej wyryto symbol barona, na drugiej podobiznę jherega. Była całkiem udana, więc nie stanowiła dzieła artysty, lecz rzemieślnika.

„Jak myślisz, Loiosh: mógł nas usłyszeć?”

„Wątpię, szefie.”

„Też tak sędzę.”

Sprawdziłem magiczną osłonę drzwi. Nic. Sprawdziłem jeszcze raz. Też nic. Zwykle, nie za grube drewniane drzwi. Albo mieszkaniac był radośnie niefrasobliwy, albo był to poziom magii znacznie przekraczający moje umiejętności. Pozwoliłem opaść Spellbreakerowi w nadstawioną dłoń, wziąłem głęboki oddech

i chlasnąłem nim po drzwiach. A jednak niefrasobliwy. W następnej sekundzie otworzyłem drzwi kopem pod klamkę i wszedłem.

Był sam. Co znaczyło, że Bajinok najprawdopodobniej dotrzymał słowa. Gospodarz siedział na szezlongu, czytając gazetkę taką samą jak rano Cawti. Zdążył jedynie wstać i teraz przyglądał mi się wytrzeszczonymi oczyma. Pojęcia nie mam, jak zdołał tyle lat pozostać przy życiu, nie mając za grosz instynktu samozachowawczego. Może był ociążały umysłowo albo pacyfistą z natury — pojęcia nie miałem i niezbyt mnie to interesowało. Znieruchomiałem, gdy koniec mojej klingi znalazł się cał od jego oka.

On też znieruchomiał.

— Dzień dobry — zagailem uprzejmie. — Ty jesteś Nath.

Gapił się na mnie i milczał.

— No? — ponagliłem.

— Ttak... — wykrztusił z siebie.

Wyłożyłem mu zwięźle te same zasady przeżycia co Bajinokowi. Uznał je za przekonujące, więc zaproponowałem:

— Usiądźmy i porozmawiajmy.

Przytaknął.

Albo był naprawdę przestraszony, albo doskonale nad sobą panował.

Usiedliśmy.

— Kilka dni temu został zabity człowiek imieniem Franz — oznajmiłem.

Znów przytaknął.

— Z polecenia Hertha — dodałem.

Następne przytaknięcie.

— Wskazałeś go Herthowi.

Tym razem zaprzeczył.

— Wiem, że tak było. Chcę wiedzieć dlaczego.

— Nie...

— Nie obchodzi mnie, czy sugerowałeś Herthowi zabójstwo czy nie — przerwałem mu. — Chcę wiedzieć, co powiedziałaś mu o Franzu. Mów szybko, nie zastanawiaj się, bo jeśli zacznę podejrzewać, że kłamiesz, zabiję cię.

Poruszył się, przełknął ślinę, odchrząknął i powiedział niepewnie:

— Nie wiem. Po prostu powiedziałem mu, co oni robią, i opowiedziałem po kolei o wszystkim. Powiedziałem, czym każdy się zajmuje. A potem na bieżąco go o tym informowałem.

— Chciał poznać ich imiona?

— Z początku nie. Dopiero kilka tygodni temu zażądał szczegółowego raportu o każdym. Imion, rysopisów, tego czym które się zajmuje. No, wszystkiego.

— Dostarczyłeś mu te dane?

Kiwnął głową, że tak.

Zastanowiłem się i spytałem:

— Skąd to wiedziałeś?

— Mieszkam tu prawie rok. Herth słyszał pogłoski o tej grupie, więc mnie wysłał, żebym to sprawdził. Od tej pory miałem ich na uwadze, więc była to tylko kwestia spisania tego, co wiedziałem.

— Rozumiem. A dwa tygodnie po tym, jak mu dostarczyłeś te dane, Franz został zabity.

Znów kiwnął głową.

Zacząłem się zastanawiać, czy to przypadkiem nie jest tik nerwowy.

— No dobrze. Dlaczego Herth chciał, by któryś z nich został zabity i dlaczego akurat Franz?

— Nie wiem.

— To zgaduj.

— Proszę?

— Domyśl się. Masz te same informacje co Herth. Spróbuj dojść do tych samych co on wniosków.

— Hmm... sprawiali mu kłopoty i przeszkadzali w interesach. Wszędzie ich było pełno... uczyli czytać, a jak wąsaci... — umilkł nagle i przełknął ślinę.

— Nie przerywaj sobie.

— Jak ludzie staną się za cwani, to na pewno to nie poprawi jego interesów. Mogło też chodzić o coś starszego, coś, co się wydarzyło, zanim ja się nimi zainteresowałem. Herth jest bardzo ostrożny. Nigdy nie mówił mi nic ponad to, co musiałem wiedzieć.

— Dlaczego Franz?

— Był jednym z nich.

— Dlaczego nie Kelly?

— A dlaczego właśnie Kelly? Nigdy nie robił nic specjalnego. Przynajmniej ja tego nie zauważyłem.

Powstrzymałem się od komentarza dotyczącego jego spostrzegawczości.

„Szefie.”

„Tak, Loiosh?”

„Ta godzina prawie się skończyła.”

„Dzięki.”

Głośno zaś powiedziałem:

— Dobra, będziesz żył.

Sprawiło mu to dużą ulgę.

Cofnąłem się do drzwi i wyszedłem. Schowałem rapier i zszedłem najszybciej jak mogłem, nie biegnąc, oddaliłem się o kilka przecznic, klucząc przy tym przypadkowo. Nigdzie nie zauważyłem ani niczego podejrzanego, ani śladów pościgu.

„I co ty na to, Loiosh?”

„Chciał zabić jednego z nich, Franz został wybrany losowo.”

„Też tak myślę. A dlaczego chciał zabić jednego z nich?”

„Nie wiem.”

„To co proponujesz?”

„Masz pojęcie, w jakie kłopoty się wpakowałaś?”

„Mam.”

„Tak się tylko zastanawiałem. Nie wiem co dalej, ale jesteśmy blisko Wschodniej Dzielnicy, jakbyś coś tam chciał sprawdzić albo co...”

Skierowałem się do ludzkiej dzielnicy i pogrążyłem w rozmyślaniach. Należało sprawdzić, czy Herth nadal zagraża tej grupie wariatów, czy też osiągnął to, co miał zamiar osiągnąć, cokolwiek by to było. Jeżeli osiągnął, to mogłem sobie dać spokój z martwieniem się o Cawti i skoncentrować wyłącznie na tym, jak uniemożliwić mu zabicie siebie.

Uliczka, którą szedłem, niespodziewanie okazała się ślepa, toteż musiałem się cofnąć i poszukać jakiejś znajomej drogi. Znalazłem i pomaszerowałem wąską ulicą między wysokimi, pozbawionymi okien domami w twarzowych kolorach żółci i zieleni, z balkonami prawie stykającymi się i blokującymi widok pomarańczowo-czerwonego nieba.

Gdy dotarłem do ulicy zwanej Tworine, domy stały się niższe, starsze i o przyjemniejszych barwach, a gdy ulica poszerzyła się, znalazłem się już we Wschodniej Dzielnicy. Pachniało jak na wsi — ziarnem, mlekiem i krowim łajnem. W miarę jak ulica zyskiwała na szerokości, wiatr nasilał się, aż zaczął nieść ze sobą piasek boleśnie tnący po twarzy.

Tworine zakręciła. Na najbliższym rogu dostrzegłem Sheryl i Paresha zaczepiających przechodniów i usiłujących wręczać im znaną mi gazetkę. Podeszedłem do nich. Paresh skinął mi chłodno głową i odwrócił się. Sheryl uśmiechnęła się przyjaźniej, lecz także odwróciła się, gdy podeszła do nich jakaś parka trzymająca się za ręce. Zaczęła coś mówić o tyranii Imperium, ale młodzi tylko potrząsnęli głowami i poszli dalej.

Skorzystałem z chwili spokoju i spytałem:

— Jestem trędowaty albo coś w tym stylu?

Sheryl potrząsnęła przecząco głową.

Paresh odwrócił się i wyjaśnił:

— Skądże znowu. Chcesz kupić egzemplarz?

— Na co mi drugi? Jeden Cawti przyniosła; wystarczy.

Nie wydawał się zaskoczony.

I ponownie się odwrócił.

Zdałem sobie sprawę, że stojąc tak głupio wyglądam i że równie głupio będę wyglądał, odchodząc, toteż spytałem Sheryl:

— Porozmawiasz ze mną, jeśli postawię ci klawę?

— Nie mogę. Od czasu zamordowania Franza pracujemy parami.

Zastanowiłem się i wpadłem na pomysł.

Postanowiłem jednak wprawdzie go przekonsultować:

„Co ty na to, Loiosh?”

„Na co, szefie?”

„Nie zgrywaj durnia: kiedy chcesz, podglądasz moje myśli.”

„Tylko czasami i dla twojego dobra. No, już dobrze, niech tam będzie.”

Uśmiechnąłem się i poinformowałem Sheryl:

— Loiosh cię zastąpi.

Paresh zaś przyjrzał się Loioshowi, wzruszył ramionami i mruknął:

— Dlaczego nie?

W ten sposób Loiosh podjął rewolucyjną indoktrynację, a ja zaprowadziłem Sheryl do niewielkiej knajpki, którą wypatrzyłem po przeciwnej stronie ulicy. Była długa, wąska i mroczniejsza niż lubię, z wyjątkiem okazji, gdy chcę kogoś zabić. Wszystkie meble były drewniane, lecz w zadziwiająco dobrym stanie. Wybrałem stół pod tylną ścianą i usiadłem plecami do niej. Nie jest to najwygodniejszy sposób chronienia samego siebie, ale bez Loiosha uznałem go za najskuteczniejszy.

Klawę przyniesiono nam ku memu zaskoczeniu nie w kubkach, lecz w szklankach. Poparzyłem sobie palce, łapiąc za nią, i rozlałem, czym prędzej odstawiając. Zrobiłem to tak skutecznie, że wrzątek ze stołu pociekł mi po nodze. Dodałem śmietanki, by schłodzić płyn, co nie na wiele się przydało, bo ją podgrzali przed podaniem.

Sheryl miała duże niebieskie oczy i trochę piegów.

Żeby jakoś zacząć, spytałem:

— Wiesz, czym się zajmuję?

— Nie całkiem — przyznała ze śladem uśmiechu.

Przyszło mi nagle na myśl, że może sądzić, iż próbuję ją poderwać. A potem uświadomiłem sobie, że może i miałbym na to ochotę. Nie była brzydka i miała w sobie coś graniczącego z niewinnością, co było podniecające. Ale nie tutaj i nie teraz.

— Próbuję dowiedzieć się, dlaczego Franz został zabity — wyjaśniłem rzeczowo. — I zrobię wszystko, co będę musiał, by Cawti nie spotkał podobny los.

Ślad uśmiechu nie zniknął nawet, gdy odparła poważnym tonem:

— Zabili Franza, bo się nas boją.

Zmusiłem się do zachowania spokoju i spytałem:

— Kto się was boi?

— Imperium.

— Imperium nie zabiło Franza.

— Może nie bezpośrednio, ale...

— Franz został zabity z polecenia niejakiego Hertha z Domu Jherega. Herth nie zabija dla Imperium: jest zbyt zajęty ukrywaniem przed Imperium tego, że zleca zabójstwa zawodowcom.

— To może tak wyglądać, ale...

— Dobra — przerwałem jej. — W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

Wzruszyła ramionami i przestała się uśmiechać. Co nie znaczyło, że zaczęła się złościć, więc postanowiłem próbować dalej.

— Co Franz robił? Konkretnie. Bo musiał robić coś, co próbujący zarobić przedstawiciel Domu Jherega uznał za wystarczająco groźne, by go zabić.

Milczała długą chwilę, nim odpowiedziała:

— Nie wiem. Sprzedawał gazetki tak jak ja. Przemawiał na wiecach, tak jak ja. Uczył czytać i wygłaszał pogadanki tak jak ja. . .

— Zaraz — przerwałem jej. — Ty też uczysz czytania?

— Wszyscy uczymy.

— Aha. . . Dobrze, słucham dalej.

— Wydaje mi się, że on po prostu robił wszystkiego więcej. Był niezmordowany, pełen entuzjazmu i wszyscy to zauważali. . . i my, i ci, z którymi się spotykał. Zawsze lepiej pamiętał napotkanych niż ktokolwiek z nas, nawet jeśli rozmawiał z nimi tylko raz, i oni zawsze zapamiętywali jego najlepiej z całej grupy. Przemawiał najlepiej z nas wszystkich, a kiedy uczył czytać, miało się wrażenie, że robi coś, na czym naprawdę osobiście mu zależy. Kiedy jakaś grupa czymś się zajmowała. . . czymkolwiek, zawsze brał w tym udział. . . rozumiesz, o co mi chodzi?

Przytaknąłem, nie odzywając się.

Zjawił się kelner i dołał nam klavy. Dodałem śmietanki i miodu, zamieszałem i tym razem złapałem szklanekę przez chusteczkę. Jakoś się udało, ale i tak nie mogłem wyjść z podziwu nad ludzką głupotą. Dlaczego nie podawali wrzątku w kubkach?!

— Wiesz coś o elfach działających w tym rejonie? — spytałem.

— Wiem, że są tacy, ale nie poznałabym ich. Nawet jeśli należą do Domu Jherega nie byłabym w stanie powiedzieć, którzy pracują dla organizacji, a którzy nie.

— Wiesz, czym ci z organizacji się zajmują?

— Nie bardzo.

— Są tu jakieś lokale z grami hazardowymi? Kasyna?

— Co? Oczywiście, że są, ale należą do ludzi.

— Nie należą.

— Skąd wiesz?

— Znam Hertha.

— Och.

— Są tu prostytutki?

— Tak.

— Burdele?

— Tak.

— Alfonsi?

Niespodziewanie zaczęła wyglądać na zadowoloną z siebie.

— Już nie — odparła z satysfakcją.
 — Aha... — mruknąłem.
 — Co?!

Zignorowałem jej pytanie.
 — A co się z nimi stało?
 — Przegoniliśmy ich. To najgorsi, zboczeni...
 — Znam ten typ — przerwałem jej. — Jak ich przegoniliście?
 — Większość to była gówniarzeria.
 — Fakt: starsi prowadzą burdele.
 — Byli członkami gangów.
 — Gangów?!

— Gangów. W tej okolicy nastolatki nie bardzo mają co robić, więc...
 — Zaraz. O jakim przedziale wiekowym mówimy?
 — Jedenaście do szesnastu lat.
 — Aha, jasne.

— No więc żeby mieć zajęcie, tworzyli gangi, potem włóczyli się kupą po okolicy i rozrabiali. Włamywali się do sklepów, pobili kogoś z nudów, a wasza Gwardia Feniksa miała to wszystko gdzieś, jak długo gangi nie opuszczały naszej dzielnicy.

— Tylko nie „wasza Gwardia”! Ja nie mam z nią nic wspólnego!
 — Nie szkodzi. Gangi istniały w tej okolicy na długo przed moim przyjściem na świat. Do większości należeli alfonsi, bo to w sumie jedyny sposób, żeby mieć pieniądze, jeśli zaczyna się bez nich. Wymuszali też pieniądze od drobnych sklepikarzy i kradli, ale to ostatnie było najmniej opłacalne, bo tu nie bardzo jest co ukraść.

Nagle pomyślałem o dziadku, ale zaraz się uspokoilem: żaden gang złożony z ludzi nie byłby na tyle głupi, żeby zadzierać z czarownicą.

— Dobrze, więc należeli do nich alfonsi... — sprowadziłem rozmowę na interesujący mnie temat.
 — Właśnie.
 — Jak się ich pozbyliście?
 — Kelly uważał, że większość należy do gangów, ponieważ nie mają żadnych szans czy nadziei na przyszłość. Mówił, że ich jedyną nadzieją na poprawę losu jest rewolucja i...
 — Dobrze — przerwałem jej uprzejmie, acz stanowczo. — Jak się ich pozbyliście?
 — Doprowadziliśmy ich do samolikwidacji.
 — Jak?
 — Nauczyliśmy ich czytać na początek. Kiedy umie się czytać, znacznie trudniej jest pozostać ignorantem. A kiedy zrozumieli, że nie żartujemy i chcemy zniszczyć despotów, wielu się do nas przyłączyło.

— Ot tak?
Pierwszy raz spojrziała na mnie nieprzychylnie.
— Zajęło nam to dziesięć lat i jeszcze nie całkiem skończyliśmy — oznajmiła.
— Dziesięć lat, nie „ot tak”. I nie wszyscy przyłączyli się do ruchu. Ale jak dotąd większość gangów nie odrodziła się, a na ich miejscu nie pojawiły się nowe.
Spojrzałem na nią z niedowierzaniem:
— A kiedy gangi przestały istnieć, alfonsi tak po prostu sobie poszli?
— Potrzebowali gangów jako wsparcia. Sami niewiele byli w stanie zdziałać.
Może nie tak po prostu, ale pozbyliśmy się ich znacznie łatwiej.
— Mhm. . . To by pasowało.
Teraz ona spojrziała na mnie z niedowierzaniem.
— Co by pasowało?
— Alfonsi pracowali dla Hertha.
— Skąd wiesz?!
— Mówiłem ci, że go znam.
— Och.
— Ty działasz z Kellym od dziesięciu lat.
Skinęła głową.
— W jaki sposób?
Potrząsnęła przecząco głową, więc nie dokończyłem pytania.
Przez chwilę piliśmy klawę w milczeniu. W końcu westchnęła i powiedziała:
— Przyłączyłam się do nich, gdy szukałam zajęcia po tym, jak mojego alfonsa przegonili z tej dzielnicy.
— Aha. . .
Spojrziała na mnie zdziwiona.
— Co, nie widać, że byłam dziwką? — spytała ostro.
Pokiwałem głową i wyjaśniłem:
— Wśród elfów jest inaczej: prostytutka nie jest czymś, czego należałoby się wstydić, tylko zajęciem jak każde inne. A z ludzkimi prostytutkami naprawdę dawno nie miałem do czynienia, więc się nie poznałem i nie podejrzewałem cię o nic. Dla mnie zresztą to też nie jest powód do wstydu.
Przyglądała mi się w milczeniu i nie wiedziałem, czy mi wierzy czy nie. Zresztą w sumie było to bez większego znaczenia, a w tej akurat kwestii zgadzałem się z podejściem Dragaerian i nie zamierzałem go kwestionować.
Odchrząknąłem i wróciłem do tematu:
— Kiedy ostatecznie przegoniliście alfonsów?
— To działo się stopniowo przez ostatnie pięć lat. W każdym razie od paru miesięcy w okolicy żadnego nie dało się zauważyć.
— Aha. . .
— Już to mówiłeś.
— Sytuacja zaczyna się klarować.

— Myślisz, że dlatego zamordowali Franza?

— Każdy alfons oddaje część zarobków Herthowi. Zawsze oddawał, nawet kiedy należał do gangu. Tak to działa w całym mieście.

— Rozumiem.

— Franz brał udział w likwidacji gangów?

— Franz brał udział we wszystkim.

— A czy był szczególnie w to zaangażowany?

— Franz był zaangażowany we wszystko, co robił.

— Mhm.

Upiłem łyk klavy — teraz mogłem już utrzymać szklanę bez użycia chusteczki, tyle tylko że kława zdążyła wystygnać. Głupi ludzie.

Zjawił się kelner, wymienił szklaneczki i nalał gorącej klavy. Znowu ta sama mordęga. Dałem sobie spokój z napojem i powiedziałem:

— Herth będzie próbował przywrócić stare porządki. Alfonsi pojawią się znowu.

— Jesteś pewien?

— Jestem. Uważa, że ostrzegł was wystarczająco wyraźnie i że teraz nie będziecie się wtrącać w jego interesy.

— No to ich znowu przegonimy. To agenci reżimu opresji.

— Czego, przepraszam?

— Agenci reżimu opresji.

— No tak. . . Nieważne. Ważne jest to, że jeśli ich przegonicie, Herth zrobi się jeszcze paskudniejszy.

Coś błysnęło w jej oczach, ale powiedziała spokojnie:

— To będziemy z nim walczyć.

Chyba nie do końca zdołałem zapanować nad mięśniami twarzy, bo zrobiła się zła.

— Myślisz, że nie wiemy, jak się walczy? — spytała. — A jak myślisz, do czego tak naprawdę sprowadzała się likwidacja gangów? Do uprzejmej rozmowy?! Szefowie żyli sobie całkiem nieźle i nie zamierzali ustąpić. Wiemy, jak walczyć. A kiedy walczymy, wygrywamy, bo jak mówi Kelly: prawdziwie waleczni są po naszej stronie.

To rzeczywiście brzmiało jak słowa Kelly’ego. Poczekałem, aż się uspokoi, bo ze sloganami nie da się dyskutować, i spytałem:

— Jak sądzę, zostawienie alfonsów w spokoju nie wchodzi w grę?

— A jak myślisz?

— Chciałem się upewnić. Co się stało z panienkami?

— Z kim?

— Z prostytutkami, które pracowały dla alfonsów.

— Nie wiem. Ja przyłączyłam się do ruchu, ale to było na samym początku walki z alfonsami. Nie wiem, co się z nimi stało.

— A nie uważasz, że one też mają prawo do życia?

— Wszyscy mamy prawo do życia, i to do życia bez konieczności sprzedawania swego ciała.

Przyjrzałem się jej smętnie. W rozmowie z Pareshem udało mi się jakoś przebić przez wyuczone slogany i dotrzeć do kryjącej się pod nimi osobowości. Z Sheryl w żaden sposób się to nie udawało. Dalsze próby byłyby tylko marnowaniem czasu.

Westchnąłem i powiedziałem:

— Dobra, dowiedziałem się tego co najważniejsze. A ty wiesz, co masz powtórzyć Kelly'emu.

Przytaknęła.

— Dziękuję za klawę — powiedziała.

Zapłaciłem i wyszliśmy na ulicę.

Odprowadziłem ją na róg. Paresh dyskutował zawzięcie z jakimś niskim mężczyzną na zupełnie niezrozumiałym dla mnie temat. Loiosh natychmiast przeniósł się na moje ramię.

„I co? Dowiedziałeś się czegoś, szefie?”

„Owszem. A ty?”

„Niczego, co chciałbyś wiedzieć?”

„Paresh skinął mi głową na pożegnanie. Też mu skinąłem. Sheryl uśmiechnęła się do mnie i stanęła na rogu. Prawie dostrzegłem, jak zapuszcza tam korzenie.”

Dla efektu teleportowałem się w alejkę obok biura.

I wyrzygałem całą wypitą klawę.

Nie ma to jak mag Vladimir.

* * *

Poczekalem, aż żołądek wróci na swoje miejsce, i dopiero potem wszedłem do środka. Idąc ku schodom, usłyszałem Kija mówiącego do kogoś w poczekalni, jak oficjalnie nazywano dyżurne pomieszczenie silnorękich. Okazało się, że słuchaczem jest Chimov, jeden z moich młodszych pracowników. Chimov trzymał jedną z pałek Kija — miała ze dwie stopy długości i średnicę około cala. Kij trzymał drugą i wyjaśniał:

— Te akurat są z orzecha, ale dąb też jest dobry. W sumie wybór drewna zależy od upodobań, byle nie było za kruche.

— Dobra, ale nadal nie rozumiem, czym to się różni od łamigłówek.

— Po pierwsze, to nie kawał ajzola obciążony skórą. Żeby tym zabić, trzeba wiedzieć, gdzie trafić, i walić naprawdę mocno. Przy tamtym trzeba uważać,

żeby nie zabić. A poza tym każda z nich służy do czegoś innego. Jeśli złapiesz tę w mniej więcej jednej trzeciej długości, choć to zależy od wymiarów i wagi, więc trzeba dostosowywać uchwyt, żeby ją dobrze wyważyć... o tu... twój kciuk działa jak dźwignia. Możesz kogoś rąbnąć jednym końcem w brzuch. A drugim w czoło. O tak!

I rąbnął, jak mówił, powietrze.

— I po co to? — zdziwił się Chimov. — Jeśli będzie się trzymać za jeden koniec, uderzenie da większy efekt.

— Pewnie. Jak chcę komuś złamać nogę czy rozwalić czaszkę to właśnie tak zrobię. Ale najczęściej masz po prostu przekazać komuś wiadomość, tak żeby zrozumiał. Nieprzytomny nic nie zrozumie. A jak go pukniesz w ten sposób parę razy w żołądek i w czoło, a potem mu troszkę zdefasonujesz buźkę, to zacznie myśleć i może zrozumie to, czego dotąd nie mógł pojąć. Chodzi o to, że nie masz udowodnić, jaki jesteś twardy, tylko przekonać go, żeby zrobił to, co chcesz, bo ci za to zapłacono. A do tego potrzebny jest przytomny i mniej więcej cały klient.

Chimov spróbował paru zamachów.

— Nie tak! To nie cep! — jęknął Kij. — Używaj kciuka i nadgarstka! Jak będziesz tak machał, to się tylko zmęczysz. Popatrz...

Zostawiłem ich i nie przerywałem. Nie ma to jak fachowa dyskusja — sam odbyłem ich dziesiątki i wiele się dzięki nim nauczyłem.

Teraz jakoś nie miałem ochoty na dalszą naukę.

Jak mi tak dalej wszyscy będą wmawiać, to jeszcze faktycznie zacznę się zastanawiać nad zmianą fachu...

Rozdział szósty

„... oraz brud z kolan”

Kiwnąłem głową na powitanie Melestavowi, wszedłem do swego pokoju i opadłem z ulgą na fotel. Takie opadanie, kiedy ma się przy boku rapier, nie jest łatwe, ale jak się dużo ćwiczy...

Podsumowując, spędziłem strasznie pracowity dzionek. Częściowo zupełnie głupio, w efekcie czego miałem na karku Hertha, którego tak łatwo się nie pozbędę. Cóż, tego, co się stało, nie byłem w stanie zmienić, ale mogłem i powinienem dopilnować, by problem nie stał się poważniejszy. Ta sprawa nie była w sumie jakaś inna — należało tylko podejść do niej bez niepotrzebnych nerwów i rozwiązywać systematycznie tak jak każdą dotąd.

Zamknąłem oczy, wziąłem serię głębokich oddechów i...

— Szefie, pańska żona przyszła — usłyszałem głos Melestava.

Otworzyłem oczy.

— No to ją wpuść! — zawołałem.

Cawti wkroczyła niczym wściekły dzur, przyglądając mi się tak, jakbym to ja był powodem jej stanu emocjonalnego. Zatrzasnęła za sobą drzwi i usiadła. Przyglądaliśmy się sobie dobrą chwilę w milczeniu. Na jej ramieniu nieruchomo niczym posąg siedziała Rocza.

W końcu Cawti odezwała się:

— Rozmawiałam z Sheryl.

— Mhm.

— No?

— Też miło mi cię widzieć. Jak ci upłynął dzień?

— Przestań, Vlad.

Loiosh poruszył się niespokojnie.

Doszedłem do wniosku, że nie musi być świadkiem tego, co tu się za chwilę rozegra, wstałem, podszedłem do okna i otworzyłem je.

„Wróć, jak się skończy. Będiesz wiedział kiedy.”

„Jasne, szefie.”

Wylecieli oboje z Roczą.
Zostawiłem otwarte okno i wróciłem na fotel.
— No? — powtórzyła Cawti.
— Jesteś rozdrażniona.
— Aleś ty spostrzegawczy!
— Nie baw się w dogryzanie, nie jestem w nastroju!
— Guzik mnie obchodzi twój nastrój. Chcę wiedzieć, dlaczego uznałeś za stosowne przesłuchać Sheryl.
— Nadal próbuję się dowiedzieć, dlaczego Franz skończył tak, jak skończył.
Rozmowa z Sheryl sporo mi wyjaśniła.
— Dlaczego?
— Dlaczego co? Dlaczego chcę wyjaśnić powody śmierci Franza?
— Aha.
Przeszło mi przez myśl, by jej powiedzieć prawdę, ale po pierwsze już to mówiłem, po drugie wątpiłem, by tym razem okazało się to skuteczne i zamknęło temat.
— Po części dlatego, że obiecałem, że to zrobię — to też była prawda, tyle że niecała.
— Według niej cały czas wyśmiewałeś się z tego, w co wierzymy.
— Według niej mogłem to robić.
— Dlaczego uznałeś to za konieczne?
Potrzęsnałem przecząco głową.
— A ten gest to niby co ma znaczyć?
— To uniwersalnie przyjęty znak negacji.
— Chcę wiedzieć, co ty wyprawiasz!
Poderwało mnie z fotela, ale zapanowałem nad sobą resztką sił.
— Nie powiem ci, co „wyprawiam”.
— Nie?!
— Zgadza się. I nie wyprawiam, tylko robię, tak na marginesie. Nie uznałaś za stosowne poinformować mnie o niczym, gdy związałaś się z nimi. Nie uważałaś za potrzebne powiedzieć mi choćby wczoraj, czym się zajmujesz. W związku tym nie widzę potrzeby zdawania ci relacji ze swoich poczynań.
— Robisz wszystko, co tylko możesz, żeby zaszkodzić naszemu ruchowi! Jeżeli nie, to powinieneś...
— Gdybym chciał zrobić wszystko, by zaszkodzić waszemu ruchowi, zrobiłbym coś znacznie prostsze, i to już parę dni temu. Zabiłbym Kelly’ego tak, by nie dało się go wskrzesić. Robię coś zupełnie innego, nie współdziałasz ze mną, bo nie chcesz, co sama powiedziałaś. Więc sam prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Franza. A ty z kolei robisz wszystko, by mi to utrudnić, poza fizycznym unieruchomieniem mnie. Kto wie, może to będzie twoje następne posunięcie. Nie

masz prawa tego robić i nie masz prawa mnie przesłuchiwać niczym jakiś początkujący imperialny prokurator. To wszystko, nie będę więcej odpowiadał na zadawane w ten sposób pytania.

Spojrzała na mnie wściekle.

— Niezłe przemówienie — warknęła. — Kupa kłamstw i bzdur.

— Cawti, powiedziałem ci prawdę. Zrobiłem to głośno, wyraźnie i ostatecznie. Nie będę wysłuchiwał ani twoich bezpodstawnych zarzutów, ani obelg. Mam dość.

— Jeśli zamierzasz wtykać nos w...

— Wyjdź z mojego biura.

Zatkało ją.

Najpierw wytrzeszczyła oczy.

Potem je zmrużyła.

I rozdeła nozdrza.

A potem wstała, odwróciła się i wyszła.

Tym razem nie trzasnęła drzwiami.

A ja siedziałem i czekałem, aż mnie cholera przestanie trząść.

Wrócił Loiosh. Sam. Czyli Rocza była z Cawti — i dobrze, Cawti na pewno potrzebowała towarzystwa.

Zamknąłem okno i wyszedłem. Pozwoliłem nogom nieść mnie, gdzie chciały, jak długo nie była to droga do Wschodniej Dzielnicy. Czułem przedziwną potrzebę odszukania wieszca, u którego byłem parę tygodni temu, i zabicia go. Pojęcia nie mam, dlaczego chciałem to zrobić, ale musiałem dobrze się pilnować, by nie zrealizować swego zamysłu.

Nie zwracałem uwagi na to, gdzie jestem, na to, kto jest obok, ani praktycznie na nic. Para silnorękich w barwach Domu Jherega w pewnym momencie ruszyła w moją stronę. Po paru krokach rozmyśliła się i zniknęła. Dopiero dużo później uświadomiłem sobie, że pracowali kiedyś dla jednego z moich wrogów i najwyraźniej chcieli skorzystać z okazji, by wyrównać stare rachunki. Nie wiedzieć czemu się rozmyślili. Szkoda.

Potem zauważyłem, że mam w ręku Spellbreakera i wywijam nim radośnie, czasami trafiając w ściany mijanych budynków. Przyjemność sprawiało mi patrzenie, jak sypią się kawałki chronionych magią starych murów. Nie wiem, ile czasu tak wędrowałem — nigdy nie spytałem o to Loiosha, ale sądzę, że przynajmniej z godzinę.

Oceniając na spokojnie, zrobiłem największą możliwą głupotę. Najpierw wypowiedziałem wojnę przeciwnikowi posiadającemu inteligencję i środki, i to tak, że musiałem go rozwścieczyć. A potem przez godzinę pałętałem się po mieście bez żadnej ochrony, za to robiąc przedstawienie.

Istniało być może wiele przyjemniejszych sposobów skończenia jako nieboszczyk, ale wątpię, czy wiele z nich było pewniejszych.

Z tego stuporu wyrwał mnie rozpaczliwy okrzyk Loiosha:
„Szefie!”

Było zupełnie tak, jakbym obudził się ze snu otoczony przez obcych, ale dziwnie znajomych. Żadnego z tuzina otaczających mnie mężczyzn nie znałem, ale doskonale wiedziałem, kim są i po co się tu zjawili. Przynajmniej jeden miał różdkę. Usłyszałem niezwykle spokojny wewnętrzny głos stwierdzający: „No, Vlad: teraz jesteś już martwy”, i nagle byłem w stanie znów myśleć logicznie. Spellbreaker mógł przełamać blok teleportacyjny, który na pewno założyli na okolicę, ale nie zdążyłbym się teleportować, zanim by mnie dostali. Mogłem zabić kilku niczym Dzur-bohater, ale stwierdziłem, że są tu niekoniecznie po to, by mnie zabić na miejscu — wtedy nie wysyła się takiej kupy, tylko góra dwóch. Oznaczało to, że chcą mnie porwać, a to dawało pewne szansę... Wszystko to przemknęło mi przez głowę w jakąś sekundę, która dziwnie się rozciągnęła, a potem poleciałem całą siłą woli:

„Loiosh, leć po pomoc!”

Stwierdziłem, że opuszcza moje ramię, i byłem naprawdę zadowolony. Potem poczułem mrowienie na karku, a jeszcze później grzmotnąłem o chodnik.

* * *

Pierwsze zadanie, które usłyszałem, nim jeszcze otworzyłem oczy, brzmiało:
— Jak się orientujesz, nadal żyjesz.

Otworzyłem oczy i stwierdziłem, że patrzę na Bajinoka. Średnio miły widok, ale musiałem przyznać, że zgrał wszystko w czasie idealnie. Dopiero odzyskałem przytomność, gdy go usłyszałem, a z reszty zdałem sobie sprawę później, czyli po paru sekundach. Reszta była zdecydowanie mniej przyjemna — siedziałem na twardym, metalowym krześle, przykuty doń łańcuchem i miałem dziwne wrażenie, że oplata mnie nie tylko łańcuch, ale i nader przemyślna magia. Dopiero potem dotarło do mnie, że krzesło jest zimne, co oznaczało, że siedzę na nim gołym tyłkiem. Okazało się, że nie tylko tyłek mam goły — cały byłem nagi.

Spoglądałem na Bajinoka i miałem ochotę coś powiedzieć, tylko nic mi do głowy nie przychodziło. A on uprzejmie czekał. Pewnie był już taki uprzejmy od małego. Zamiast pleść byle co, rozejrzałem się. Pomieszczenie miało ze dwanaście kroków w każdą stronę, było dobrze oświetlone i całkiem pełne, z tego co widziałem, bo nie próbowałem odwrócić głowy. Oprócz Bajinoka widziałem pięciu silnorekich. Każdy miał w łapie jakieś żelastwo. Najwyraźniej traktowali mnie naprawdę poważnie.

Poczułem się przez moment dumny.

Potem duma wyparowała.

W kącie pomieszczenia koło drzwi dostrzegłem swoje ubranie i arsenał.

— Słuchaj, skoro już mnie tak dokładnie rozebrałeś, to bądź tak miły i daj moje rzeczy do czyszczenia, co? — zaproponowałem. — Naturalnie zwrócę ci koszty.

Uśmiechnął się i kiwnął głową.

A więc obaj graliśmy chłodnych zawodowców. Ślicznie. Dziwne tylko, że najbardziej w tej chwili pragnąłem go własnoręcznie zabić. Nie Hertha, tylko jego. Musiałem bardzo się wysilać, by ta chęć nie ujawniła się na mojej twarzy czy w głosie. Cieszyłem się też, że Loiosha tu nie ma, a z drugiej strony żałowałem tego — potwierdziło to zresztą całkowicie moją dotychczasową opinię na temat uczuć mieszanych.

Bajinok przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko mnie, zakładając nogę na nogę. Mógł to zrobić już wcześniej, nim odzyskałem przytomność, ale zdaje się, że podobnie jak ja miał słabość do dramatyzmu.

— Jeszcze żyjesz, ponieważ potrzebujemy kilku odpowiedzi — poinformował mnie uprzejmie.

— Pytaj. Czuję się nienormalnie wręcz skory do współpracy.

Pokiwał głową z uznaniem.

— Mógłbym ci powiedzieć, że jeśli powiesz prawdę, będziesz żył, ale nie uwierzyłbyś mi, a ja nie lubię kłamać. Powiem ci więc coś absolutnie zgodnego z prawdą: jeżeli nie odpowiesz na te pytania, to naprawdę będziesz chciał umrzeć. Rozumiesz?

Też pokiwałem głową, zamiast się odzywać.

Raz dlatego, że to pasowało do zachowania, dwa, że nagle zaschło mi w ustach.

Powietrze w pomieszczeniu było tak przeładowane magią, że prawie iskrzyło. Podejrzywałem, że skutecznie zniweczyłoby to próbę użycia czarów, ale do tego musiałbym mieć chwilę spokoju, a na to się nie zanosilo. Co mnie zaskoczyło to to, że nadal miałem łącze z Imperialnym Zegarem, dzięki czemu wiedziałem, że nieprzytomny byłem ledwie przez kwadrans. W sumie nie na wiele mi się ta świadomość przydała, ale...

Bajinok odchrząknął i spytał:

— Co cię łączy z tą grupą ludzi?

Omam nie zamarłem z opuszczoną szczęką. Jeżeli tego nie wiedzieli, to miałem całkiem realną szansę grać na zwłokę i być może doczekać przybycia pomocy. Albo użyć czarów. Już udawało mi się to zrobić w sytuacjach, w których teoretycznie nie miałem prawa.

Odchrząknąłem i powiedziałem:

— Pochodzenie. Oni są ludźmi, ja też, więc niejako naturalnie...

A potem zacząłem wyc.

Nie wiem, co mnie bolało najbardziej — z tego, co pamiętam, to wszystko. Trwało to obiektywnie moment — ból ustąpił, nim zawyłem, ale subiektywnie wieczność. Przyznałem Bajinokowi rację: śmierć była lepsza od powtórki. Gdy ból się skończył, byłem cały mokry, głowa zwisała mi na piersiach, a z ust wydobywało się ciche pojękiwanie.

Nikt z obecnych nie odezwał się ani nie wydał najmniejszego nawet jęku.

Po długim czasie zdołałem unieść głowę. Czułem się tak, jakby mi przybyło dwadzieścia lat. A do mojej listy dodałem adepta, który wymyślił i wykonał to magiczne narzędzie tortur. Ponieważ pierwszy sposób okazał się błędny, należało spróbować innego, czyli mówienia prawdy w maksymalnie ograniczonym zakresie. Bajinok miał nadal doskonale obojętny wyraz twarzy.

— Co cię łączy z tą grupą ludzi? — powtórzył.

— Moja żona do nich należy.

Przytaknął odruchowo.

A swołocz! A więc wiedział i testował, czy mówię prawdę. Oznaczało to, że znał odpowiedzi na niektóre pytania, więc jedynie to, co właśnie wymyśliłem, mogło dać mi szansę. Kłamstwo nie było żadnym wyjściem, skoro nie byłem masochistą. A nie byłem.

Padło następne pytanie:

— Dlaczego jest z nimi?

Tu akurat nie istniał żaden problem z powiedzeniem całej prawdy:

— Uważam, że wierzy w słuszność tego, co robią.

— A ty?

Zaczęliśmy wkraczać na niepewny grunt, gdzie należało sprawdzić teorię numer dwa.

— Nie... nie rozumiem pytania.

— Dlaczego ty z nimi trzymasz?

Aha, znaczy się, że tak naprawdę gównie wiedział!

— Nie chcę, żeby Cawti została zabita. Tak jak Franz.

— A dlaczego sądzisz, że może zostać zabita?

— To logiczne, choć nie mam pewności, bo nie wiem, dlaczego zginął Franz.

— A masz jakieś podejrzenia?

Miałem nawet pewność, ale nie miałem gotowej odpowiedzi. Wymyślenie prawdopodobnej zajęło mi jednak zbyt dużo czasu, toteż poczęstował mnie kolejną dawką.

Dłuższą — ze dwie sekundy obiektywnego czasu.

Teraz naprawdę chciałem umrzeć.

Głosu nie mogłem z siebie wydobyć przez dłuższą chwilę, a gdy mi się udało, wychrypiałem:

— Wody.

Ktoś przytknął mi do ust szklanę. Więcej się z niej wylało, niż wypilem, ale część zdołałem przełknąć. Na wszelki wypadek wykazałem inicjatywę:

— Podejrzewam, że przeszkadzają Herthowi w interesach i to było ostrzeżenie.

— Oni też tak podejrzewają?

— Nie wiem. Ich szef, Kelly, jest sprytny, ale nie mam pojęcia, co myśli.

— Masz rację, to było ostrzeżenie. Jak sądzisz, posłuchają go?

— Nie wiem, ale wątpię.

— Ilu ich jest?

— Spotkałem kilkoro, ale słyszałem, że...

Ponieważ przypadkiem wpatrywałem się w drzwi, dokładnie widziałem, kiedy runęły do pomieszczenia, a przez otwór wpadło kilka lśniących obiektów. Shurikeny przeleciały obok Bajinoka, przemknęły nad moją głową i za plecami usłyszałem ciche charkoty oraz łomot walących się ciał. Ktoś magicznie sprawdził usytuowanie wszystkich w pomieszczeniu przed rozpoczęciem ataku. Pewnie Kragar, tylko jak mu się to udało...

Bajinok ponownie dowiódł, iż ma dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy. Zignorował mnie i długim susem dopadł jednego z pomocników. Musiał to być adept, bo w następnej sekundzie obaj się teleportowali. Równocześnie przez wywalone drzwi wpadł Kij, za nim dwa noże, Loiosh i Świetlik... Ktoś z jękiem zwałił się na prawo ode mnie... stojący w wejściu Kragar ciskał nożami z szybkością godną podziwu... oczy Świetlika jaśniały niczym latarnie przy Smoczjej Bramie Cesarskiego Pałacu... przemknęło mi przez myśl: „Zostałeś uratowany”, ale jakoś tak dziwnie obojętne mi było, czy próba będzie w pełni udana.

Z pewnym zainteresowaniem obserwowałem Kija w akcji. Równocześnie rozprawiał się z czterema przeciwnikami. W każdej dłoni miał pałkę, a na twarzy rzadki wyraz pełnej koncentracji. Poruszał się z niesamowitą gracją i kolejno rozbrajał przeciwników — wyglądało to tak, jakby zaplanował wcześniej ich ruchy i swoje. Kiedy wytrącił broń z ręki ostatniemu — a trwało to ze dwie sekundy od chwili rozpoczęcia walki, przystąpił do finału. Pałka w lewej trafiła gościa w szczyt czaszki, a moment później pałką z prawej w bok głowy, zmiatając go do poziomu. Łup-cup, łup-cup. Pierwszy dotknął podłogi, gdy trzeci dostał z prawej, drugi, gdy spotkało to ostatniego. Kiedy trzeci grzmotnął o podłogę, Kij rozejrzał się i jako ostatni schował broń.

Zza moich pleców dobiegł głos Świetlika:

— Wszyscy, Kragar.

— Dobrze — głos rozległ się z prawej strony, tuż obok.

Obróciłem głowę i dostrzegłem, że Kragar kończy zdejmować mi łańcuch z rąk.

„W porządku, szefie?”

Łańcuchy opadły, zaś w drzwiach pojawiła się kobieta w czerni i szarości — teraz wiedziałem, skąd Kragar miał rozeznanie w kwestii usytuowania przeciwników.

— Będziemy gotowi za moment, pani — zapewnił Kragar.

Skoro odzywał się do niej tak uprzejmie, musiała być naprawdę dobra.

„Szefie?”

Nogi też już miałem wolne.

— Vlad? — spytał Kragar. — Możesz wstać?

Doszedłem do wniosku, że dobrze byłoby znaleźć się we własnym łóżku.

Świetlik pozbierał moje rzeczy i broń.

„Szefie? Powiedz coś.”

Kij przyjrzał mi się uważnie i odwrócił się, klnąc pod nosem.

„Szefie, do cholery?! Co się dzieje?”

— Świetlik, pomóż mi go postawić... — zdecydował Kragar. — Dobra...

„Szefie? Dlaczego nie...”

Coś mi przenicowało flaki, w głowie mi się zakręciło, świat wirował i wirował.

„...odpowiadasz?”

Zwymiotowałem na ziemię. Gdyby nie Świetlik i Kragar trzymający mnie mocno, wylądowałbym nosem we własnych rzygowinach. Teleportacja dawno tak dokładnie nie wyczyściła mi żołądka. I dawno temu pusty nie próbował nadal oddać czegośkolwiek. Byliśmy koło domu, ale z tego zdałem sobie sprawę z dużym opóźnieniem. Podobnie jak z tego, że moje rzeczy niósł Kij.

— Do środka — polecił Kragar.

Próbowali pomóc mi iść, ale po pierwszym kroku nogi odmówiły mi posłuszeństwa i musieli mnie nieść.

„Szefie? Jesteś tam?”

— W ten sposób nie pokonamy schodów — ocenił Kragar.

— Czekajcie, zostawcie rzeczy — zaproponował niespodziewanie Kij i już go nie było.

Zaraz potem usłyszałem, że z kimś rozmawia. Dobiegło do mnie „schłał się” i „w burdelu”, po czym Kij zjawił się już bez zawiniątka i złapał mnie za nogi. We trzech wnieśli mnie bez trudu i wypadku.

Kij puścił moje nogi i zaklaskał.

Gdzieś z dołu rozległ się dziecięcy głos:

— To ja to tu zostawię.

A potem szelest i stłumiony brzęk.

I cichy odgłos schodzenia po schodach.

Ponieważ nikt jakoś nie zareagował na powtórne klaskanie, Kij otworzył drzwi i wnieśli mnie do mieszkania.

— Będziemy go chyba musieli obmyć... — mruknął Kragar, nie kryjąc obrzydzenia. — No, bo... Cawti!

— Loiosh powiedział, żebym się zjawiała natychmiast. Co... Vlad!

— Myślę, że trzeba go umyć i położyć spać.

— Vlad, jak się czujesz?

— To ja przyniosę rzeczy — zaproponował Kij.

Loiosh gdzieś zniknął, pewnie poleciał na swoją półkę albo na ramię Cawti, ale akurat patrzyłem w inną stronę, więc nie wiem.

Cawti chwilę milczała, nim zdecydowała:

— Zanieście go do wanny. Tędy...

Jakoś tak to zabrzmiało, jakby miała kłopoty z głosem.

Po chwili zalała mnie ciepła woda, a potem poczułem na sobie delikatne dłonie Cawti. Okazało się, że zaświniony jestem kompletnie — nie dość, że puścił mi zwieracz, to jeszcze się obrzygałem — najprawdopodobniej za drugim razem, gdy mnie potraktowali magią. Żałosne.

Cawti wezwała Kragara do pomocy, gdy skończyła mnie myć. Dzięki niemu zdołałem utrzymać pion, gdy mnie wycierała, a potem dotrzeć do łóżka. Tu mnie zostawili.

Loiosh siedział na poduszce z głową na moim policzku i nie odzywał się. Rocza, sądząc po cichym drapaniu pazurów, usadowiła się w nogach łóżka.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł głos Cawti:

— Dziękuję, Kragar.

— Podziękuj Loioshowi — odparł.

A potem zaczęli mówić tak cicho, że nic nie mogłem zrozumieć.

Znacznie później usłyszałem odgłos zamykanych drzwi wejściowych i pompowanej wody — Cawti musiała wziąć się za sprzątanie łazienki. Po chwili przyszła, położyła mi mokry ręcznik na czoło i owinęła wokół lewego nadgarstka Spel-lbreakera. Kiedy przykryła mnie dodatkowym kocem, stwierdziłem, że musiałem dostać dreszczy.

Potem wyszła.

A ja zacząłem czekać na śmierć.

Było to dziwne i zabawne. Zawsze zastanawiałem się, jaką będę miał tę ostatnią myśl, jeżeli naturalnie starczy mi na nią czasu. Teraz czasu miałem dość i okazało się, że myślę, co będzie moją ostatnią myślą. Zachichotałem bezgłośnie. Jeśli Alieria miała rację w sprawie reinkarnacji, to może moje następne życie będzie lepsze... nie: rację miała na pewno, a lepsze nie będzie. Zresztą nie wiem. Może czegoś się uczymy w każdym życiu... no, to, czego się nauczyłem w tym... że dobrzy zawsze walczą ze złymi i trudno powiedzieć, kto jest dobry, więc zabija się złych na pewno. W sumie wszyscy jesteśmy źli... nie, Loiosh nie jest zły. Cawti... nie wiem... nie była, a teraz...

I nagle z dużym zaskoczeniem stwierdziłem, że nadal żyję. I uświadomiłem też sobie, że mogę nie umrzeć. Z jakiegoś powodu wywołało to przyspieszone

bicie serca. Do mojej świadomości zaczęło powoli przenikać poczucie rzeczywistości, choć z początku nader nieśmiało. Po chwili zdałem sobie sprawę, że jednak będę żył, czego emocjonalnie jakoś nie byłem w stanie zaakceptować. Inaczej mówiąc, wiedziałem to, ale nie wierzyłem. Sięgnąłem po nóż schowany w rękawie, lecz go nie znalazłem. Przypomniałem sobie, że jestem nagi, więc gdzie go miałem znaleźć. Uniosłem głowę i na krześle przy drzwiach dostrzegłem swoje ubranie i broń. Nie było sposobu, bym zdołał tam dosięgnąć. Poczulem Spellbreakera na nadgarstku — może dałoby się tak udusić przy jego pomocy? No bo łba to sobie nim nie rozwalę, za lekki.

Uwolniłem lewą rękę spod koca i przyjrzałem się złotemu łańcuszkowi czy też łańcuchowi. Kiedy go znalazłem, Sethra Lavode zasugerowała, żebym wybrał dlań stosowne imię, ale nie chciała powiedzieć dlaczego. Teraz przyglądałem mu się z namysłem. Przylegał do nadgarstka, ale nie ścisnął go. Pozwoliłem, by ręka opadła poza łóżko. Natychmiast rozwinął się i opadł na dłoń. Uniosłem go za jeden koniec i znieruchomiał w powietrzu zwinięty niczym wąż. Poruszyłem ręką, ale jego drugi koniec nie drgnął, zawieszony w przestrzeni o jakieś dwanaście cali nade mną.

„Coś ty czy ktoś ty? Uratowałeś moje życie wiele razy, a tak naprawdę nie wiem, czym jesteś. Bronią? Możesz mnie teraz zabić?”

Zwinął się i rozwinął, jakby zastanawiał się nad tym. Nigdy dotąd nie zachowywał się podobnie, choć gdy go znalazłem, wisiał sobie w powietrzu. Ale to było pod Górą Dzur, a tam dziwniejsze rzeczy są normalne. Albo może na Ścieżkach Umarłych? Nie bardzo pamiętałem... czy to znaczyło, że może mnie tam zabrać?... ludzie nie mieli wstępu na Ścieżki Umarłych, ale ja tak naprawdę nie byłem człowiekiem... Zresztą co znaczyło być człowiekiem?... czym w rzeczywistości ludzie różnili się od elfów?... kogo to w sumie obchodziło?... a to akurat było łatwe: i ludzi, i elfy... Kelly'ego nie obchodziło...

Spellbreaker tworzył w powietrzu dziwne kształty, skręcając się i zwijając niczym tancerz. Tak mnie to zaabsorbowało, że ledwie zarejestrowałem, iż Loioosh wyleciał z pokoju.

Kilka minut później, gdy Cawti weszła z kubkiem gorącej herbaty, nadal tańczył.

— Wypij, Vlad — powiedziała drżącym głosem.

Spellbreaker opadł, po czym wznosił się. Zastanawiałem się, co by było, gdybym puścił drugi koniec, ale wolałem nie ryzykować — nie chciałem, żeby przestał. Poczulem przy ustach kubek i gorący płyn spływający częściowo do ust, częściowo na brodę. Przełknąłem odruchowo i poczułem dziwny smak. Przyszło mi na myśl, że być może Cawti właśnie mnie otruła. Gdy ponownie przytknęła mi kubek do ust wypięłem zawartość prawie duszkiem, nadal przyglądając się tańczącemu Spellbreakerowi.

A potem leżałem i czekałem na koniec. Mimo wszystko jakaś część mnie była

zaskoczona, gdy się w końcu zjawił.

Rozdział siódmy

*„1 para czarnych, wysokich butów:
usunąć rdzawe plamy z prawego. . .”*

Nie pamiętam przebudzenia. Przez długi czas gapiłem się w sufit, nie zdając sobie sprawy ani z tego co robię, ani na co patrzę. Świadomość i odczucia wracały powoli — miękkość pościeli. . . zapach włosów Cawti. . . jej ciepła, sucha dłoń w mojej. . . drugą ręką obmacałem się dokładnie i zamrugałem zaskoczony. Wokół szyi miałem delikatnie owinięty ogon Loiosha. Usłyszałem nieśmiało:

„Szefie?”

„Tak, Loiosh. Jestem.”

Położył mi łeb na policzku.

Poczułem świeże poranne powietrze wpadające przez okno. Oblizałem usta, zamknąłem oczy i otworzyłem je całkowicie świadomie. Powróciła pamięć przeszyciwająca niczym szpila. Skrzywiłem się, a zaraz potem mną zatrzęsło. Co to była za cholerna magia?! Nigdy nawet nie słyszałem o podobnym paskudztwie. Po chwili uspokoiłem się w miarę i odwróciłem głowę. Cawti była w pełni rozbudzona i przyglądała mi się zaczerwienionymi oczyma.

— Czego to niektórzy nie robią, byle zyskać trochę współczucia — wychrypiałem.

Uścisnęła moją dłoń.

Po chwili roześmiała się cicho.

— Próbuję znaleźć sposób, by spytać, czy się dobrze czujesz, żeby nie zabrzmiało to jak czepianie się ostatejniej rozpaczliwej nadziei — przyznała.

Teraz ja uścisnąłem jej dłoń.

Loiosh machnął skrzydłami i wystartował.

Okrzyżił pokój i obudził siedzącą gdzieś Roczę, o czym ta poinformowała świat średnio uprzejmym sykiem.

— Jeśli chodzi o to, czy zamierzam się zabić, to odpowiedź brzmi „nie” — wyjaśniłem i spytałem po chwili: — Nie spałaś, prawda?

Zrobiła gest, który odebrałem jako potwierdzenie.

— Może powinnaś — zasugerowałem.
Spojrzała na mnie szklistym wzrokiem.
— Wiesz, to tak naprawdę niczego nie rozwiązuje — dodałem.
— Wiem — tym razem głos jej się załamał. — Chcesz o tym porozmawiać?
— O wczorajszym? Nie, to zbyt świeże. Co ty mi dałaś w herbacie? Bo że truciznę, to wiem.

— Tsiolin, ale niewielką dawkę. Wtedy działa jako środek nasenny.
Pokiwałem głową.

Przysunęła się bliżej, więc ją przytuliłem. I wpatrzyłem się w sufit, który pomalowała na jasnozielony kolor. Kiedyś na moje pytanie odparła, że to barwa wzrostu i urodzaju. Przyjąłem to do wiadomości i wróciliśmy do miłszych zajęć. A teraz spoglądałem sobie w zielony sufit i nie miałem żadnych skojarzeń.

W końcu znudziło mi się i wstałem. Zabrałem się za codzienne czynności poranne — gdy po chwili zajrzałem do sypialni, Cawti spała.

Wyszedłem z Loiošem do znajomego lokaliku na klawę. Cały czas się bacznie rozglądaliśmy, więc byłem spokojny. Jakoś tak wychodziło, że nigdy nie zostałem zaatakowany wtedy, kiedy byłem na to przygotowany, zawsze przez złośliwość losu musiała to być, cholera, niespodzianka. Było to tym dziwniejsze, że zdecydowaną większość czasu byłem przygotowany na atak. W sumie nie bardzo pamiętałem, jak to jest, kiedy człowiek w ogóle nie musi się martwić podobnymi możliwościami. Nawet gdy byłem młody, w okolicy za dużo było gówniarzy nie lubiących ludzi, więc nawyk rozglądania się w poszukiwaniu zagrożenia rozwinął się u mnie naprawdę wcześnie. Wątpiłem zresztą, bym był w stanie kiedykolwiek się go do końca pozbyć, choć gdyby Kelly i jego wariaci. . .

„Myślę, że chyba za dużo myślisz, szefie.”

„No dobra, mądralo. To powiedz mi, o czym nie mam myśleć.”

„Eee. . .”

„Właśnie.”

„Słuchaj no, ta grupa Kelly’ego. . .”

„No?”

„Gdybyś nie musiał się martwić o życie Cawti i przejmować Herthem, co byś o nich sądził?”

„A skąd mam wiedzieć?”

„A jak ci się podoba to, że Cawti do nich należy?”

To było niezłe pytanie. Zastanowiłem się i odparłem:

„Nie wydaje mi się, żebym miał wysoką opinię o grupie, która jest tak zapatrzona w ideały, że nie troszczy się o ludzi.”

„Ale Cawti. . .”

„Nie wiem, Loiošh. Tak naprawdę nigdy nie było okazji dowiedzieć się, o co jej chodzi. Nie wiem, jak długo to potrwa, nie wiem, czy zostanie ze mną, czy będzie chciała dać im pieniądze, a jeśli tak to ile. Zbyt wielu rzeczy nie wiem.

Powinna mi była o tym spokojnie powiedzieć, kiedy zaczęła ich traktować poważnie.”

Dopiłem klawę, zastanawiając się nad różnymi kwestiami. A potem bardzo ostrożnie wróciłem do domu.

* * *

Wszedłem do biura i nie tracąc czasu na powitania, zszedłem prosto do piwnicy. Obok laboratorium znajdowała się duża, pusta sala z wieloma kinkietami na ścianach. Zapaliłem je, dobytek rapiera i zaatakowałem własny cień.

Cięcie w głowę... parada... wypad... obrona...

To, co przytrafiło mi się wczoraj, zwłaszcza w nocy, było znacznie gorsze niż to, co przeżyłem po rozmowie z Alierą.

Pchnięcie... garda... unik...

Z jednej strony należałoby zapomnieć, że chciałem się zabić, z drugiej lepiej nie, bo mogę próbować znowu — z lepszym skutkiem. Bezwzględnie w tej magii, którą mnie spętano, musiało być coś niezwykłego, ale należało spojrzeć prawdzie w oczy: gdybym nie miał ukrytych skłonności samobójczych, to, co miało miejsce w nocy, po prostu by nie nastąpiło. A nastąpiło i w to właśnie najtrudniej było mi uwierzyć.

Pozycja wyjściowa... wypad... tercja...

Jedna rzecz nie ulegała kwestii — muszę dopaść Hertha i to szybko. Okazał się za bardzo pomysłowy i miał zbyt duże możliwości, bym mógł pozwolić mu żyć. Mogło to w niczym nie zmienić nastawienia Cawti do mnie, ale tu chodziło o przeżycie. Na początek musiałem dopilnować, by nigdy więcej nie miał okazji dostać mnie w swoje łapy.

Tercja... salut...

Bo nie było co ukrywać — za drugim razem powiedziałbym wszystko, co wiedziałem, i to nawet nie pytany. A wtedy nie byłbym w stanie spojrzeć sobie w oczy przy goleniu. Nie byłem typem samobójcy, niezależnie od przebiegu ostatniej nocy. Czekano mnie sporo spraw do załatwienia i nie miałem ochoty dać się zabić. A to oznaczało maksymalną koncentrację wysiłków na dorwaniu Hertha.

Schowałem broń.

I zacząłem żałować, że nie zainstalowałem w piwnicy wanny.

* * *

— Kragar.

— Tak?

— Skończyłem z samodzielnym działaniem.

— Najwyższy czas.

— Też tak myślę. Chcę pełen zestaw danych na temat Hertha. Wszystko: chcę znać ulubiony kolor jego kochanki i chcę wiedzieć, jak często myje włosy. Chcę wiedzieć, ile pieprzu wkłada do zupy i jak często.

— Już dobrze, dobrze, rozumiem, o co ci chodzi.

Niespodziewanie wtrącił się Loiosh:

„Możesz go dopaść, nim cokolwiek przytrafi się Cawti?”

„Nie wiem. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy jej coś grozi. Ale nie będę ryzykował, muszę. . .”

I urwałem, bo coś mi nagle przyszło do głowy. Była jedna rzecz, którą mogłem zrobić, a która mogła jej pomóc.

„Nie spodoba jej się to, szefie.”

„Loiosh, jej nie spodobało się nic, co zrobiłem od początku tej całej sprawy. I co z tego? Masz lepszy pomysł?”

„Nie mam.”

„A jakikolwiek?”

„Też nie mam.”

„Ja również. Powinienem to zresztą zrobić już kilkanaście dni temu, tylko jak widać miałem poważne kłopoty z myśleniem. Rocza jest z nią?”

Nastąpiła sekunda ciszy.

„Jest.”

„No to w drogę!”

„Nie zapomniłeś przypadkiem o czymś?”

„O czym?”

„O ochronie swej własnej osoby, szefie.”

Trochę nieswojo mi się zrobiło.

„Nie będę przecież latał na oślep jak ostatnim razem.”

„Doprawdy?!”

Zabrzmiało to jak pytanie retoryczne, więc nie odpowiedziałem.

Teleportowałem się prosto do pokoju, na wypadek gdyby ktoś obserwował biuro. Wschodnia Dzielnica zaczynała wyglądać obrzydliwie znajomo, w miarę jak spędzałem w niej coraz więcej czasu. Miałem w tej sprawie mieszane uczucia.

Teleport zniosłem wyjątkowo dobrze i zaraz zapytałem Loiosha:

„Przemieszcza się?”

„Zatrzymała się dobrą chwilę temu.”

„Jak daleko?”

„Mogę tam dolecieć w pięć minut.”

„A ja mogę cię palnąć natychmiast. Jak daleko piechotą?”

„Pół godziny.”

Ruszyłem zgodnie z jego instrukcjami uliczkami równie pokręconymi co poczucie humoru Verry, ale po pół godzinie rzeczywiście znalazłem się przy dużym placu. Zatłoczonym na dodatek. Zebrało się na nim parę tysięcy osób, głównie ludzi. Przyznaję, że dobrą chwilę gapiłem się na to zbiegowisko, ledwie pamiętając, by zamknąć usta. Ostatni raz, kiedy widziałem taki tłum, skończyło się to regularną bitwą.

Nie podobało mi się to ani trochę.

Wzięłem głęboki oddech i zacząłem się przepychać, kierując wskazówkami Loiosha:

„Teraz prosto... dobrze... w tył i w prawo... dobrze... teraz gdzieś tu...”

Loiosh na wszelki wypadek nie uprzedził Roczy, że jest w pobliżu. Może mu się to nie podobało, ale nic nie mówił. Ja wolałem, by Cawti nie wiedziała o mojej obecności, gdyż nie byłem w stanie przewidzieć jej reakcji.

Dostrzegłem ją na platformie zdającej się skupiać uwagę tłumy. Rozglądała się uważnie, choć mógł to stwierdzić jedynie zawodowiec. W pierwszej chwili sądziłem, że mnie szuka, dopiero potem zorientowałem się, co naprawdę robi, i aż mnie zatrzęsło ze śmiechu. Przed nią stał Kelly, donośnie perorując o tym, „że oni się nas boją”, a ona bawiła się w jego ochronę osobistą. Bo w tych warunkach mogła to być jedynie zabawa. Pełen kontyngent tuzina ochroniarzy nie gwarantowałby sukcesu, a o pojedynczej osobie szkoda było nawet wspominać. Natomiast sytuacja obiektywnie była zabawna, bo przybyłem tu właśnie po to, by robić za jej ochronę, tylko tak żeby mnie nie zauważyła.

Tak mnie to rozbawiło, że dopiero po paru krokach znieruchomiałem. Cawti wypatrywała kogoś próbującego niepostrzeżenie dotrzeć jak najbliżej platformy. Czyli robiącego dokładnie to co ja. Znieruchomiałem ze czterdzieści stóp od podwyższenia i też zacząłem obserwować. Pojęcia nie mam, o czym gadał Kelly, bo po prostu nie słuchałem. Natomiast nie wyglądało na to, by porwał swym krasomówstwem tłum. Owszem, słuchali go, cześć nawet z zainteresowaniem, ale to było właściwie wszystko. Owacje słabiutkie, okrzyki rzadkie i żadnych innych reakcji.

Poczułem się nieco zagubiony.

Nigdy dotąd nie miałem do czynienia z tak spokojnym tłumem. Spoglądałem od czasu do czasu na podwyższenie, ale tam też się nic nie działo. Kelly nadal perorował coś o „historycznej konieczności” i o tym, że „nie pozwolimy rzucić się na kolana”. Oprócz niego i Cawti na górze był naturalnie Gregor i Natalia oraz

parunastu ludzi i kilku Dragaerian z Domu Teckli. Też wydawali się słuchać go z zainteresowaniem.

W końcu przestał gadać i rozległy się głośniejsze wiwaty — pewnie dlatego, że skończył. Zgromadzeni zaczęli się rozchodzić, a co ważniejsze, Cawti i pozostali zeszli z podwyższenia. Ruszyłem za nimi, starając się z jednej strony trzymać blisko Cawti, z drugiej nie dać się jej zauważyć. Loioosh z kolei wypatrywał, czy ktoś mnie nie śledzi. Wokół każdego, kto zszedł z podwyższenia, utworzyły się grupki dyskutantów — na szczęście nie wokół Cawti. Trzymała się blisko Kelly'ego i musiałem odczekać kolejne pół godziny, nim oboje wraz z Gregorem i Natalią opuścą rejon placu.

Do tego czasu zaludnienie okolicy wróciło do normy i wszędzie panowały spokój i cisza. Szedłem za nimi całą drogę do budynku o zabitych deskami oknach. Weszli do środka. Znalazłem sobie przytulne zagłębienie w ścianie i czekałem. Na szczęście było ciepło, stanie na zimnie zawsze pozbawia mnie dobrego humoru.

Najważniejszym mankamentem tej sytuacji było to, że sam stanowiłem wyśmienity cel, a poza tym miałem za dużo czasu i za mało do roboty. Człowiek przeważnie zaczyna wtedy z nudów myśleć.

Ja też zacząłem.

No i oczywiście skończyło się na rozmyślaniach o torturach i skłonnościach samobójczych, z których nic rozsądnego nie wynikało, jako że wynikać nie mogło. Fakt — nikt dotąd nie doprowadził mnie do takiego stanu, żebym się obsikał, obsrał, obrzygał i obsmarkał, ale to jeszcze nie powód, żeby się zabić! Ponieważ wyszło mi, że jednak mam skłonności samobójcze, z czym w żaden sposób nie chciałem się zgodzić, doszedłem do wniosku, że nie wiem, co jest ze mną nie w porządku, i najlepiej przestać o tym myśleć, bo mogę dojść do jeszcze głupszych wniosków.

A na to był tylko jeden sposób.

„Loioosh, popilnuj tu, a ja się przejdę do dziadka.”

„Żadne takie, szefie! Na pewno nie beze mnie!”

„A to dlaczego?”

„Bo Herth nadal cię szuka.”

„Aha. Fakt.”

No i nigdzie nie poszedłem.

* * *

Cawti wyszła po paru godzinach, gdy zaczął się zbliżać wieczór. Skierowała się do domu. A ja za nią. Rocza kilkakrotnie zaczynała się nerwowo rozglądać, to-

też Loiosh zaproponował, żebyśmy zostali trochę w tyle. Zrobiliśmy tak i szliśmy dalej.

Kiedy Cawti dotarła do domu, połąziłem jeszcze z pół godziny po okolicy, nim wróciłem do domu. Nie rozmawialiśmy wiele, ale zauważyłem, że częściej niż zwykle mi się przygląda, i to z wyraźnie zatroskaną miną.

* * *

Następnego dnia było podobnie — Cawti wyszła rano, a ja za nią. Tym razem sprzedawała gazetki (nowe: w tytule było coś o kamienicznikach — krwio pijcach). Przyglądałem się podchodzącym do niej uważnie, zwłaszcza gdy nie byli ludźmi. Skontaktowałem się z Kragarem i usłyszałem, że pracuje nad sprawą, więc dałem mu spokój. Tak naprawdę połączyłem się z nim telepatycznie tylko po to, by wmówić sobie, że robię coś pożytecznego.

Bo w rzeczywistości traciłem czas — całe to chodzenie za Cawti było bez sensu. Raz, nie wiedziałem, czy jej coś grozi. W ogóle nie miałem pojęcia, czy Herth zamierza kogoś z nich zabić, a jeśli tak to kogo. A po wtóre, jeżeli by spróbował, to by mu się udało. Owszem, dorwałbym zabójcę, ale nie przeszkodziłbym w zabiciu Cawti, bo było to fizycznie niemożliwe. Zawodowy zabójca działa z zaskoczenia. Można mu pokrzyżować plany, ale tylko wtedy, gdy jest się blisko niedoszłej ofiary. A będąc w odległości dwudziestu-trzydziestu stóp, znajdowałem się po prostu za daleko, by zdążyć na czas.

Z drugiej strony nic więcej nie mogłem zrobić. Chyba że myśleć, a myśleniem byłem naprawdę zmęczony.

„Szefie!”

Spojrzałem w kierunku, który wskazał. Duży brązowy budynek mieszczący najprawdopodobniej mieszkania kilku rodzin.

„Co się stało?”

„Widziałem kogoś przy narożniku, był dość wysoki, za wysoki jak na człowieka, szefie.”

Przyglądałem się dokładnie budynkowi, ale nic nie zauważyłem — nawet najdrobniejszego ruchu. Cawti i Sheryl nadal stały koło straganu warzywnego, gawędząc ze sprzedawcą. Przez pół godziny na zmianę obserwowałem ją i narożnik budynku. Potem zrezygnowałem — budynek obserwował Loiosh, a ja żonę. W końcu obie wróciły do budynku z zabitymi oknami, który uznałem za ich kwaterę główną, choć Cawti mówiła o nim jako o mieszkaniu Kelly’ego. Sprawdziłem, czy ktoś je śledził, ale nie miałem pewności.

Cawti pozostała wewnątrz, Sheryl wyszła. Ustawiłem się tak, by nikt z wną-

trza nie mógł mnie dostrzec, a sam miałem doskonały widok na wejście. Całe szczęście, że Cawti jeszcze rzadziej niż ja korzystała z teleportacji.

Robiło się szarawo, gdy do środka wszedł pewnym krokiem Dragaerianin w barwach Domu Jherega. Ruszyłem ku wejściu, ale wyszedł, nim byłem w połowie drogi. Zdołałem skręcić, udając brak zainteresowania, i nie zwrócił na mnie uwagi. Gdy się odwróciłem, maszerował spiesznie ulicą. Zastanawiałem się, czy za nim nie iść, ale jedyne, co by to dało, to potwierdzenie, że wysłał go Herth.

Bo musiał zostać wysłany z jakąś wiadomością — był wewnątrz zbyt krótko, by zdążyć zrobić cokolwiek innego. Chyba że był naprawdę dobrym magiem i miał przygotowaną recepturę mogącą zabić błyskawicznie wszystkich obecnych. Okazało się że nie, bo na ulicy nagle pojawili się Cawti, Paresh i Natalia. I ruszyli gdzieś, naprawdę się spiesząc. Nie miałem wyjścia — poszedłem za nimi. Kierowali się na północny wschód, czyli ku centrum miasta. Dzielnica Wschodnia bowiem, mimo że wchodzi w skład Południowej Adrilankhi, leży na zachód od śródmieścia. Ten, kto wymyślał nazwy dzielnic, musiał być w sztok pijany.

Przed przekroczeniem granicy z dzielnicą dragaeriańską — biegła wzdłuż Carpenter Street i choć nie była w żaden sposób zaznaczona, wszyscy ją znali — skręcili w boczną uliczkę, a potem w prawdziwy labirynt uliczek. W końcu stanęli wokół czegoś leżącego na jednej z nich. Cawti przyklęknęła, a Paresh zaczął się rozglądać. Ponieważ się nie zatrzymałem, zauważył mnie. Zrobił gest, jakby chciał użyć magii, i w mojej dłoni znalazł się Spellbreaker. Nie dokończył jednak tego gestu, a ja byłem już na tyle blisko, by w zapadającym półmroku dostrzec, że Cawti przyklęknęła przy ciele.

Uniosła głowę i spojrzała na mnie.

Paresh był tak spięty, że wyszły mu żyły na szyi. Natalia zaś wydawała się średnio zainteresowana i nastawiona batalistycznie. Cawti przyglądała mi się twardo.

— Co masz z tym wspólnego? — spytał Paresh.

— Nic — odparłem.

Miał możliwość powtórzenia pytania — wtedy dostałby zdecydowanie inną odpowiedź i najwyraźniej zdał sobie z tego sprawę. Kiwnął głową i nie odezwał się do mnie. Byłem nieco rozczarowany.

Zamiast niego odezwała się Cawti:

— Co tu robisz, Vlad?

Nie odpowiedziałem. Podeszedłem bliżej i przyjrzałem się ciału. Była to Sheryl. Nie nadawała się do ożywienia, bo zatłuczono ją na śmierć i jeden z ciosów zgniótł szczyt czaszki, uszkodzając mózg. Biciem zajmowali się fachowcy: każda noga była złamana nad i pod kolaniem, a każde kolano zostało strzaskane, każda ręka została wyłamana w łokciu, twarz przypominała surowy kawał mięsa i tak dalej w tym samym stylu. Tak na moje oko obrabiali ją stopniowo przez parę godzin.

Odwróciłem wzrok.

— Co tu robisz, Vlad? — powtórzyła Cawti.

— Śledziłem cię.

Pokiwała głową.

— Zauważyłeś coś?

— Loiosh być może spostrzegł kogoś obserwującego was, gdy sprzedawałyście gazetki. Od momentu, gdy weszłyście do budynku, skupiłem uwagę na drzwiach.

— A nie pomyślałeś, żeby komuś o tym powiedzieć?

Zamrugalem oczami, nim do mnie dotarło, że miała na myśli kogoś z nich.

— Mogłem powiedzieć tylko tobie, a wtedy wiedziałabyś, że tu jestem.

Odwróciła się.

Paresh prawie się odezwał. Natalia aż się trzęsała z wściekłości. Cawti regularnie zaciskała dłonie w pięści i rozwierała je.

Poczułem pierwsze objawy złości. Nie dość, że żadne mnie nie traktowało poważnie, to wszyscy nie życzyli sobie mojej obecności, a teraz są wściekli, że nie uchroniłem Sheryl. Wystarczyło, by...

„Szefie, oni nie są wściekli na ciebie.”

„Że jak?”

„Oni są wściekli na Hertha. I być może na siebie, że do tego dopuścili.”

„A niby jak mogli temu zapobiec?”

„Mnie się pytasz?”

Spojrzałem na Paresha, bo stał najbliżej, i spytałem:

— Mogliście temu w jakikolwiek sposób zapobiec?

Zamiast odpowiedzi potrząsnął głową.

— Mogliśmy szybciej budować ruch — odpowiedziała przez zaciśnięte zęby Natalia. — Bylibyśmy silniejsi i nie odważyliby się na coś takiego. Baliby się nas teraz.

Zdecydowałem, że nie jest to najwłaściwszy czas i miejsce, by pozbawiać ich złudzeń. Zamiast odzierać z iluzji, pomogłem im zanieść ciało do kwatery głównej. Zapadł zmrok, tak że mało kto zwrócił na nas uwagę, co też wiele mówiło. Cała trójka zachowywała się tak, jakbym powinien czuć się zaszczycony, że pozwolili mi pomóc, ale nie skomentowałem tego. Mnie śmierć Sheryl nie obeszła — ich tak, i to bardzo. Położyliśmy ciało w korytarzu. Oni weszli do pokoju, a ja wyszedłem z budynku bez słowa.

W drodze do sklepu dziadka nie wiedzieć dlaczego zacząłem się bać, że znajdę go zabitego. Było to całkowicie irracjonalne i naturalnie znalazłem go całego i zdrowego, ale sam fakt, że coś takiego się zdarzyło, był niepokojący.

Wszedłem, dzwonki zadźwięczały i dziadek spytał z zalepcza:

— Kto tam?

— Vlad.

Uściskaliśmy się i siadłem obok Ambrusa. Dziadek zaparzył herbatę, opowiadając o nowym handlarzu ziół, który nadal moczył absynt w miętowej wodzie, tak jak to dawniej robiono. Ja w tym czasie przywitałem się z Ambrusem, dziadek z Loiošem. Potem herbata była gotowa — dziadek nalał nam obu i usiadł.

— Co cię martwi? — spytał, przyglądając mi się uważnie.

— Wszystko, noish-pa.

— Nie spałeś dobrze.

— Nie.

— Dla kogoś z naszej rodziny to zły znak.

— Wiem.

— Co się stało?

— Pamiętasz tego Franza, co to go zabili?

Przytaknął bez słowa.

— No to właśnie zabili następną z tej grupy. Byłem z nimi, gdy znaleźli ciało.

Potrząsnął głową i spytał:

— A Cawti nadal jest z nimi?

— Jest, ale to nie wszystko, noish-pa. Oni wszyscy zachowują się jak dzieci, które znalazły sztylet Morgantich. Nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Uważają, że mogą się bawić wbrew organizacji, nie wspominając już o Imperium. Nic by mnie to nie obchodziło, gdyby nie Cawti, ale jeśli dojdzie do konfrontacji, po prostu nie będę w stanie jej ochronić! Zresztą prawdę mówiąc, już nie jestem. Dziś obserwowałem ich miejsce spotkań, gdy zjawił się tam posłaniec Hertha z informacją, gdzie znaleźli ciało. Gdyby był magiem, zdążyłby ich wszystkich zabić, zanim bym go dopadł. Znam tego, kto za tym stoi. Jest zdolny do czegoś takiego, jeśli uzna to za najlepsze wyjście. A oni nie są w stanie tego zrozumieć. Ja zaś nie potrafię ich przekonać.

Dziadek poczekał, aż skończę.

Potem poprawił się na krześle, zamyślił i po chwili spytał:

— Mówisz, że znasz tego, kto wywołuje to wszystko?

— Osobiście słabo, ale dużo o nim wiem.

— W takim razie, skoro mógł wysłać maga i zabić ich wszystkich, dlaczego tego nie zrobił?

— Bo uznał, że to mu się nie opłaca. Jeszcze. Wynajęcie takiego maga sporo kosztuje, a on jest oszczędny i nie wydaje więcej, niż musi.

Dziadek kiwnął głową i zmienił temat:

— Słyszałem, że wczoraj odbył się wiec.

— Co? — zdziwiłem się.

— Duże zebranie ludzi.

— A tak. W dodatku niedaleko stąd.

— A potem urządzili marsz. Sporo ludzi było, widziałem, bo szli tędy.

— A tak, kilka tysięcy. Tylko co z tego? Co oni mogą zrobić?

— Może powinieneś jeszcze porozmawiać z tym Kellym. I przekonać go.

— Może. Tylko, że to nic nie da, noish-pa.

Westchnął i milczał długą chwilę.

— Nigdy nie widziałem cię tak nieszczęśliwego, Vladimir — przyznał w końcu.

— Widzisz, ja zawsze działałem według znanych reguł. Wszyscy tak działają, bo je znają. Jeżeli zostawić nas w spokoju, my też nie będziemy przeszkadzać. A jeśli ucierpi ktoś nie należący do organizacji, to dlatego, że wtrącił się w coś, w co nie powinien. Nikt nie robi tego złośliwie, tak po prostu jest. A Kelly i reszta zachowują się jak pijane dzieci we mgle: jakby te zasady ich zupełnie nie dotyczyły. Czasami mam ochotę załatwić sprawę za Hertha, bo wtedy miałbym spokój, ale jakoś nie mogę się na to zdobyć. Czasami... szlag by to trafił, nie wiem, co chciałbym zrobić. A do Hertha nie mogę dotrzeć. Gdybym go zabił, też rozwiązałbym problem. Powinienem kogoś do tego wynająć, ale nie mogę... Muszę... chyba przestać, bo opowiadam bzdury bez ładu, składu i porządku.

Dziadek, sądząc po minie, przestał za mną nadążać znacznie wcześniej. Teraz przyjrzał mi się z namysłem. Loiosh przycupnął na moim ramieniu. Wypiłem łyk herbaty i czekałem.

W końcu dziadek spytał:

— A Cawti?

— Nie wiem. Może też ma podobne odczucia... ale nie wiem, dlaczego się do nich przyłączyła. Ona mnie zabiła, wiesz.

Wytrzeszczył oczy.

— W ten sposób się poznaliśmy — wyjaśniłem. — Została wynajęta, żeby mnie zabić, i zrobiła to. Sama zresztą przy tym też zginęła. Nigdy nie zabiłem człowieka... a ona tak. A teraz zachowuje się jakby... nieważne.

Przyglądał mi się uważnie i chyba przypomniał sobie naszą ostatnią rozmowę, gdyż spytał:

— Ile to już trwa, Vladimir? Jak długo jesteś zabójcą?

Ponieważ wydawał się szczerze zainteresowany, odpowiedziałem:

— Lata.

Pokiwał głową.

— To może czas, żebyś o tym pomyślał.

— Załóżmy teoretycznie, że wstąpię do Gwardii Feniksa: też będę zabijał za pieniądze. Albo zaciągnę się do armii któregoś z lordów z Domu Smoka. Będzie to jakaś różnica?

— Być może nie. Nie znam odpowiedzi. Powiedziałem tylko, że być może nadszedł czas, żebyś tę sprawę przemyślał.

— Dobra. Już o tym myślę, jeśli o to chodzi.

Dziadek rozlał resztę herbaty.

Wypiliśmy i poszedłem do domu.

Rozdział ósmy

„...kurz i tłuszcz z obu...”

Pamiętałem dobrze grobowiec Baritta.

„Grobowiec” było określeniem umownym, jako że wewnątrz nie złożono ciała. Serioli chowają zmarłych w grobach albo pod ziemią, albo wewnątrz gór. Zawsze uważałem to zresztą za dziwactwo, ale w sumie to nie moja sprawa. Dragaerianie zaś budują niektórym swoim ważniakom pomniki i nazywają je grobowcami, bo kiedyś użyli zasłyszanego określenia Seriolich, a że są niezbyt bystrzy, nie połapali się na czas. Potem to już była tradycja, a za tradycję każdy dałby się posiekać na plasterki.

Grobowiec Baritta był potwornie wielki pod każdym względem. Wykonano go z szarego kamienia, ozdobiono reliefami i płaskorzeźbami, gdzie się tylko dało. Ustawili go w Górach Wschodnich, w pobliżu odwiecznego targowiska, gdzie ludzie i Dragaerianie handlują od lat. A kiedy ja się tam znalazłem, zamiast targu miała być bitwa. Ot, moje parszywe szczęście.

Po jednej stronie znajdowała się armia złożona z ludzi, po drugiej z Teckli. Tą drugą dowodziło kilku lordów z Domu Smoka i podczas gdy żołnierze po obu stronach ginęli w ilościach przemysłowych, oni nigdy nie znaleźli się w prawdziwym niebezpieczeństwie. A zachowywali się jak co najmniej półbogowie.

Zapamiętałem to dobrze i na długo. Podobnie jak i to, że przyglądałem się tej bezsensownej rzezi i szlag mnie trafiał z bezsilności. To znaczy bezsensowna to ona była z mojego punktu widzenia. Morrolan na przykład doskonale się zabawił, Alierą stała się posiadaczką idealnej dla niej broni, a ja się przekonałem, że nie da się nijak wrócić do domu. Natomiast sama bitwa była nonsensem, w którym mogłem wziąć udział jedynie jako jeden z ludzi czy jeden z Teckli. Tak jedni jak i drudzy gadali niczym popiół z Góry Zerika, więc nie wziąłem udziału, tylko się przyglądałem.

Przypomina mi się to zawsze, gdy czuję się bezsilny. Wiem, że Dragaerianie uważają zabójstwo za mniej honorowy sposób od masowej rzezi zwanej bitwą, ale jakoś nigdy nie byłem w stanie zrozumieć dlaczego. Ta bitwa pokazała mi też, co to takiego marnotrawstwo — tylu zabitych, by osiągnąć tak niewielki rezultat.

Naturalnie w końcu zrobiłem... coś, ale to już inna historia. Prześladowające poczucie bezsilności i tak nie zniknęło.

Cawti nie odzywała się do mnie.

Nie chodziło o to, że nie chciała ze mną rozmawiać, lecz że nie miała mi nic do powiedzenia. Położyłem rano po domu, próbując znaleźć sobie zajęcie albo ciekawy widok za oknem. Nie udało się ani jedno, ani drugie. Cisnąłem kilka noży do tarczy — nie trafiłem ani razu. W końcu wziąłem Loiosha i poszedłem do biura, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności.

Czekał na mnie Kragar.

Wyglądał na nieszczęśliwego.

Nie miałem nic przeciwko temu — dlaczego miał się mieć lepiej ode mnie?

— O co chodzi? — spytałem bez zbędnych wstępów.

— O Hertha.

— Co z nim?

— Nie ma kochanki, nie je zupy i nigdy nie...

— Zaraz! Chcesz powiedzieć, że nie możesz się niczego o nim dowiedzieć?

— Nie, dowiedziałem się prawie wszystkiego. Na początek coś miłego: nie jest magiem. Poza tym niestety jest bardzo podobny do ciebie: nie ma żadnego stałego rozkładu dnia. Gorzej, nie ma biura, pracuje w domu. Nigdy dwa razy z rzędu nie odwiedza tej samej restauracji i w ogóle zachowuje się tak, że nie sposób znaleźć żadnej prawidłowości w kolejności jego zajęć czy ruchów.

Westchnąłem i przyznałem:

— Spodziewałem się czegoś podobnego. No dobra, kop dalej, w końcu coś musi wyjść: nikt nie jest w stanie prowadzić kompletnie przypadkowego trybu życia.

Potwierdził ruchem głowy i wyszedł.

A ja wstałem i zacząłem spacerować. Herth na pewno chciał mnie załatwić, więc ktoś zbierał o mnie informacje i obserwował moje ruchy, próbując ustalić jakąś prawidłowość w rozkładzie zajęć, którą mógłby wykorzystać. Odruchowo spojrzałem w okno, naturalnie nikogo nie zauważyłem i skłamałem w duchu. Usiadłem. Przyszło mi na myśl, że jeśli Herth wynajął zawodowca, to nawet jeśli pierwszy go zabiję, zawodowiec, jeśli już wziął pieniądze, nadal będzie próbował mnie zabić.

Miłe, no nie?

Jedno było pocieszające — chwilowo mogłem się nie martwić o Cawti. Herth udzielił im kolejnego ostrzeżenia, więc nic nie zrobi, dopóki nie zobaczy, jaki wywarło efekt. A to musiało potrwać, co oznaczało, że mogłem skupić się na utrzymaniu przy życiu mojej skromnej osoby. Najprościej było zabić tego, kogo wynajął Herth, bo wówczas zyskałbym na czasie, a on aż tak łatwo nowego zabójcy nie wynajmie.

Pomysł był dobry, należało teraz zastanowić się nad realizacją.

W końcu wymyśliłem. Loioshowi moja koncepcja się nie spodobała, więc zapytałem go, czy ma inny pomysł. Nie miał, toteż zdecydowałem się wprowadzić mój plan w życie — nim nie stwierdzą, jak jest narwany. Wstałem i wyszedłem, nie odzywając się do nikogo.

* * *

Loiosh próbował znaleźć tego, kto mnie obserwował, podczas gdy ja łąziłem po okolicy, zachodząc do rozmaitych lokali. Loiosh nikogo nie zauważył, co oznaczało, że albo był to naprawdę dobry fachowiec, albo nikt mnie nie śledził. Ja koncentrowałem się na emanowaniu spokojem i pewnością siebie wobec właścicieli odwiedzanych interesów. Nie było to łatwe zadanie.

W końcu wczesnym popołudniem skierowałem się do Dzielnicy Wschodniej. I o tej samej porze co przez ostatnie dwa dni ustawiłem się w pobliżu domu Kelly'ego. I czekałem. Tym razem znacznie mniej interesowało mnie, kto wchodził i wychodził, ale i tak zauważyłem, że ruch panował większy niż zwykle. Pokazała się Cawti z moim przyjacielem Gregorem — oboje taszczyli jakieś pudła. Ludzie i Teckle cały czas wchodzili i wychodzili, ale mnie to nie obchodziło. Czekałem, by zabójca przystąpił do akcji.

Fakt, nie było to idealne miejsce do ataku — byłem dobrze ukryty przez narożnik budynku, miałem doskonałe pole widzenia, a Loiosh stanowił system wczesnego ostrzegania. Ale było to też jedyne miejsce, które odwiedzałem regularnie przez ostatnie dni. Jeżeli nadal będę tak postępował, zrozumie, że to dlań najlepsza okazja. A jeśli z niej skorzysta, to będąc na to przygotowanym, powinienem być w stanie go zabić, co da mi niezbędną czas.

Niestety, w żaden sposób nie mogłem przewidzieć, kiedy zabójca przystąpi do działania — i to był najślabszy punkt planu. Pozostawanie w gotowości przez kilka godzin nie jest sprawą łatwą, zwłaszcza jeśli ma się ochotę komuś przylać tylko po to, by się rozładować.

W miarę upływu czasu coraz więcej wychodzących niosło ryzy papieru. Teckla, którego nigdy dotąd nie widziałem, wyszedł także z kociołkiem i pędzlem i zaczął rozlepiać kartki na murach domów. Przechodnie przystawali, czytali je i szli dalej.

Zmarnowałem kilka godzin, bowiem zabójca się nie pojawił. Nie zdziwiło mnie to — jemu się nie spieszyło. Mógł zresztą mieć inny pogląd na to, gdzie mnie najlepiej utrupić, toteż wracając do domu, zachowałem szczególne środki ostrożności.

Dotarłem bez żadnych problemów.

Cawti jeszcze nie wróciła, gdy powaliło mnie zmęczenie. Poszedłem do łóżka.

* * *

Następnego dnia wstałem, nie budząc jej, zrobiłem klavy i wypilem ją, siedząc wygodnie w fotelu. Loiosh był zajęty jakąś poważną rozmową z Roczą, która przeciągnęła się aż do czasu, gdy Cawti wychodząc, zabrała ją ze sobą. Wyszła bez słowa. Ja zostałem w domu do popołudnia — wtedy wyszedłem na swą rutynową wizytę we Wschodniej Dzielnicy.

* * *

Poprzedniego dnia Kelly i reszta byli nadzwyczaj pracowici. Teraz za to nikt się w pobliżu nie kręcił, a sam budynek wyglądał na pusty. Po jakimś czasie z nudów podszedłem do wiszącej najbliżej na ścianie kartki. Było na niej napisane coś o wiecu, który miał się odbyć tego dnia, a potem coś o zakończeniu mordów i agresji.

Wróciłem na miejsce i czekałem dalej. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie iść na ten wiec, ale zdecydowałem, że jeden w zupełności wystarczy, a nie będę koledze po fachu ułatwiał zadania.

Po jakimś kwadransie zaczął się ruch. Najpierw przyszedł Kelly, a krótko po nim Paresh, potem kilku, których nie znałem, potem Cawti i znowu kilku obcych. W większości ludzi. Nie zauważyłem przedstawicieli innych domów poza Tecklami.

Znowu zaczęli wchodzić i wychodzić jak z dobrej knajpy, ale teraz dodatkowo sporo się jeszcze kręciło po ulicy, co było nienormalne. Złapałem się na tym, że z nudów zwracałem większą, uwagę na nich niż na własne bezpieczeństwo. A to był czwarty dzień. Jeżeli zabójca był wyjątkowo ostrożny, poczeka jeszcze ze dwa, o ile nie wybrał innego miejsca, ale z każdym dniem wzrastało prawdopodobieństwo, że to będzie właśnie to. Ja na przykład albo wybrałbym lepsze miejsce, albo zaatakował dziś. Prawie się uśmiechnąłem, gdy dotarło do mnie, co właśnie pomyślałem. Dziś zabiłbym siebie, gdyby mi za to zapłacono.

Chyba zaczynałem gonić w piętę.

Loiosh opuścił moje ramię, zatoczył rundkę nad moją głową i wrócił na miejsce.

„Albo go nie ma, albo się doskonale schował, szefie.”

„Ano. Co myślisz o tym zamieszaniu po drugiej stronie?”

„Nie wiem. Ale wyglądają jak mrówki po wsadzeniu kija w mrowisko.”

Co ciekawsze, mimo upływu czasu ruch nie malał. Wchodzących i wychodzących (często z plikami kartek) było nawet coraz więcej. Zauważyłem, że grupa sześciu chłopca wyszła z czarnymi przepaskami na głowach, których nie mieli, wchodząc. Po pewnym czasie powtórzyło się to z inną. Cawti i inni, których znałem, pokazywali się na ulicy raz na godzinę. Cawti w pewnej chwili też pojawiła się z przepaską. Prawie jej nie było widać z powodu koloru jej włosów, ale Loioosh potwierdził, że nie wydawało mi się.

Zbliżał się wieczór, gdy zauważyłem, że jedna z kręcących się w pobliżu grup ludzi ma pałki, a jeden człowiek nawet nóż. Ciekawe. Zdwoiłem czujność i obserwowałem dalej.

Pojęcia nie miałem, na co się zanosilo, ale nie zaskoczyło mnie, gdy w ciągu następnej godziny zauważyłem coraz więcej takich grup z kijkami. Zdarzały się nawet miecze, halabardy, dzidy i szpady.

Coś bezsprzecznie się działo.

Ponownie doświadczałem uczuć mieszanych. W pewien sposób byłem mile zaskoczony, że zdołali zorganizować coś tak dużego — na ulicy była już dobra setka uzbrojonych ludzi. Wyglądało na to, że jestem z nich dumny. Z drugiej strony doskonale wiedziałem, że jeśli to potrwa dłużej, wzbudzą uwagę już nie Hertha, lecz Imperium. A wtedy sytuacja stanie się groźna.

A ja na dodatek miałem na karku zabójcę.

I niespodziewanie uświadomiłem sobie, że chwilowo nie mam się właściwie czego obawiać. Gdyby bowiem należał do ryzykantów, zaatakowałby wczoraj lub dziś, gdy się pojawiłem, a w okolicy nie było żywego ducha. Miałem jednak przecucie, że jest do mnie podobny z charakteru, a ja za nic w świecie nie próbowałbym ataku w takich warunkach. Trzymałbym się planu, a setki uzbrojonych i złych ludzi nie miał prawa sobie zaplanować.

Ulica tymczasem dalej wypełniała się ludźmi, stając się powoli zatłoczona. Przeważali mężczyźni z bronią, a było ich już tylu, że przechadzali się także przed moim narożnikiem. Najrozsądniejsze, co mogłem zrobić, to pozostać nie zauważonym — stanowić część ulicy, na którą nikt nie zwróci uwagi. Nie miałem pojęcia, co oni robią poza kręceniem się w tą i z powrotem, ale wszyscy wydawali się traktować to naprawdę poważnie.

Właśnie zdecydowałem się wrócić do domu, uznając, że zamachu na siebie w tych warunkach nijak nie sprowokuję, gdy z budynku wyszedł Kelly. W ślad za nim szli Paresh i Cawti, a za nimi kilku ludzi, których nie znałem. Nie wiem, co on w sobie takiego miał, ale na ulicy zrobiło się nagle cicho. Wszyscy wpatrywali się w niego i czekali. Według mnie musieli jeszcze wstrzymać oddechy, żeby zapadła aż taka cisza.

Nie wdrapał się na nic, a ponieważ był niski, ludzie mi go całkiem zastonili, dlatego dopiero po chwili zorientowałem się, że przemawia, albo raczej wykrzykuje, choć zaczął cicho. Im głośniej mówił, tym więcej do mnie docierało:

— Chcą, żebyśmy płacili za ich ekscesy, a my mówimy: nie! Zaprzepaścili wszelkie prawa, jakie mogli niegdyś mieć, do decydowania o naszej przyszłości. Teraz my mamy to prawo i obowiązek, by decydować sami.

Potem znowu mówił coś ciszej, więc nic nie słyszałem. A potem znowu było go słychać:

— Wy, zebrani tu, stanowicie tylko przednią straż, a ta bitwa jest zaledwie pierwszą... nie jesteśmy ślepi... zdajemy sobie sprawę z ich siły, ale oni są ślepi i nie zdają sobie sprawy z naszej... ale my także dostrzegamy ich słabości...

I dalej w tym stylu.

Przestałem go słuchać w przeciwieństwie do pozostałych. Tym razem też zyskał spory odzew — rozległy się okrzyki, widać było wymachiwanie bronią. A ulica stała się jeszcze bardziej zatłoczona, niż kiedy zaczął przemawiać. Ci z tyłu słyszeli tyle co ja, więc pchali się bliżej. Atmosfera przypominała karnawał, zwłaszcza w tylnych rzędach — obecni wrzeszczeli radośnie i wymachiwali czym tam kto miał. Klepali się po ramionach i ściskali tak entuzjastycznie, że mało brakowało, aby jakiś brodacz podciął gardło Teckli, którego próbował objąć.

Nie rozumieli i nie szanowali broni. A to zawsze powodowało wypadki, więc lepiej było znaleźć się jak najdalej od nich. Dlatego dyskretnie się oddaliłem.

Do domu dotarłem bez problemów.

* * *

Cawti wróciła koło północy. Miała pałający wzrok. W zasadzie nie tylko wzrok — wyglądała tak, jakby ktoś jej wstawił świeczkę w głowę i blask wydostał się wszystkimi porami ciała, a z każdego ruchu przebijał entuzjazm i werwa, których nie sposób było nie zauważyć. Nadal miała czarną przepaskę na włosach.

Nalała sobie wina i usiadła, przyglądając mi się.

— O co chodzi? — spytałem zaskoczony tą zmianą.

— Wreszcie coś robimy. To najbardziej podniecająca rzecz, jaka mi się ostatnio przytrafiła.

Zapanowałem nad mięśniami twarzy, na ile mogłem, i spytałem:

— A cóż takiego robicie?

Rozpromieniła się, a światła świec zatańczyły w jej oczach.

— Zamykamy — oznajmiła.

— Przepraszam, co?

— Całą Wschodnią Dzielnicę, a raczej całą Południową Adrilankę.

Zamrugalem gwałtownie, próbując zrozumieć, co mówi.

— Co rozumiesz pod pojęciem „zamykamy”?

— Nie będzie żadnego przejścia czy przejazdu ani do, ani z dzielnicy. Wszyscy kupcy i chłopcy przybywający z zachodu będą musieli okrążyć dzielnicę, chcąc dostać się do miasta. Wzdłuż Carpenter Street i Tyorine ustawione są barykady na wszystkich wylotach bocznych ulic. Rankiem zostaną obsadzone.

Potrzebowałem chwili, by przyswoić sobie te rewelacje, a potem zdecydować, czy bardziej interesuje mnie odpowiedź na pytanie „co to da” czy „jak tego dokonaliście”.

Wygrało:

— Co to da?

Odpowiedziała pytaniem:

— Na krótką metę czy co chcemy osiągnąć ostatecznie?

— Jedno i drugie — zastanowiłem się chwilę i dodałem: — Mówiłaś, że chcecie przeciągnąć na swoją stronę chłopów. Po mojemu w ten sposób bardziej ich wkurzycie niż przyciągniecie. Będą musieli nadkładać taki kawał drogi.

— Większość nie będzie nadkładać drogi. Sprzedadzą, co mają, ludziom i wrócą do siebie.

— I to przeciągnie ich na waszą stronę?

— Oni z racji urodzenia są po naszej stronie — odparła z pewnym trudem.

Miałem jeszcze większe problemy, żeby to przełknąć, ale nie odzywałem się i pozwoliłem jej rozwinąć tę głęboką myśl.

— My nie próbujemy ich zwerbować czy przekonać, żeby się do nas przyłączyli, albo pokazać, co potrafimy. My po prostu toczymy wojnę.

— Nie troszcząc się o ofiary?

— Przestań. Oczywiście to nas obchodzi.

— W takim razie dlaczego próbujecie przeszkodzić chłopom w zarobieniu paru groszy na sprzedaży własnych produktów? Być może będą przez to głodować i...

— Wszystko przekręcasz, Vlad. Najwyższy czas, żebyśmy zareagowali w sposób, który dotrze do władz. Nie możemy pozwolić im myśleć, że dalej mogą nas bezkarnie zabijać. A jedyną obroną jest skupienie mas i skłonienie ich do samoobrony. Owszem, będą ofiary. Ale najbardziej ucierpią wielcy handlarze z Domu Orki czy Tsalmotha, bo zabraknie mięsa do ich rzeźni. I najlepiej sytuowana arystokracja przyzwyczajona do jedzenia mięsa codziennie albo i parę razy w ciągu dnia. Oni najszybciej będą poszkodowani i najszybciej to odczują.

— A więc szybko poproszą Imperium o interwencję.

— Niech proszą. A władze niech próbują. Mamy całą dzielnicę, a raczej cały obwód, a to dopiero początek. W Gwardii nie wystarczy smoków, żeby przebić się przez barykady.

— A po co mają się przebijać: teleportują się poza nie.

— Niech się teleportują. Zobaczysz, co się będzie działo.

— A niby co ma się dziać? Gwardziści to wyszkoleni żołnierze i jeden z nich...

— Nie zrobi nic, kiedy będzie miał przeciwko sobie dwudziestu lub trzydziestu przeciwników. Cała Południowa Adrilankha jest nasza, a to dopiero początek. Zaczynamy zyskiwać poparcie w innych rejonach miasta i w posiadłościach podmiejskich. To oczywiście nie będzie miało znaczenia jutro, ale na dłuższą metę... Przymomniło mi się, że mam odwiedzić rzeźnię i...

— Dobra, załóżmy, że masz rację. Co chcesz osiągnąć?

— Żądamy od Cesarzowej...

— Żądacie? Od Cesarzowej?!

— Tak.

— Aha... no, a tak... a czego?

— Poprosiliśmy o pełne śledztwo w sprawie zamordowania Franza i Sheryl. Tym razem odebrało mi mowę na dłużej.

Otworzyłem usta, zamknąłem je bez słowa, przełknąłem ślinę, odchrząknąłem i spróbowałem jeszcze raz.

Udało się.

— Żartujesz? — spytałem słabo.

— Skądże znowu! Jesteśmy jak najbardziej poważni.

— Chcesz mi powiedzieć, że poinformowaliście o wszystkim władze?

— Tak.

— Zaraz. Niech ja dobrze zrozumieć: nie tylko donieśliście władzom o dwóch zabójstwach popełnionych przez członków organizacji, ale jeszcze zażądaliście w tej sprawie dochodzenia?

— Zgadza się.

— Zidiociałas?! Mogę zrozumieć, że Kelly czy Gregor wpadli na coś równie głupiego, ale po tobie spodziewałem się więcej zdrowego rozsądku. Dobrze wiesz, jak działamy.

— My?

— A kto?! Byłaś aktywnym członkiem organizacji przez lata i dobrze wiesz, co dzieje się z tymi, którzy donoszą władzom. Herth zabije was po kolei. Wszystkich.

— Wszystkich? Całą dzielnicę? Tysiące ludzi i Dragaerian?

Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem. Musiała zdawać sobie sprawę, że jedną z niewielu rzeczy, które z pewnością doprowadzą Hertha do furii, będzie donos do władz. A rozwścieczony Jhereg, nawet kutwa z natury, używa broni Morgantich. Cawti nie cierpiała na zaniki pamięci, więc wiedziała o tym. I cieszyła się jak kretyńka, że zrobili coś, co było równoznaczne z podpisaniem wyroku śmierci.

— Jaką dzielnicę? — jęknąłem. — Nie rozumiesz, co właśnie zrobiliście?!

— Rozumiem, co zrobiliśmy, ale wątpię, żebyś ty to zrozumiał. Myślisz, że Herth jest bogiem. Nie jest. A już na pewno nie jest dość silny, by pokonać całe miasto.

— Ależ on nie. . .

— Zresztą nie o to tu chodzi. Nie liczymy na sprawiedliwość Imperium. Wiemy, że nie nadejdzie, tak jak wiedzą to wszyscy mieszkający we Wschodniej Dzielnicy i okolicach. Tysiące słuchają nas nie dlatego, że nas kochają, ale dlatego, że potrzebują zmiany na lepsze. Rewolucja będzie dlatego, że potrzebują jej tak bardzo, że gotowi są za nią zginąć. Idą za nami, bo my także to wiemy i nie okłamujemy ich. To dopiero pierwsza bitwa, ale wygramy ją. I to właśnie jest ważne: to walka z Imperium, nie z Herthem.

Dłuższą chwilę przyglądałem się jej z niedowierzaniem, po czym spytałem:

— Ile czasu zajęło ci zapamiętanie tego?

W jej oczach błysnęła wściekłość.

Wstała, wzięła pelerynę i wyszła.

Nawet Loiosh nic nie powiedział.

I bardzo dobrze, bo miałby problem, by ująć z życiem.

Rozdział dziewiąty

„... i wyglansować.”

Jakoś nie mogłem zasnąć — chodziłem po okolicy i choć zwracałem uwagę na środki bezpieczeństwa, sądzę, że do końca racjonalny nie byłem. Nikt mnie nie zaatakował. Morrolan połączył się ze mną telepatycznie, ale chyba wyczuł, że sobie ze mną nie pogada, bo stwierdził w drugim zdaniu, że to nic ważnego, i przerwał kontakt.

Po kilku godzinach uspokoiłem się na tyle, że przestało mnie nosić i mogłem wrócić do domu. Tyle że nie ciągnęło mnie tam — albo będzie pusty, albo będzie na mnie czekała bojowo nastawiona Cawti.

Przesiedziałem do świtu w otwartej całej noc kafejce, pijąc klawę, dopóki nerki nie poprosiły o litość. Gdy słońce pojawiło się na pomarańczowo-czerwonym upiorstwie, które Dragaerianie z uporem nazywają niebem, zjadłem sadzone jajka i poszedłem do biura.

Melestav na mój widok zgłupiał kompletnie.

Pokręciłem się po biurze, upewniłem, czy wszystko gra. Grało. Jakiś czas temu zdarzyło mi się zostawić wszystko na głowie Kragara i w ciągu paru dni prawie doprowadził do katastrofy. Wyglądało na to, że od tego czasu nauczył się sporo w sprawach kierowania i zarządzania. Miłe.

Znalazłem notatki dotyczące dwóch osób chcących się ze mną spotkać w interesach. Nie było to nic pilnego, więc dałem im spokój. A potem zastanowiłem się i wręczyłem je Melestavowi z poleceniem, by Kragar je sprawdził. Kiedy ktoś próbuje mnie zabić, a ktoś inny chce się ze mną spotkać, obie sprawy mogą się łączyć. Choć naturalnie nie muszą. Jak się potem okazało, te się nie łączyły.

Spać nadal mi się nie chciało, toteż zszedłem do laboratorium, powiesiłem pelerynę na kołku razem z kaftanem, podwinąłem rękawy i wziąłem się do roboty. Już dawno obiecywałem sobie zrobić tu porządki. Wyrzuciłem niedopalone węgle i popiół, wytarłem podłogę, a nawet wyczyściłem świeczniki i kinkiety.

A potem dostałem napadu kaszlu, tyle pyłu było w powietrzu.

Wróciłem na górę, umyłem się, ubrałem i wyszedłem. Loioosh leciał przodem, a ja poruszałem się naprawdę, ale to naprawdę ostrożnie. Przecucie mówiło mi,

że dziś wiele spraw powinno się rozstrzygnąć. Skierowałem się bez pośpiechu do Wschodniej Dzielnicy.

* * *

Na miejsce dotarłem koło południa.

Po drodze zjadłem obiad w lokalu, w którym nie lubiano ludzi i członków Domu Jherega. Lokal był do kitu — nie dogotowali mięsa, nie schłodzili wina, obsługa była powolna i prawie nieuprzejma. Ponieważ nie znajdował się na moim terenie, nie mogłem nic na to poradzić. Zemściłem się złośliwie — dałem duży napiwek i przepłaciłem za obiad. Niech się zastanawiają.

Podchodząc Wheelwright Street do granicy dzielnicy, zauważyłem rosnące napięcie oraz ożywienie na twarzach i w zachowaniu przechodniów. Nie dziwiłem się — takiej rozrywki pewnie tu od wieków nie było. Dostrzegłem parę gwardzistów maszerujących żwawo w tę samą co i ja stronę, więc na wszelki wypadek zszedłem im z drogi i poczekałem, aż przejdą.

Parę domów od Carpenter Street zatrzymałem się i zacząłem dokładnie się rozglądać. Ulica była całkiem szeroka, jako że stanowiła główną drogę dla towarów z Południowej Adrilankhi. Przy wylocie kłębił się spory tłumek Dragaerian, głównie z domów Orki i Jhegaali. Wszyscy spoglądali na zachód. Zastanawiałem się, czy nie wysłać Loiosha na zwiady, ale nie chciałem się z nim rozstawać na tak długo, pamiętając o moim koledze po fachu. Przeszedłem dalej na zachód, ale łagodny łuk ulicy blokował widok wylotu na Carpenter Street.

Jeśli ktoś był świadkiem bójek w knajpie wystarczająco często, to nawet nie wiedząc, że się zaczęło, zorientuje się, co się dzieje — po zachowaniu innych. Ktoś obok nagle uniesie głowę, ktoś inny poderwie się niespodziewanie, dwie czy trzy osoby zaczną się cofać przed czymś, czego ktoś siedzący nie widzi, i nagle człowiek czuje dreszcz, wstaje i dopiero dostrzega walczących.

Teraz było podobnie — budynek dalej, tam gdzie ulica lekko skręcała ku północy, wszyscy rozmawiali w ów specyficzny sposób, gdy rozmawia się dla zabicia czasu, a patrzy nie na rozmówcę, tylko na to, co faktycznie przyciąga uwagę. Zauważyłem pięciu gwardzistów, ale nic nie robili — nawet nie rozmawiali. Pewnie czekali na rozkazy. Powoli przeszedłem zakręt i zacząłem słyszeć co głośniejsze okrzyki. Natomiast wszystko, co widziałem, to ściana pleców wzdłuż Carpenter Street między Giełdą Zbożową a sklepem Molly. Było wśród nich kilka gwardyjskich, ale też nieruchomości. Rozejrzałem się na wszelki wypadek za moim zabójcą i zanurkowałem w tłum.

„Szefie?”

„Tak?”

„A jeśli on czeka w tłumie?”

„To go zauważysz, nim mnie trafi.”

„Aha. . . no cóż, nie wiedziałem, że jestem taki dobry.”

Loiosh miał rację, ale było to tak mało prawdopodobne, że postanowiłem zignorować tę ewentualność. Przemieszczenie się przez zbitą grupę tak, by nie stać się obiektem powszechnego zainteresowania i niechęci, nie jest łatwe. Chyba że jest się Kragarem. Wymagało to pełnej uwagi i koordynacji, czyli byłem bezbronnym celem, ale nic na to nie mogłem poradzić. Jest to sztuczka, którą trudno opisać, ale której można się nauczyć, a mnie uczyła mistrzyni. Trzeba wykonywać dużo drobnych, a istotnych czynności, na przykład patrzeć w tym samym kierunku co wszyscy, wsadzić łokieć w żebro w odpowiednim momencie (bo jeśli się tego nie robi, to właśnie zwróci uwagę), a nade wszystko złapać rytm tłumy i stać się jego częścią. Nawet Kiera, ucząc mnie, nie potrafiła dokładnie wytłumaczyć, na czym to polega. Za to doskonale potrafiła pokazać. Dlatego też zdołałem przedostać się do pierwszych rzędów, nie zwracając na siebie uwagi. A kiedy tam dotarłem, mogłem zorientować się w sytuacji.

Kiedy usłyszałem o barykadach, wyobraziłem sobie solidne drewniane konstrukcje uniemożliwiające przejazd czy przejście. Rzeczywistość była mniej imponująca. Ta barykada zbudowana została na mój gust z rzeczy, które komuś były niepotrzebne. Zdołałem zidentyfikować kilka połamanych krzesel, większą część dużego stołu, zmasakrowane meble ogrodowe, materace, pozostałości dwóch szaf, resztki jakichś narzędzi o długich trzonkach, porcelanowy basen z rurą i jakieś kawałki drewna i belek.

Wszystko to dokładnie wypełniało wylot ulicy, a zza tej kompozycji unosił się dym, jakby ktoś rozpałił tam niewielkie ognisko. Po drugiej stronie było może z pięćdziesięciu ludzi i Teckli nie reagujących na obelgi Dragaerian miotane z tej strony. Wszyscy byli uzbrojeni — głównie w kije i pałki, choć było też kilka mieczy i szpad. Dostrzegłem także ze dwudziestu gwardzistów, ale żaden nie wy dobył broni. Raz czy dwa ktoś się zapuścił na barykadę. Wtedy naprzeciwko niego stawało ze dwudziestu obrońców i ochotnik jakoś szybko rezygnował. Gwardziści obserwowali takie wypadki w sposób wskazujący na to, że są gotowi do akcji, ale gdy gość zlął z barykady ponownie się odprężali.

Z drugiej strony podjechał do przeszkody wóz ciągnięty przez osła. Gdy dzieło go od niej ze trzydzieści jardów, podeszli doń trzej ludzie i zaczęli coś tłumaczyć woźnicy, Dragaerianinowi. Rozmawiali przez chwilę i nietrudno było domyślić się, że woźnica kłął, ale w końcu zawrócił i odjechał skąd przybył.

Jak na razie było tak, jak powiedziała Cawti — nikogo nie przepuszczali w żadną stronę. Do bójki jeszcze nie doszło, ale nie dlatego, że ludzie nie byli gotowi, lecz dlatego, że Dragaerianie nie zebrali się na odwagę. Znając ich, wiedziałem, że w końcu się zbiorą.

Zobaczyłem, co chciałem, i postanowiłem dotrzeć na zwyczajowe miejsce, bo sztab musiał się mieścić w siedzibie głównej. Poszedłem dalej Carpenter Street — przy każdej krzyżówce albo wylocie ulicy natykałem się na podobne obrazki, tyle że tłum przy Carpenter i Wheelwright był największy, bo ulice były najszersze. Na kilku powtórzyły się scenki, które już widziałem, toteż znudzony ruszyłem w dalszą drogę.

* * *

Zaułkami dotarłem do celu, a potem ustawiłem się w zwykłym miejscu, sprawdziłem broń i zacząłem czekać. Ponieważ przychodziłem tu od kilku dni, był to jedyny regularnie powtarzany element moich codziennych zajęć. Jeżeli Herth wynajął zabójcę (a nie wierzyłem, by tego nie zrobił), to musiał on dojść do wniosku, że to najlepsza okazja. Chyba że domyślił się, że zastawiłem na niego pułapkę...

Przed wejściem do budynku stał Paresh i kilku ludzi. Różni wchodzili i wychodzili, ale w niczym nie przypominało to oszalałej aktywności ostatnich dni.

W ten sposób minęła godzina walki z nudą. Zaczęło mi się chcieć spać, co mnie martwiło — zmęczenie nie jest miłym odczuciem, gdy ma się perspektywę walki o życie. Poza tym czułem się brudny, ale to przeszkadzało mi znacznie mniej.

Pierwszym znakiem zaś, że coś się zaczęło dziać, było pojawienie się Cawti i Gregora. Spieszyli się, a Gregor wybiegł zaledwie parę minut po wejściu do budynku. Sprawdziłem powtórnie broń i czekałem. Spać mi się odechciało.

Jakiś kwadrans później Gregor pojawił się ponownie — przyprowadził z pięćdziesięciu chłopów. Stanęli w okolicy wejścia.

Dosłownie minuty później zjawili się czterech gwardzistów. Ustawili się po drugiej stronie ulicy dokładnie naprzeciwko drzwi. Przełknąłem ślinę. Czterdzieści do czterech — ludzie i Teckle byli bez szans.

Nie wiedziałem, czy obecność gwardii oznacza sforsowanie barykad, rozebranie ich czy też teleportację. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że w Południowej Adrilankhce musi stacjonować silny kontyngent Gwardii, bo inaczej nigdy nie byłiby na miejscu w razie potrzeby, a potrzebni byli najczęściej właśnie w tym rejonie. A to oznaczało, że w krótkim czasie będzie ich więcej. Przyjrzałem się dokładniej gwardzistom i zauważyłem, że trzej z nich pod złocistymi pelerynami noszą stroje w barwach zielonej, brązowej i żółtej. A więc trzej Teckle i jeden Smok. Oznaczało to, iż Cesarzowa jest na tyle zaniepokojona, iż nakazała użycie całej Gwardii łącznie z poborowymi.

Cawti wyszła z budynku i zaczęła rozmawiać z gwardzistą z Domu Smoka. Miała na sobie strój w barwach Domu Jherega, a na lewym ramieniu Roczę. Nie wiem, jakie to wywarło na Smoku wrażenie, ale na pewno nie spowodowało u niego przyływu dobrej woli. Czego najlepszym dowodem było to, iż w pewnym momencie ujął rękę miecza.

A ja znowu miałem napad uczuć solidnie mieszanych. Nie zabija się gwardzistów. A już na pewno nie robi się tego przy świadkach. Z drugiej strony nie zamierzałem beczynnie stać i przyglądać się, jak pewien swej bezkarności palant zabija mi żonę. Nie do końca wiedziałem, co zrobię, ale na szczęście nie musiałem nic zrobić, bo nie wyciągnął broni. Musieli otrzymać dokładne rozkazy w tej kwestii. Albo też ten Smok był inteligentniejszy od reszty: Cawti potrafiła o siebie zadbać i było to widać w jej zachowaniu.

Przypomniałem sobie, po co tu jestem, i rozejrzałem się. Po moim zabójcy naturalnie śladu nie było. Całe szczęście, że Loiosh nie dał się zdekoncentrować wydarzeniom na ulicy i zachowywał czujność.

W tym czasie do stojących gwardzistów dołączyło ośmiu nowych. A potem jeszcze czterech. Stosunek utrzymywał się ten sam co w pierwszej czwórce: jeden Smok na trzy Teckle. Jeden z nowo przybyłych, a raczej jedna odbyła krótką konferencję z tym, z którym rozmawiała Cawti i przejęła negocjacje. Najwyraźniej była starsza stopniem.

Do zgromadzonych po drugiej stronie dołączyło trzydziestu nowych.

Temperatura na ulicy prawie wyczuwalnie wzrosła.

Cawti potrząsnęła głową. Potem znowu rozmawiała. Potem Cawti ponownie potrząsnęła głową przecząco. Dużo bym dał, by wiedzieć, co stanowiło powód niezgody, ale było to niemożliwe. Ani nie chciałem, ani nie mogłem w tych warunkach połączyć się z nią telepatycznie.

Dowodząca nagle odwróciła się do podkomendnych i poleciła donośnym głosem:

— Zachować odległość trzydziestu stóp, nie wyciągać broni bez rozkazu, pozostać czujnym!

Gwardziści cofnęli się nieco. Smoki w czarnych, lamowanych srebrem mundurach z ryngrafami Feniksa i w złocistych pelerynach Domu Feniksa wyglądali bojowo i elegancko. Teckle głupio, gdyż złote ryngrafy z Feniksem i złociste peleryny nie pasowały do ich chłopskich strojów ani barwą, ani krojem.

Cawti wróciła do budynku, z którego po chwili wyszli Natalia i Paresh. I zaczęli krążyć wśród swoich zwolenników, zatrzymując się to tu, to tam na krótkie pogawędki. To się nazywało, zdaje się, podtrzymywaniem na duchu. Albo podnoszeniem morale. Nie wiem, za krótko byłem w wojsku.

Dobry kwadrans później do ludzi Kelly'ego dołączyło pół setki nowych obywateli. Wszyscy mieli długie noże zbliżone gabarytami do mieczy, byli muskularni i obchodzili się z bronią w sposób wskazujący na długoletnią praktykę. Musieli

pracować w jednej z podmiejskich rzeźni.

Dziesięć minut potem zjawili się następnych dwudziestu gwardzistów.

I tak to trwało przez następną godzinę.

Ulica tak się zappełniła, że nie byłem już w stanie dostrzec drzwi do budynku. Za to całkiem wyraźnie widziałem oficer dowodzącą Gwardią Feniksa. Stała jakieś trzydzieści stóp ode mnie na prawo, toteż całkiem wyraźnie widziałem z profilu jej twarz. Była nieco podobna do Morrolana, miała bowiem klasyczne rysy Smoka, ale nie była tak wysoka. I zdecydowanie nie była uszczęśliwiona ani rozwojem wydarzeń, ani swoją tu obecnością. Trudno jej się było dziwić, jeżeli przyjęło się punkt widzenia Smoka: walka z ludźmi i Tecklami nie mogła stanowić powodu do dumy, za to przeciwników było dużo i byli na swoim terenie. Na dodatek trzy czwarte jej własnych sił stanowili rekruci — Teckle, co osłabiało siłę bojową oddziału. Zastanawiałem się, co Kelly robi, bo jeżeli słusznie podejrzewałem, Cesarzowa dowiedziała się, że to on jest przywódcą i głównym sprawcą kłopotów, i wysłała Gwardię, by go aresztowała. Oczywiście, że nie miał żadnej ochoty podporządkować się temu — też bym nie miał.

Powstało tylko pytanie, co robi. Pozwoli kilkuset ludziom (nie licząc Teckli) zginać w swojej obronie? Byłoby to sensowne: w końcu on walczył o zasady, a walka wymaga ofiar, no nie?

Tylko że ta metoda nie mogła go uratować, chyba żeby wygrał. A wygrać nie mógł — wśród gwardzistów było zbyt dużo Smoków (i jeden Dzur), by nie znalazło się tam kilku magów. Zapowiadało się na masakrę. Tym bardziej że co do Paresha nie miałem pewności, ale Cawti była nienajgorszą czarownicą. I to najprawdopodobniej nie jedyną w tłumie.

Mimo to nie mieli szans.

Bo nawet gdyby tym razem wygrali, Gwardia zjawi się ponownie — liczniejsza i bezwzględniejsza. A gdyby, co było nieprawdopodobne, ale teoretycznie możliwe, Gwardia nie dała sobie rady, Cesarzowa mogła ściągnąć wojsko z nad wschodniej granicy. A wówczas cała Południowa Adrilankha spłynełaby krwią i zmieniła się w ruinę. Tak właśnie zakończyła się ostatnia rewolta Teckli, tyle że nie działo się to w mieście.

W tym momencie pojawiła się nowa grupa — sześciu otaczało siódmego. Wszyscy byli Dragaerianami i nosili barwy Domu Jherega. Sześciu stanowiło obstawę, siódmym był Herth.

Moje dłonie odruchowo sięgnęły po broń, nim powstrzymałem je świadomym wysiłkiem woli. Nie mogłem go zabić i przeżyć, ale opanowałem się z trudem. Nie sądziłem, że mogę kogoś aż tak nienawidzić, dopóki go nie zobaczyłem. Uczucia żywione wobec Bajinoka były, jak się okazało, czysto przyjazne w porównaniu do tego, co czułem wobec Hertha. To był już martwy elf, tylko jeszcze o tym nie wiedział!

Loiosh ścisnął moje ramię. Spróbowałem się odprężyć i przestać koncentro-

wać wyłącznie na Hertcie.

Ten zaś dostrzegł oficer dowodzącą Gwardią i podszedł do niej. Kilku gwardzistów wystąpiło przed nią. Trzech ochroniarzy stanęło przed nimi i już zacząłem mieć nadzieję, że zobaczę walkę, której się nie spodziewałem, gdy oficer warknęła krótki rozkaz i gwardziści rozstąpili się. Podeszła do Hertha i jego ochroniarze także się rozstąpili. Miałem idealny widok i byłem na doskonałej pozycji: dwóch ochroniarzy to dwa noże, reszta to shurikeny (na pewno wszystkich nie zabiją, ale zmuszą do uników) i Herth jest martwy, zanim to w pełni do niego dotrze. Był tylko mały szkopuł — nie mogłem tego przeżyć. Więc nic nie zrobiłem, co najlepiej dowodziło, że nie mam skłonności samobójczych.

— Dzień dobry, pani porucznik — powitał ją uprzejmie Herth.

— Czego chcesz? — jej głos był ostry i na tyle uprzejmy, że było jasne, iż nie cierpi przedstawicieli Domu Jherega.

— Wydaje się mieć pani problem.

Splunęła pogardliwie.

— Za pięć minut już nie będę miała — warknęła. — Teraz wynoś się.

— Myślę, że potrafię rozwiązać ten problem pokojowo.

— A ja myślę, że potrafię cię. . .

— Chyba że zabijanie cywilów sprawia pani przyjemność, pani porucznik — przerwał jej równie spokojnym jak dotąd głosem. — Może tak jest. Nie wiem.

Przyglądała mu się przez moment.

A potem podeszła tak blisko, że aż stanęła z nim dosłownie nos w nos. Jeden z obstawy poruszył się i zamarł, widząc gest Hertha. Porucznik powoli wyciągnęła sztylet z pochwy na udzie. Długi, prosty i wybitnie użyteczny. Nie odrywając wzroku od oczu Hertha, sprawdziła ostrze kciukiem, a następnie powoli przeciągnęła czubkiem głowni po jego policzku. Najpierw jednym, potem drugim. Na jego twarzy pojawiły się dwie krwawe linie, ale nawet nie drgnął. Gdy skończyła, wytarła sztylet o jego pelerynę i powoli odeszła.

— Pani porucznik — rozległ się spokojny głos Hertha.

Odwróciła się:

— Tak?

— Moja propozycja nadal jest aktualna.

Widać było, że tym razem się zastanawia.

— Jaka to propozycja?

— Pozwól mi porozmawiać z tym, który jest wewnątrz, i przekonać go do zakończenia tej głupiej blokady lądowej.

Powoli skinęła głową.

— Dobrze, Jheregu — zdecydowała. — Ich czas prawie się skończył. Daję ci dodatkowe dziesięć minut. Zaczynając od teraz.

Herth odwrócił się, lecz nim zdążył zrobić krok, usłyszałem skrzyp otwieranych drzwi — dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę, jaka cisza zapadła

na ulicy. Ludzie stojący przed drzwiami rozsunęli się i zobaczyłem Kelly'ego. Po jednej jego stronie stała Cawti, po drugiej Paresh. Sądząc po minie tego ostatniego, nie tylko ja miałem ciężką ochotę utłuc Hertha tu i teraz. Cawti wyglądała jak zawodowiec. Natomiast moją uwagę przykuło co innego — miałem przed sobą plecy Hertha i tylko jednego ochroniarza.

Bezczynność bywa czasami niezwykle męcząca.

Pierwszy odezwał się Kelly.

— A więc to ty jesteś Herth.

Mrużył oczy tak bardzo, że praktycznie nie było ich widać, ale głos jak zwykle miał jak dzwon.

Herth przytaknął ruchem głowy.

— Ty musisz być Kelly — powiedział. — Wejdźmy do środka i porozmawiajmy.

— Nie — oznajmił rzeczowo Kelly. — Wszystko, co masz mi do powiedzenia, może usłyszeć cały świat. Podobnie jak wszystko, co ja mam ci do powiedzenia.

Herth wzruszył ramionami.

— Jak chcesz. Myślę, że zdajesz sobie sprawę, w jakiej sytuacji się znalazłeś.

— Widzę to znacznie wyraźniej niż ty czy twoja przyjaciółka, która najpierw pokancerowała ci twarz, a dopiero później spełniła twoją prośbę.

Hertha na moment zatkało.

— Cóż, daję ci szansę przeżycia — podjął po chwili. — Jeśli usuniecie...

— Gwardia Feniksa nas nie zaatakuje — przerwał mu Kelly.

Herth parsknął śmiechem.

Słyszając to, jego ochrona też zarechotała.

Wtedy zauważyłem, że Natalia i dwoje nie znanych mi ludzi podeszło do szeregu gwardzistów i każdemu, nawet Smokowi, wręczają po kartce papieru. Należący do Domu Smoka rzucali na nie okiem i ciskali na ziemię, natomiast Teckle albo czytali wolno, albo szybko i zaczęli ze sobą rozmawiać. Paru zaczęło czytać na głos — najwyraźniej na użytek sąsiadów, którzy nie posiadli tej sztuki.

Herth spojrział przez ramię i lekko się zaniepokoił.

Porucznik dla odmiany nieco się rozzłościła.

— Dobra! — oznajmiła. — Wystarczy tego przedstawienia!

Kelly spytał głośno:

— W czym problem? Boisz się, co zrobią, kiedy to przeczytają?

Zapytana odwróciła się ku niemu i przyjrzała z pogardą zmieszaną z nienawiścią.

Ja zaś zerknąłem na kartkę, którą przywiał w poblize wiatr. Dużymi literami wydrukowano na niej: „BRACIA-POBOROWI”, a pod spodem drobniejszym drukiem:

„Wysłali was, Teckle z poboru, przeciwko nam — ludziom i Tecklom — nasi wspólni wrogowie: ciemniejscy mający władzę, pieniądze i przywileje. Bankierzy,

generałowie, posiadacze ziemscy są...”

Kolejny podmuch wiatru zakończył lekturę.

Moją, bo porucznik złapała którąś z wyrzuconych kartek i przeczytała ją w całości. Ponieważ tekst był dość długi, zabrało jej to dobrą chwilę. Zbladła, zacisnęła zęby i widać było, że ją nagła krew zalała. A tymczasem większość jej chłopskiego wojska powylała z szeregu i zajęła się ożywioną dyskusją. Niektórzy nawet wymachiwali trzymanymi kartkami.

W tym momencie Kelly zaczął przemawiać:

— Bracia Teckle! Poborowi! Wasi panowie: generałowie, kapitanowie, arystokracja, gotowi są kazać wam ginąć w walce z nami, którzy pragniemy jedynie bronić swego prawa do normalnego życia. Do tego, by móc chodzić po ulicach bez strachu. Proponujemy: przyłączcie się do nas, bo nasza sprawa słuszna jest i sprawiedliwa. Jeżeli jednak nie zechcecie, pamiętajcie: nie pozwólcie im pchać się do walki, bo będziemy się bronić. A mamy równie ostrą broń jak wy.

W połowie tej tyrady Herth zaczął się wycofywać.

A pani porucznik zgłupiała: to robiła dwa kroki ku Kelly’emu, to cofała się do swoich podkomendnych, chcąc zaprowadzić porządek. Ot, miotła się jak Orka po pustym sklepie. Gdy Kelly zamilkł, na ulicy zapanowała cisza.

Pokiwałem głową z uznaniem.

Cokolwiek bym o Kellym nie pomyślał, wpadł na dobry pomysł i rozegrał to doskonale. Jeżeli nawet nie przyniesie to żadnego innego efektu, to i tak Gwardia została ośmieszona i dużo czasu minie, nim w okolicy zacznie ponownie wzbudzać strach. A wyglądało na to, że inne efekty także osiągnął, bo zadanie wyraźnie przerosło porucznik z Domu Smoka, która nadal nie wiedziała, co zrobić.

Ciszę przerwał Herth:

— Uważasz, że w ten sposób coś osiągniesz?

Pytanie było głupie, bo Kelly już sporo osiągnął.

Kelly najwyraźniej także je za takie uznał, gdyż nie odpowiedział.

Herth nie zrezygnował tak łatwo:

— Jeżeli już skończyłeś z przemowami i masz nadzieję uniknąć rzezi czy aresztowania, to sugeruję, żebyśmy zajęli się uzgodnieniami.

— Ty i ja nie mamy niczego do uzgadniania — przerwał mu Kelly. — Chcemy, żebyś wraz ze swoimi pomagierami wyniósł się z naszej dzielnicy raz na zawsze. I nie spoczniemy, dopóki to nie nastąpi. Poza tym nie mamy ci nic do powiedzenia i nie będę z tobą dyskutować, bo nie mam o czym.

Herth spojrział na niego przeciągle i choć tego nie widziałem, mogłem się założyć, że uśmiechnął się lodowato.

— Jak sobie chcesz, wąsaty — rzucił pogardliwie. — Przynajmniej nikt mi nie zarzuci, że nie próbowałem.

Odwrócił się i podszedł do porucznik.

A ja zdębiałem, bo dostrzegłem kogoś, kogo nigdy bym się nie spodziewał zobaczyć. Zauważyłem go tak późno, bo uwagę skupiałem na głównych postaciach, ale musiał pojawić się już dobrą chwilę temu, gdyż kiedy go dostrzegłem, maszerował prosto ku Kelly'emu.

— Cawti! — rozległ się znajomy głos.

Cawti odwróciła głowę i zamarła, wpatrując się w prawie łysego, starszego, ale żwawego jeszcze mężczyznę, który zatrzymał się o parę kroków od niej.

— Musimy porozmawiać — oświadczył mój dziadek.

Na ulicy nadal panowała cisza, toteż jego głos słyhać było wyraźnie. Zgłupiałem — w tym, że uznał za stosowne z nią porozmawiać, nie było nic dziwnego, natomiast czas i miejsce owszem, jako że dziadek nie miał w zwyczaju załatwiać publicznie rodzinnych problemów. A skoro nie po to przyszedł, to co go tu sprowadziło?

— Noish-pa — wyjąkała Cawti. — Nie teraz, nie widzisz. . .

— Widzę. Widzę dość — przerwał jej i dodał: — Teraz.

I oparł się na lasce, która była wydrążona i zawierała cztery fiolki najprzedniejszej fenariańskiej brandy. Przy boku na pendencie miał zawieszony swój rapier, a na ramieniu Ambrusa, zdecydowanie bardziej poirytowanego tym wszystkim niż on sam.

Krótkie spojrzenie upewniło mnie, że chwilowo nic mu nie groziło — Herth nie miał pojęcia, kim on jest, a porucznik nie wiedziała, co sądzić o jego pojawieniu się, więc przygryzła wargę i zdecydowała się poczekać na rozwój wydarzeń.

— Na ulicy nie da się spokojnie porozmawiać — powiedział dziadek. — Musimy z niej zejść.

Cawti nie wiedziała, co odpowiedzieć.

A ja zacząłem bezgłośnie kłąć. Teraz już nie było uczuć mieszanych — teraz było zdecydowanie. Pieprzyć zasady i Hertha: dziadka miałem jednego i jak długo byłem w stanie coś na to poradzić, nikt go nie będzie na moich oczach zabijał. W dłoń wśliznęła mi się rękojeść sztyletu. Byłem gotów.

Ku mojemu zdziwieniu porucznik też była. Nie wiem, co ją napadło, tym bardziej że jej Teckle nadal gadali między sobą z ożywieniem. Nagle wyprostowała się, zwróciła w stronę uzbrojonego tłumu i rozkazała:

— Rozejść się! Wszyscy!

Nikt naturalnie nawet nie drgnął.

Więc wyciągnęła broń. A miała coś naprawdę przedziwnego — szablę zakrzywioną w niewłaściwą stronę niczym kosa. W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Kelly wbił wzrok w Hertha, a Cawti spoglądała to na nią, to na Hertha, to na dziadka.

Porucznik zawahała się, przyjrzała swoim gwardzistom i rozkazała:

— Dobyć broń!

Smoki jak jeden wyciągnęli rapiery i szpady. Część Teckli też. Ludzie mocniej ujęli styliska i drzewce, paru popłuło w dłonie, a wszyscy jakoś tak się przesunęli do przodu, że stworzyli żywy mur. Na ten widok jeszcze kilku gwardzistów wyciągnęło broń z pochew. Zauważyłem, że mój dziadek i Kelly wymienili najpierw spojrzenia, potem ukłony zupełnie jak starzy znajomi.

Interesujące.

Dziadek wyciągnął rapier i powiedział do Cawti:

— To nie miejsce dla ciebie.

— Padraicu Kelly — odezwała się donośnie, acz nieco piskliwie porucznik.

— Aresztuję cię w imieniu Cesarzowej. Nie stawiaj oporu, bo będę zmuszona użyć siły.

— Nie! — oświadczył głośno Kelly — Powiedz swojej Cesarzowej, że jeśli nie zgodzi się na przeprowadzenie pełnego śledztwa w sprawie zamordowania naszych towarzyszy, jutro nie będzie można przejechać do śródmieścia żadną ulicą. A pojutrze stanie port. A jeżeli użyjesz siły, to do jutra nie będzie Imperium!

Tego typu bzdurna groźba nie mogła odnieść innego efektu, niż skłonienie kogoś z Domu Smoka do natychmiastowego działania.

I tak też się stało.

— Naprzód! — rozkazała.

I Gwardia ruszyła.

A ja postanowiłem skorzystać z okazji. Dziadek był doskonałym szermierzem, toteż przez kilka sekund obejdzie się bez pomocy. A uwaga wszystkich, w tym także ochrony Hertha, skupiona była na Gwardii i stojących naprzeciwko ludziach. Wszystkich, ale nie moja, bo ja całą uwagę skupiłem na oddalonych o czterdzieści stóp plecach Hertha.

Teraz był mój! Teraz mogłem go zabić, i to tak, by nie dało się go wskrzesić — i nikt nie zwróci na to uwagi. Słowem: zbrodnia doskonała.

A potem przyjdzie czas na pomoc dziadkowi.

Odlepiłem się od muru, trzymając sztylet przy nodze, by nie rzucał się mimo wszystko w oczy, i ruszyłem ku Herthowi.

I nagle usłyszałem ostrzegawczy krzyk Loiosha.

A w kierunku mojego gardła zmierzał nóż trzymany przez Dragaerianina w barwach Domu Jherega.

Mój zabójca w końcu wziął się do „roboty”.

Rozdział dziesiąty

„I szary jedwabny fular — zeszyć rozcięcie...”

To, że na niego czekałem, nie zmieniało faktu, że prawie udało mu się mnie zaskoczyć. Spociłem się z wrażenia, klnąc w duchu na czym świat stoi. Chęć zabicia Hertha zniknęła jak zdmuchnięta, zastąpiona koniecznością przetrwania.

Czasami w takich sytuacjach czas zwalnia. A czasami przyspiesza tak, że dopiero po zakończeniu walki uświadamiam sobie, co zrobiłem w jakiej kolejności. Tym razem czas zwolnił. Zobaczyłem zbliżający się nóż i miałem tyle czasu, by zdecydować się, co zrobić, wykonać to i obserwować, jaki też przyniesie skutek. Cisnąłem w niego sztyletem trzymanym w dłoni, uskoczyłem w przeciwną stronę i wylądowałem, od razu przechodząc w przewrót. Przetoczyłem się ze dwa razy na wypadek, gdyby przyszła mu ochota czymś we mnie rzucić. Jak się okazało, przyszła mu ochota, i nóż prawie połaskotał mnie w szyję. Dało mi to jednak dość czasu na otrząśnięcie się z zaskoczenia i zwiększenie odległości. Zrywając się na nogi, wyciągnąłem z pochwy rapier i wyrównałem szanse.

Ledwie stanąłem, poleciłem LoioSHOWI:

„Dam sobie radę. Zaopiekuj się dziadkiem i Cawti.”

„Się robi, szefie.”

Słyszając cichy łopot jego skrzydeł, uśmiechnąłem się lekko. To, co powiedziałem, było kłamstwem, ale mnie nie na wiele mógł się przydać. Mój przeciwnik musiał zebrać o mnie informacje i jeśli nie był kompletnym niedojdą, a nic na to nie wskazywało, zabezpieczył się przed trucizną jherega. Natomiast na pewno nie zabezpieczyli się przed nią gwardziści, a zamieszanie towarzyszące bitwie było doskonałą wręcz okazją, by LoioSH mógł spowodować jak największe szkody i zamieszanie.

Przyjmując pozycję, zdałem sobie sprawę, że obstawa Hertha ma właśnie za sobą doskonały cel, czyli moje plecy, a na ulicy jest ponad siedemdziesięciu gwardzistów. I każdy z nich mógł się przypadkiem obejrzeć w przerwie między zabi-aniem jednego a drugiego człowieka. Obliząłem usta i przestałem o tym myśleć, koncentrując się na przeciwniku. Wreszcie miałem okazję dokładnie go obejrzeć.

Doskonale przeciętny Dragaerianin, a więc idealnie pasujący do wykonywanego zajęcia. Być może miał lekką domieszkę krwi Dzura — nieco skośne oczy i kształt podbródka mogły to sugerować. Włosy długie, spięte z tyłu, oczy brązowe i bystre, twarz pozbawiona wyrazu. Przyglądał mi się uważnie i niczym nie zdradzał, co myślał i czuł z powodu niepowodzenia podstawowego planu!

Też zdążył wyciągnąć rapier — ciężki, typowo dragaeriański. Oraz sztylet. I stał, jak się spodziewałem, zwrócony ku mnie przodem. Ja zaś stałem doń bokiem, tak jak nauczył mnie dziadek. Zanim zdołał jeszcze czymś we mnie rzucić, zbliżyłem się tak, by ostrza rapierów się zetknęły. Była to optymalna odległość, bowiem by użyć sztyletu, musiał się na moment odstąpić, a w tym czasie zdołałbym go co najmniej raz trafić. Co, gdybym miał szczęście, rozwiązałoby cały problem.

Chyba żeby był magiem... a tego po wyglądzie nie sposób się domyślić — magiczny sztylet wygląda dokładnie tak samo jak zwykły. Zaczęły mi się pocić dłonie i przypomniałem sobie radę dziadka, by używać do fechtunku rękawiczek z cienkiego materiału. Będę się musiał w takie zaopatrzyć.

Jeżeli przeżyję.

Zaatakował ostrożnie, zdając sobie sprawę, że walczę dziwnym stylem, i próbując wyczuć, na czym on polega. Nie był tak szybki, jak się obawiałem, więc zdążyłem go skaleczyć w prawą rękę, co nauczyło go trzymać dystans. Gdyby nie gwardziści za plecami, zacząłbym się nawet uspokajać. No, ale gwardziści byli zbyt zajęci walką...

A właśnie, że nie byli.

Dopiero teraz do mnie dotarło, że nie słyhać żadnych odgłosów walki. Mój przeciwnik jeszcze tego nie zauważył i próbował mnie zaskoczyć. Ciął bez ostrzeżenia z prawa na lewo, ale zrobiłem unik i sparowałem, przechwytyjąc jego klingę swoją i pozwalając, by się ześlizgnęła. Poruszał się ze sporą gracją, co oznaczało długi trening. I nadal miał całkowicie pozbawioną wyrazu twarz.

Teraz ja zaatakowałem, ale nie wkładając w to serca, bo nie bardzo wiedziałem, co z nim zrobić. W normalnych okolicznościach zależałoby mi naturalnie na tym, żeby go zabić, ale przy tylu potencjalnych świadkach sytuacja była daleka od normalnej. Zablokował mój atak sztyletem, więc najprawdopodobniej nie był magiem. Oni mają jakąś taką wewnętrzną niechęć do używania magicznych sztyletów, tak jak zwyczajnych. O ile naturalnie nie chodzi o wbicie ich w kogoś.

Zmniejszył dystans, poruszając się drobnymi kroczkami w nieco dziwny sposób — zawsze wysuwał do przodu prawą stopę, stając na pięcie, i dostawiał do niej lewą, na której opierał ciężar ciała. Zignorowałem to, koncentrując się na jego oczach. Bo po nich zawsze można było poznać, gdy ktoś zamierza zaatakować. Nieważne czy przy użyciu magii, ostrza czy gołych dłoni.

Najwyraźniej dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że nie słyhać zgietku bitwy, gdyż odskoczył nagle, zrobił kilka szybkich kroków do tyłu, od-

wrócił się i spokojnie, acz szybko odszedł, znikając za rogiem budynku. Przez moment stałem nieco ogłupiały, nim przypomniałem sobie o Hertcie. Odwróciłem się i zakląłem — nie było śladu ani po nim, ani po jego ochroniarzach. Musieli się, cholery, teleportować, gdy byłem zajęty.

Na moim ramieniu wylądował Loioosh.

Obie strony oddzielało od siebie może z dziesięć stóp. Większość gwardzistów wyglądała na nieszczęśliwych, ale wszyscy mieli w rękach broń. Zwolennicy Kelly'ego zaś wyglądali na zdeterminowanych — przypominali żywą ścianę najeżoną bronią niczym kolcami.

Ja natomiast stałem samotnie na ulicy około sześćdziesięciu stóp za linią Gwardii. Kilku gwardzistów już mi się przyglądało. Na szczęście większość skupiła uwagę na dowódcy, która trzymała uniesione nad głową ostrze równoległe do ziemi, co oznaczało komendę „czekać”.

Można też je było zinterpretować jako „siad” lub „noga”, ale raczej nie w odniesieniu do żołnierzy.

Zauważyłem, że ktoś jeszcze mi się przygląda. Cawti stała obok dziadka i oboje, choć mieli w dłoniach rapiery, nie spoglądali na gwardzistów, lecz na mnie. Schowałem broń, żeby wyglądać mniej podejrzanie, i przeszedłem na bardziej otwartą część ulicy, by zabójca, jeśli wróci, nie mógł mnie dopaść niespodziewanie. Ledwie to zrobiłem, rozległ się głos porucznik — całkiem wyraźny, choć nie mówiła specjalnie donośnie:

— Właśnie otrzymałam wiadomość od Cesarzowej. Wszyscy żołnierze mają wycofać się na drugą stronę ulicy i czekać w gotowości na dalsze rozkazy!

Teckle posłuchali rozkazu z radością, Smoki z niechęcią, ale wykonali go wszyscy.

Spojrzałem na Kelly'ego. Stał i przyglądał się temu. Twarz miał bez wyrazu. Rozumiem, że ukrył ulgę — tego nie należało pokazywać przeciwnikowi. Ale dlaczego skrywał także dumę, radość czy zadowolenie, nie mogłem pojąć. Chyba że ich nie odczuwał...

Podszedłem do rodziny. Wyrazu twarzy Cawti nie byłem w stanie odczytać. Dziadek zaś powitał mnie stwierdzeniem:

— Przejmował inicjatywę, Vlad. Gdyby walka potrwała dłużej, przejąłby ją kompletnie, a równocześnie wytracił cię z równowagi.

— Jakim cudem?

— Za każdym razem, gdy robił krok, minimalnie przesunął ciężar ciała do przodu. Niektóre elfy walczą w ten sposób, według mnie nawet sobie z tego nie zdają sprawy.

— Będę pamiętał, noish-pa — obiecałem poważnie.

— Za to walczyłeś ostrożnie, co jest dobre. Nadgarstek chodził ci zwinnie, ale silnie, tak jak powinien, i nie zatrzymałeś się, gdy go skaleczyłeś, jak to miałeś w zwyczaju.

— Noish-pa. . . — zaczęła Cawti.
— Dziękuję, noish-pa — powiedziałem, wchodząc jej w słowo.
— . . . nie powinienes tu być — dokończyła.
— A niby dlaczego? — zdziwił się. — Co jest takiego cennego w tym życiu, że warto je oszczędzać?
Cawti rozejrzała się, sprawdzając, kto nas słucha.
Ja zrobiłem to samo.
Wyglądało na to, że nikt.
— Ale dlaczego? — spytała.
— Dlaczego tu jestem? — sprecyzował dziadek. — Nie wiem. Wiem, że nie mogę zmienić tego, jaka jesteś czy co zrobisz. Wiem, że dziewczęta tu na Faerie nie są takie same jak w domu i robią, co chcą, co nie zawsze jest złą rzeczą. Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że możesz do mnie zajrzeć, kiedy tylko będziesz chciała albo kiedy będziesz musiała o czymś porozmawiać. Vladimir przychodzi, kiedy ma kłopoty, ale ty nie. To wszystko, co chciałem ci powiedzieć. Tak?
Przez moment przyglądała mu się i zobaczyłem w jej oczach łzy. A potem go pocałowała.
— Tak, noish-pa — powiedziała.
Ambrus miauknął.
A mój dziadek błysnął w uśmiechu resztką zębów, odwrócił się i odszedł, podpierając się laską. Patrzyłem, jak odchodzi, i gorączkowo szukałem sensownych słów, ale nie udało mi się.
Za to odezwała się Cawti:
— Teraz wiemy, dlaczego dziadek się tu zjawił. A dlaczego ty?
— Próbowałem przekonać tego zabójcę, by zrobił to, co właśnie zrobił, żeby go zabić.
Pokiwała głową.
— Naznaczyłeś go? — spytała.
— Tak. I zagonię do roboty Kragara.
— Wtedy będziesz znał jego imię i będziecie próbowali dopaść się wzajemnie.
Jak myślisz, co teraz zrobi?
Wzruszyłem ramionami.
Cawti nie ustąpiła tak łatwo:
— Co ty byś zrobił?
Ponownie wzruszyłem ramionami.
— Nie wiem — przyznałem. — Albo oddał pieniądze i prysnął daleko stąd, i to naprawdę szybko, albo spróbował jeszcze raz w ciągu godziny, najdalej dnia, nim niedoszła ofiara zdąży wszcząć jakieś kroki przeciw mnie.
Przytaknęła:
— Ja także. Chcesz przeczekać ten okres gdzieś, gdzie cię nie znajdzie?
— Nie bardzo. Są. . .

Przerwał mi głos porucznik:

— Do wszystkich obywateli, oto słowa Cesarzowej: zostajecie poinformowani, że pełne dochodzenie, o które prosiliście, zostanie podjęte zgodnie z imperialną procedurą. Nakazuję wam rozejść się i usunąć wszelkie przeszkody z ulic. Jeśli to zostanie wykonane, nie będzie aresztowań.

Po czym odwróciła się do gwardzistów i rozkazała:

— Schować broń, wrócić do patrolowania!

Gwardia schowała broń — Teckle z ulgą, Smoki z żalem. Porucznik nie zaszczyliła nas spojrzeniem czy gestem: po prostu podeszła do oddziału i odmaszerowała wraz z nim.

Odwróciłem się do Cawti, ale w tym momencie Paresh dotknął jej ramienia i wskazał głową drzwi do budynku. Cawti złapała mnie za rękę, ścisnęła i poszła za nim. Rocza zaś przeleciała na moje ramię.

„Ktoś tu chyba myśli, że potrzebują pomocy, szefie.”

„Albo że ja jej potrzebuję. Masz coś przeciw?”

„Skądże. Towarzystwo zawsze się przyda, bo z tobą ostatnio nie da się gadać i robię się samotny.”

Nie odpowiedziałem, bo i co miałem mu powiedzieć?

Na wszelki wypadek wolałem nie ryzykować i teleportowałem się od razu do biura. Lepiej być chorym niż martwym.

* * *

— Jak ci idzie z Herthem? — spytałem Kragara.

— Pracuję nad tym.

— Dobra. Przygotuj się, pokażę ci jeszcze jedną twarz.

— No dobra. Jestem gotów.

Posłałem mu telepatycznie wizerunek zabójcy i spytałem:

— Znasz go?

— Nie. Jak się nazywa?

— To właśnie chcę wiedzieć.

— Dobra. Każę zrobić portret i zobaczymy, co znajda.

— Kiedy go znajdziesz, nie trać czasu na łapanie mnie. Zabij go i to tak, by nie dało się go wskrzesić — widząc uniesione brwi Kragara, dodałem: — To on ma na mnie kontrakt. Właśnie dziś próbował go wykonać.

Kragar gwizdnął z uznaniem.

— Jak to przeżyłeś?

— Czekałem na niego. Podejrzywałem, że Herth kogoś wynajmie, więc tak ustawiłem zajęcia w ostatnich dniach, że mógł spróbować tylko w jednym miejscu.

— To dlaczego przeżył?

— Bo nie wziąłem pod uwagę drobiazgu: około siedemdziesięciu gwardzistów w okolicy. No i okazało się, że nie był aż tak zaskoczony, jak sądziłem, i nieźle radzi sobie z rapierem.

— Aha.

— Stąd wiem, jak wygląda, ale nie jak się nazywa.

— A ja mam się z tym dalej bawić. Niech będzie. Masz kogoś konkretnego na myśli?

— Maria. Jeśli go nie znajdziesz, użyj kogo chcesz.

Kragar uniósł oczy ku sufitowi.

— Nie ma to jak dokładne polecenia — jęknął. — Coś jeszcze?

— Przynies mi nowy zestaw broni. Przynajmniej zajmę się czymś pożytecznym, czekając, aż rozwiążesz wszystkie moje problemy.

— Nie wszystkie, Vlad. Z twoim wzrostem nic nie zrobię.

— Wynoś się.

Wyszedł, udając urażoną godność.

Zostałem sam z jheregami i myślami. Pierwszą było to, że jestem głodny, i zastanowiłem się, czy nie wysłać kogoś po przekąskę. Drugą, że przez jakiś czas będę się wszędzie teleportował, więc to nie jest najszcześniejszy pomysł. Loiośh i Rocza najpierw na siebie posyczeli, potem zaczęli się ganiać po pokoju, więc otworzyłem okno i wyrzuciłem ich na dwór. Podczas otwierania na wszelki wypadek stanąłem z boku — co prawda nie słyszałem, by ktoś próbował dokonać zabójstwa przez szerokość ulicy, ale mój zabójca musiał już być solidnie zdesperowany. Ja przynajmniej byłbym na jego miejscu. Zamknąłem okno, zaciągnąłem zasłony i zdecydowałem, że mogę zająć się paroma sprawami, które odkładałem z powodu nadmiaru zajęć.

— Melestav!

— Tak?

— Kij jest w budynku?

— Jest.

— Przyślij go.

— Dobra.

Kilka minut później zjawił się Kij. Wręczyłem mu sakiewkę zawierającą pięćdziesiąt imperiali. Zważył je bez słowa w dłoni i spojrzał na mnie.

— Za co? — spytał.

— Zamknij się — poleciłem.

— A, za to — skojarzył. — Dzięki.

I wyszedł.

Następny zjawiał się Kragar z moimi nowymi zabawkami. Zamknąłem za nim drzwi i zająłem się wymianą broni, zaczynając proces od zdjęcia i uzbrojenia peleryny. Potem przyszła kolej na kaftan, buty i resztę. Wkładając sztylet do pustej pochwy na lewym przedramieniu, spojrzałem na Spellbreakera. Od tamtej nocy unikałem myślenia o nim. Teraz poruszyłem ręką i opadł mi jak zwykle w dłoń.

Wyglądał jak zwyczajny połączany łańcuszek mający osiemnaście cali długości i wykonany ze średniej wielkości cienkich ogniów. Z wyglądu można go było uznać za złoty, ale nie miał właściwej wagi ani miękkości tego materiału. Próbowaliśmy kiedyś zarysować jego powierzchnię — nie udało się, zupełnie jakby był z doskonałej stali.

Doszedłem do wniosku, że należałoby wreszcie dowiedzieć się wszystkiego co zdołam na jego temat, naturalnie jeśli przeżyję to zamieszanie. Kończąc wymianę broni, zastanowiłem się spokojnie, co musiałbym zrobić, żeby przeżyć.

Po pierwsze zabić swego niedoszłego zabójcę. Po drugie zabić Hertha. Stop! Na odwrót: zabić Hertha, zanim zabiję zabójcę, bo inaczej gotów wynająć drugiego, którego najpierw będę musiał zidentyfikować. Mogłem wynająć kogoś do zajęcia się Herthem, co byłoby mądre, ale niepraktyczne. Naturalnie z jednym wyjątkiem — gdyby zjawiał się Mario. A miałem dość gotówki, by wynająć nawet i jego.

Problem polegał na tym, że niewielu zabójców podjęłoby się tego zadania, a to, że by się podjęli, nie byłoby równoznaczne z tym, że im się uda. Herth był figurą — w hierarchii organizacji stał wyżej ode mnie. A taka figura ma wpojone pewne odruchy i doskonale potrafi zadbać o własne bezpieczeństwo. Poza tym z natury był ostrożny, toteż mogłem się założyć, że nawet do ubikacji chodzi z cztero- czy pięciosobową obstawą na wypadek, gdyby go nocnik zaatakował. Żeby takiego zabić, trzeba mieć po swojej stronie przynajmniej jednego ochroniarza albo być samobójcą. Bo takie okazje, jaka trafiła mi się na ulicy, są zbyt rzadkie, by na nie liczyć.

O Mario mogłem zapomnieć — nikt nie wiedział, gdzie przebywa ani jak się z nim skontaktować. Kelly na pewno miał dość idiotów skłonnych zabić Hertha dla sprawy, ale nie zadają się z podobnymi okazami. A przekupienie ochroniarza wymagało czasu — trzeba wybrać tego, który weźmie, sprawdzić go, ustalić czas i miejsce tak, by załatwić sprawę z minimalnym ryzykiem dla obu. Ja aż tyle czasu nie miałem.

Pozostawało liczyć na szczęście.

Tyle że ostatnio jakoś nie czułem się szczęściarzem.

Z tego prostego procesu eliminacji wynikała jedna rzecz.

Nie zdołam zabić Hertha.

A więc byłem martwy.

Skończyłem wymianę uzbrojenia, analizując inne możliwości. Zawarcie rozejmu z Herthem nie wchodziło w grę. A nic innego nie zapewniało bezpieczeń-

stwa Cawti, co było moim głównym celem, przez który wplątałem się...

Zaraz. Spokojnie. Wplątałem się w to wszystko dlatego, że chciałem znaleźć sprawcę śmierci Franza, którego zresztą nawet na oczy nie widziałem. A chciałem to zrobić, by poprawić sprawy z Cawti. Cholera, dlaczego to ja próbuję naprawić coś, co nie ja zepsułem?! To ona wplątała mnie w ten idiotyzm, nawet nie uznając za stosowne poinformować mnie o tym. To z jakiej racji ja się narażam i wtykam nos tam, gdzie ani mnie nie chcą, ani ja nie chcę? Z poczucia obowiązku?

Ładne określenie, tylko co ono w sumie znaczy?

Może to poczucie obowiązku nie może sobie tak dyndać jak wisielec na wie-
trze, tylko musi być z czymś połączone... Większość ludzi łączy je z Barlanem,
Verrą czy Krukiem albo jakimś innym bogiem. Ja zbyt długo przebywałem wśród
Dragaerian, by nie przyjąć ich znacznie zdrowszego podejścia do bogów. To co
zostało? Dom Jherega? Śmiechu warte — sprowadzało się to do przestrzegania re-
guł, by nie zostać zabitym. Do Imperium? Moim obowiązkiem wobec Imperium
było robić co mogę, by nie zauważyło mojego istnienia.

Co pozostało? Rodzina: Cawti, dziadek, Loiosh i Rocza. Pewnie, miałem wo-
bec nich obowiązki i to takie, z których można być dumnym. A zanim pojawiła się
Cawti, moje życie było boleśnie pustawe, choć wtedy nie zdawałem sobie z tego
sprawy. Czy to wyczerpywało temat?

Zastanowiło mnie, jak Cawti mogła do tego podchodzić.

Miała tylko mnie. Poprzednio miała partnerkę, potrzebowały się nawzajem i to
im wystarczało. Ale jej partnerka została lady z Domu Smoka i następczyni tronu
z ramienia tegoż domu. Pozostałem więc tylko ja i okazało się, że to za mało. No
bo dlaczego przyłączyła się do bandy Kelly'ego? Z nudów albo dlatego, by być
użyteczna i potrzebna? Sama mi powiedziała, że ma obowiązki wobec „ludu” —
grupy ludzi i paru przypadkowych Teckli żyjących mrzonkami o obaleniu Impe-
rium. Pomagała im budować barykady, uczyła ich, stanęła z nimi przeciw Gwardii
i wracała do domu przekonana, że spełniła swój obowiązek... może o to chodziło.
Może dla niej obowiązek to było robienie czegoś, by czuć się potrzebnym i uży-
tecznym...

No, to byłoby tyle, jeśli chodzi o nią.

A wracając do mnie... skoro i tak miałem zginąć, to można to było nazwać
spełnieniem obowiązku. Gdzie tam: cynicznie i bez sensu.

Siedziałem tak, trzymając sztylet przewidziany do prawego buta, i rozmyśla-
łem nie całkiem z sensem. Było to bzdurne zajęcie, skoro miałem wkrótce zostać
zabity, a wszystko wskazywało na to, że to nastąpi. Chyba, żeby nie było takie do
końca bzdurne... gdyby było coś, co powinienem zrobić nawet za cenę życia...
To byłoby dobre wypełnienie obowiązku, cokolwiek by to określenie znaczyło.

I nagle dotarło do mnie, że istnieje taka możliwość. Wplątałem się w ten non-
sens głównie dlatego, że chciałem zachować Cawti przy życiu. Skoro miałem zgi-
nąć, to musiałem upewnić się, że będzie bezpieczna i po mojej śmierci.

A to rodziło pewien mały problem...
Zacząłem bawić się sztyletem.

Rozdział jedenasty

„... usunąć ślady potu.”

Później, kiedy pomysł zaczynał już przybierać realne kształty w moim umyśle, zawołałem Kragara. Melestav poinformował mnie, że wyszedł. Zgrzytnąłem zębami i myślałem dalej. Co będzie, jeśli ja zginę, a Cawti nie? Na pewno przestanie to być mój problem, a dziadek i Cawti potrafią o siebie zadbać. Na ulicy porozumieli się co do czegoś, czego nie byłem w stanie złapać, więc raczej się spotkają i porozmawiają. Ciekawe o czym... przypadkiem nie o tym, jak ze mną jest źle...? Jeśli tak dalej pójdzie, to zginę jako ofiara paranoi.

Cawti będzie miała ciekawy problem, jeżeli to Herth mnie zabije. Z jednej strony będzie chciała go zabić, z drugiej nie chce już być zabójcą. A przynajmniej tak wywnioskowałem ze sposobu, w jaki wyrażała się o naszej profesji. Na dodatek Kelly'emu na pewno nie utrudni życia fakt, że ktoś załatwił jego najgorszego wroga. Szkoda, że będę musiał zginąć, by tego dokonać. Hmm...

Ciekawe, czy istniał wykonalny sposób na udanie własnej śmierci przed Cawti na tyle długo, by zabiła Hertha. Gdybym się potem pojawił, zabawa byłaby niesamowita. No tak, ale ona mogła się nie zdecydować na zabicie go i wtedy wyjdę na idiotę... a na martwego idiotę, jeśli Herth znalazłby mnie w tym czasie.

Mimo wszystko było coś w tym pomysle. Trzeba go zostawić do dalszego...

— Znowu wyglądasz głupio, Vlad, czyli myślisz — rozległo się od strony fotela.

Nie podskoczyłem. Nie wiem dlaczego.

— Nie ma jak ciepłe słowo. Masz coś o Hertcie?

Kragar przecząco pokręcił głową.

— Dobra. Parę rzeczy przyszło mi do głowy. Jedna jest dalekosiężna, więc trzeba się do niej zabrać już teraz.

— Przekupić kogoś z jego obstawy? — domyślił się Kragar.

— Właśnie.

— Dobra, zajmę się tym.

— Doskonale. Co z zabójcą?

— Malarz powinien już kończyć. Mówił, że mam doskonałą pamięć do szczegółów. Ponieważ w sumie chodzi o twoją pamięć, usłyszałeś komplement.

— Upiornie się cieszę. Wiesz, co zrobić z portretem.

Kiwnął głową i wyszedł.

A ja wróciłem do planowania swojej własnej śmierci. Przynajmniej w myślach. Było to zajęcie całkowicie niepraktyczne, ale kuszące. Najbardziej podobał mi się tryumfalny powrót. Co prawda było parę problemów, na przykład: Cawti mogła się tymczasem z kimś związać (dajmy na to, z Gregorem), co odebrałoby mi satysfakcję. Albo tak się na mnie wściec, że sama by mnie zabiła, co zepsułoby cały efekt. Zastanowiłem się, czy ta pierwsza ewentualność jakoś specjalnie mnie martwi. Okazało się, że nie. I to mnie zmartwiło.

Drapanie w okno przerwało mi dalsze rozmyślenia. Schowałem sztylet, który nadal podrzucałem, i stojąc z boku, otworzyłem okno. Loiosh i Rocza wyglądali na dziwnie zmęczonych.

„Kto wygrał wyścig?” — zainteresowałem się.

„A skąd ci przyszło do głowy, że się ścigaliśmy?”

„Nie powiedziałem, że się ścigaliście. Po prostu spytałem, kto wygrał.”

„Aha. Ona. Rozpiętość skrzydeł.”

„Przypadkiem nie byliście w pobliżu Wschodniej Dzielnicy?”

„Przypadkiem byliśmy.”

„Barykady?”

„Zniknęły.”

Loiosh usiadł na moim ramieniu.

Ja usiadłem w fotelu.

„Niedawno spytałeś mnie, co bym sądził o Kellym i reszcie, gdyby Cawti z nimi nie było.”

„Pytałem, szefie.”

„Przemyślałem sprawę i zdecydowałem, że to bez znaczenia. Cawti związała się z nimi i nic nie wskazuje na to, by jej to miało przejść w najbliższym czasie, więc we wszystkim, co zrobię czy też zdecydują, muszą brać to pod uwagę.”

„Jasne.”

„I sądzę, że wiem, co należy zrobić.”

Nie odpowiedział — pewnie znów podglądał moje myśli.

W tym, że podejrzenie było słuszne, utwierdziło mnie jego pytanie:

„Naprawdę myślisz, że zginiesz?”

„Tak i nie. Mellar pod każdym względem był groźniejszy od Hertha, daleko nie szukając. Tylko nie widzę możliwości ujęcia z tego z życiem. Fakt, ostatnio nie działałem najlepiej i być może to jest powodem.”

„Wiem. Więc po co chcesz to zrobić?”

„By uratować Cawti. Co do reszty nie jestem pewien.”

„Dobrze. Jak?”

„Widzę tylko dwie możliwości. Zabić Hertha i zniszczyć jego organizację na tyle, by nikt nie zdołał go zastąpić i robić tego samego.”

„Dość mało prawdopodobne.”

„Zgadza się. Druga: tak wszystko zorganizować, by przestał mieć powód do zabicia Cawti.”

„Brzmi lepiej. Jak planujesz to osiągnąć?”

„Zabijając Kelly’ego i resztę.”

Nic nie powiedział, bo go zatkało.

Ja też potrafię podglądać jego myśli, tylko gorzej. A pomysł rzeczywiście był przewrotny. Na tyle, że mnie samemu się spodobał.

Dopiero po chwili Loiosh odezwał się nieśmiało:

„Ale Cawti...”

„Wiem. Jeśli znajdziesz sposób, by przekonać ją i Hertha, że umarłem, to możemy zrezygnować z egzekucji.”

„Nic mi na myśl nie przychodzi, szefie. Ale...”

„No to bierzmy się do pracy.”

„Nie podoba mi się to.”

„Protest został odnotowany, a teraz koniec z leniuchowaniem. Chcę mieć to z głowy do rana.”

„Czyli dziś w nocy.”

„Brawo!”

Wziąłem kartkę i zacząłem rysować wszystko, co wiedziałem o położeniu, wielkości i rozkładzie wewnętrznym budynku, w którym mieszkał Kelly z pozostałymi. Z boku robiłem listę pytań, na które nie znałem odpowiedzi.

Potem przyjrzałem się efektowi i spróbowałem wszystko zaplanować.

To nie był zamach. To była egzekucja albo rzeź — jak kto lubi. Kelly musiał zginać, bo inaczej mogłem sobie oszczędzić wysiłku. Paresh także, bo był magiem, Natalia również, gdyż zbyt długo w tym siedziała. Poza tym jak największa liczba nocujących w budynku, najlepiej wszyscy, gdyż stanowili kadrę tego wariactwa i mogli próbować ciągnąć je dalej. A czegoś takiego nie da się zaplanować jak normalnej „roboty”, bo istnieje zbyt dużo czynników niewiadomych, które mogą okazać się niezwykle istotne.

Eksplozja i pożar załatwiłyby to całkiem skutecznie, lecz budynki w okolicy stały zbyt blisko. Moim celem było usunięcie paru narwańców, a nie spalenie dzielnicy.

Zastanówmy się... do budynku i do mieszkania wiodło najprawdopodobniej jeszcze tylne wyjście... Nie widziałem nigdzie kuchni, a pokój Kelly’ego miał dwoje drzwi, co znaczyło, że będę mógł zacząć od tyłu, by mi nikt nie uciekł, korzystając z lepszej znajomości domu. Z tego, co wiedziałem, jeśli nie wszyscy, to większość spała w jednym pokoju, więc tam i tak rozegra się finał... Najpierw

Kelly, potem Paresh, a potem po kolei, jeśli nadal będą spali. . . jeśli nie, to kolejność będzie zależała od innych czynników. . . no i muszę pamiętać, by nie dało się ich ożywić. . . oni co prawda groszem nie śmierdzieli, ale Cawti mogło odbić. . . a na powtórkę nie było co liczyć. No a potem trzeba będzie zniknąć.

Cóż, dzielnicę czekała niespodzianka, gdy się rano obudzi. Cawti będzie rozbita i wściekła, ale sama nie potrafi reaktywować tego ich ruchu. Przynajmniej miałem taką nadzieję. Może próbować z pomocą tych, którzy zostaną, ale wątpię, by zdołała osiągnąć coś, co mogłoby stanowić zagrożenie dla interesów Hertha.

Skończyłem studiować rysunek i zniszczyłem go.

A potem siadłem wygodniej w fotelu, zamknąłem oczy i zająłem się szczegółami, starając się o niczym nie zapomnieć.

* * *

Do budynku dotarłem godzinę po północy i obszedłem go, aż znalazłem się na tyłach. Tak jak się spodziewałem, było tu drugie wejście. Nawet miało drzwi. Tylko bez zamka. Dokładnie naoliwiłem zawiasy, otworzyłem je i wszedłem. Znalazłem się w wąskim korytarzu obok mieszkania Kelly'ego. Ponieważ Rocza zaczęła się denerwować, musiałem chwilę poczekać, aż Loioś ją uspokoi.

Mam niezłą akomodację i dobry wzrok, czyli całkiem nieźle widzę w ciemnościach, ale to nie znaczy, że nie korzystam z pomocy tych, którzy widzą lepiej.

„Loioś, jest ktoś w korytarzu?”

„Nikt, szefie.”

„Dobrze. Gdzie są tylne drzwi do mieszkania Kelly'ego?”

„Obok ciebie. Jeśli wyciągniesz prawą rękę, to ich dotkniesz.”

„Aha.”

Tu już za drzwiami robiła zasłona. Odchyliłem ją i wślizgnąłem się do środka. Poczulem zapach żywności — raczej jadalnej i nie w stanie rozkładu czy fermentacji, czyli znajdowałem się w kuchni.

Odczekałem chwilę i zapaliłem magiczne światło. Kuchnia była większa, niż sądziłem. Stało w niej kilka szafek, stół, pompa wraz ze zlewem i lodówka na lód. Opuściłem rękę, by świecący koniec palca wskazującego oświetlał mi drogę, i skierowałem się ku drugiemu wyjściu także z zasłoną zamiast drzwi.

Znalazłem się w pokoju Kelly'ego. Jeśli nie liczyć zwiększonej ilości pudeł, wyglądał dokładnie tak jak w czasie mojej poprzedniej wizyty. Na jednym z pudeł coś stalowo załśniło. Podeszedłem bliżej — był to znajomy sztylet, którym zabito Franza.

Już miałem przejść do następnego pokoju, gdy wyczułem za plecami czyjąś obecność. Pierwsza musiała to odczuć Rocza, gdyż ścisnęła moje ramię. Loiośh niczego nie zauważył, ale i tak zadziałał mój instynkt. Obróciłem się na pięcie, przenosząc równocześnie ciało w bok, i wydobyłem sztylet.

W pierwszym momencie nie dostrzegłem nikogo ani niczego, natomiast wrażenie, że ktoś tu jest oprócz mnie, nasiliło się. Wygasilem magiczną latarkę, wychodząc ze słusznego założenia, że nie ma sensu robić za oświetlony cel. Wtedy dostrzegłem przed sobą lekko fosforyzujący kształt wyglądający niczym przezroczysta ludzka postać. W mojej dłoni znalazł się Spellbreaker.

Postać nie poruszyła się, ale stopniowo zaczęła stawać się bardziej materialna. Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że pokój pogrążony jest w ciemnościach i na dobrą sprawę nie powinienem nic widzieć.

„Loiośh, co widzisz?”

„Nie jestem pewien, szefie.”

„Ale coś widzisz?”

„Myślę że tak.”

„To obaj myślimy podobnie.”

Rocza poruszyła się niespokojnie.

Nie dziwiłem się jej.

A gdy zrozumiałem, co widzę, przestałem się dziwić czemukolwiek.

Dawno temu, gdy znalazłem się z Alierą na Ścieżkach Umarłych i odwiedziłem Przedsionek Sądu, było oczywiste, że nie jestem tam mile widziany. Było to miejsce przeznaczone dla dragaeriańskich dusz, nie dla żywych ludzkich ciał. Być może się tam znaleźć, ciało musiało zostać za Bramą Śmierci, a że jej część stanowił imponujący wodospad, można było mieć pewność, że wysłany zakończy drogę jako ciało, nawet jeśli nim nie był w chwili jej rozpoczęcia. Ciało spływało potem rzeką, docierało do brzegu, dusza się uwalniała i ruszała w dalszą podróż, ale nie o to tym razem chodziło. Jeżeli dusza zrobiła wszystko jak należy, osiągała Przedsionek Sądu i jeśli jakiś bóg nie darzył jej szczególnymi uczuciami (obojętne pozytywne czy negatywne), zajmowała swoje miejsce w rozwojowym społeczeństwie osobników martwych.

Pięknie.

Jeśli ciało nie trafi za Bramę Śmierci, istnieje parę możliwości. Zabicie bronią Morgantich załatwiało problem raz na zawsze. Podobnie układ z ulubionym bogiem, o ile bóg go dotrzymał — wtedy może sobie robić z duszą, na co ma ochotę. Poza tymi wypadkami delikwent podlega reinkarnacji. Sam do niedawna w to nie wierzyłem, ale pewne doświadczenia przekonały mnie, że tak jest.

Większości tego, co wiem o reinkarnacji, dowiedziałem się od Aliery, i to z nim zacząłem w nią wierzyć, więc sporo zapomniałem. Pamiętam, że dziecko na krótko przed narodzeniem przyciąga magicznie duszę, która mu najbardziej pasuje (albo w drugą stronę). Jeśli takiego dziecka akurat nie ma, dusza gdzieś czeka.

Nekromanci nazywają to gdzieś „Płaszczyzną Oczekujących Dusz”, bo mają małą wyobraźnię. Czeka, bo nic nie może na to poradzić — coś ją tam przyciąga i już.

Z tego co wiedziałem, z ludzkimi duszami dzieje się podobnie. W końcu dusza ludzka i dragaeriańska aż tak bardzo się nie różnią. Na Ścieżki Umarłych nie mamy wstępu, ale broń Morgantich działa na nas tak samo i możemy dogadać się z każdym bogiem, który ma na to ochotę. Najprawdopodobniej także podlegamy reinkarnacji. Jeśli wierzyć poecie — wiedzącemu Yain Cho Lin — to jest tak na pewno. A w „Księdze siedmiu czarnoksiężników” napisano, że Płaszczyzna Oczekujących Dusz przyciąga także ludzkie dusze. Tylko nie tak silnie ze względu na gęstość zaludnienia. Ludzi na świecie jest więcej, toteż i dusz oczekujących mniej, bo rodzimy się częściej, a żyjemy krócej niż Dragaerianie. Więcej więc dusz z marszu podlega reinkarnacji. Dla mnie ma to niewiele sensu, ale ponoć tak właśnie jest.

Z powodu tego słabszego przyciągania czasami dusza jakiegoś człowieka ani nie podlega reinkarnacji, ani nie trafia na Płaszczyznę Oczekujących Dusz, tylko pałęta się po okolicy i wówczas mamy do czynienia z duchem.

Ja w to wierzyłem.

Bo właśnie widziałem ducha.

A raczej gapiłem się nań. Co jest podobno pierwszą czynnością każdego, kto widzi ducha. Nie do końca byłem pewien, jaka powinna być druga. Według opowieści za młodu zasłyszanych od dziadka wrzeszczenie było wysoko notowane. Niespecjalnie mi to odpowiadało, bo jeśli zacząłbym wrzeszczeć, jak nic pobudziłbym wszystkich, a wtedy byłoby strasznie trudno ich zabić. Poza tym jakoś nie czułem takiej potrzeby. Wiedziałem, że powinienem się bać, ale byłem bardziej zafascynowany niż przestraszony. Duch w tym czasie materializował się coraz bardziej i coraz mocniej świecił. Dlatego właśnie mogłem go widzieć. Była błękitnawa i całkiem przyjemna dla oka. Właśnie zaczynały się wykształcać rysy twarzy. Szło to nawet szybko: najpierw było widać, że to człowiek, potem, że to on. Wydawało mi się też, że na mnie patrzy, to jest że faktycznie mnie widzi. Ponieważ nie chciałem ryzykować, zapaliłem magicznie palec i podszedłem do biurka Kelly’ego. I usiadłem. Nie wiem, skąd miałem pewność, że duch podąży za mną, ale podążył.

Odchrząknąłem i zagaiłem:

— Cóż, ty musisz być Franz.

— Tak — odparł zadziwiająco wyraźnym głosem.

Nie obchodziło mnie ani to, jak mógł mówić, ani jak ja go słyszałem.

— Jestem Vladimir Taltos — przedstawiłem się. — Mąż Cawti.

Duch Franza skinął głową.

— Co tu robisz? — spytał.

Nadal się materializował.

Na wszelki wypadek wolałem nie kłamać.

— Cóż, to trochę trudno wyjaśnić w paru słowach. Ale ciekawsze jest, co ty tu robisz?

Zmarszczył brwi (które mogłem już wyraźnie dostrzec).

Włosy miał proste, starannie uczesane. Zastanowiło mnie, jak duch czesze włosy. Twarz o miłych, ale niewyróżniających się rysach, w miarę uczciwa — taka, która nieodparcie kojarzyła mi się ze sprzedawcami przypraw i martwym lyornem. Stał za to w specyficzny sposób, jakby cały czas pochylał się ku przodowi. A kiedy mówił, przekrzywiał lekko głowę — albo miał problemy ze słuchem, albo chciał wychwycić najdrobniejszą nawet zmianę intonacji w głosie rozmówcy. Sprawiał wrażenie uważnego słuchacza. I uważnego w ogóle.

Odezwał się niepewnie:

— Stałem przed wejściem do sali. . .

— Tak — przerwałem mu. — I tam zostałeś zabity przez płatnego zabójcę.

— Zabity!

Przytaknąłem ruchem głowy.

Spojrzał na mnie. Potem na siebie. W końcu zamknął oczy — dotarło.

— Jestem martwy? — Całkowicie.

— Jestem duchem?

— Coś w tym guście. Powinieneś czekać na reinkarnację, jeśli dobrze pamiętam. Pewnie akurat w okolicy nie ma stosownych dzieci. Bądź cierpliwy, w końcu jakieś się trafi.

Przyjrzał mi się z namysłem.

— Jesteś mężem Cawti.

To było stwierdzenie, nie pytanie, ale i tak potwierdziłem.

— Jestem.

— Powiedziałeś, że to zrobił zawodowy zabójca. Wiemy, czym się zajmujesz. Czy przypadkiem. . .

— Nie! Żebyś miał pełny obraz: zwrócili się do mnie z propozycją, ale jej nie przyjąłem. Nie wiedziałem zresztą nawet, że to o ciebie chodzi. Zabił cię niejaki Yerekim z polecenia gościa imieniem Herth, któremu zaczęliście przeszkadzać w interesach.

— I kazał mnie zabić? — Franz uśmiechnął się niespodziewanie. — Żeby nas przestraszyć?

— Właśnie.

Roześmiał się.

— Już widzę, jak mu się to udało! Zorganizowaliśmy całą dzielnicę, wykorzystując moją śmierć jako powód?

Przyjrzałem mu się zaskoczony.

— Zgadłeś — przyznałem. — Nie przeszkadza ci to?

— A dlaczego miałyby? Od dawna próbujemy zjednoczyć ludzi i Teckle przeciwko Imperium. Skoro teraz się udało, dlaczego miałbym być z tego niezadowolony?

— Tak tylko pytałem. A udać się jak na razie udało.

— To dobrze — nagle spowaźniał. — Ciekawe, dlaczego wróciłem.

— Co pamiętasz?

— Niewiele. Stałem i nagle zaczęło mnie swędzieć gardło. Zaraz potem ktoś dotknął od tyłu mojego ramienia, zacząłem się odwracać i stwierdziłem, że nogi się pode mną uginają, a potem... nie wiem... pamiętam, że obudziłem się... w pewnym sensie... i byłem przestraszony... Jak dawno temu to się stało?

Powiedziałem mu.

Wytrzeszczył oczy.

— Ciekawe, co mnie tu sprowadziło... — bąknął.

— Mówiłeś, że czujesz strach? — spytałem.

Przytaknął.

Westchnąłem w duchu.

Mogłem się założyć, że wiedziałem, co go ściągnęło, ale tego akurat nie zamierzałem mu mówić.

„Szefie?”

„No.”

„To naprawdę dziwaczne.”

„Nie całkiem, Loioś. Wszystko jest normalne, tylko że niektóre normalne rzeczy są dziwniejsze niż inne.”

„Aha. To mnie uspokoiłeś, wiesz?”

„Miło mi, a teraz siedź cicho.”

— Powiedz mi, co się działo, odkąd umarłem — poprosił Franz.

To akurat mogłem zrobić, choć w nieco ocenzurowanej wersji, czyli takiej, którą znałby, siedząc tutaj. Kiedy usłyszał o Sheryl, jego twarz zmieniła się w maskę nienawiści, co mi przypomniało, że jakby nie było, mam do czynienia z fanatykiem. Na wszelki wypadek ścisnąłem mocniej Spellbreakera i kontynuowałem relację. Gdy dowiedział się o barykadach, aż się rozjaśnił. Zacząłem się zastanawiać, na ile Spellbreaker okaże się skuteczny.

— Doskonale — ocenił, gdy skończyłem. — Teraz ich mamy.

— Skoro tak mówisz...

— A więc było warto...

— Zginać? — upewniłem się.

— Tak.

— Aha.

— Powinienem porozmawiać z Patem. A gdzie są wszyscy?

Omam mu nie powiedziałem, że śpią obok, ale zdążyłem ugryźć się w język.

— Nie tu — poinformowałem go.

Zmrużył podejrzliwie oczy.
— Jesteś tu sam?
— Nie.
Loiosh syknął na potwierdzenie.
Franz spojrział na oba jheregi, ale nie uśmiechnął się. Widocznie miał takie samo poczucie humoru jak pozostali.
Żeby przestał być taki podejrzliwy, dodałem:
— Można powiedzieć, że pilnuję porządku.
Ponownie wytrzeszczył oczy.
— Przyłączyłeś się do nas? — spytał.
— Nie do końca, ale coraz więcej czasu tu spędzam.
Uśmiechnął się. Tak ciepło, że miałem ochotę go w tyłek kopnąć, ale przypomniałem sobie, że wbrew wyglądowi jest niematerialny.
— Cawti sądziła, że tego nie zrobisz.
— Cóż...
— Ekscytujące, no nie?
— Fakt, ekscytujące bez dwóch zdań.
— Gdzie ostatnie wydanie? — spytał niespodziewanie.
— Czego?
— Naszej gazetki.
— A... powinno gdzieś tu być...
Rozejrzał się po pokoju oświetlanym przez mój palec i w końcu znalazł egzemplarz. Próbował go podnieść, ale coś mu nie szło. Zaparł się i w końcu dopiął swego.
A potem usiadł.
— Trudno mi cokolwiek utrzymać — przyznał. — Możesz mi poprzewracać kartki?
— Co?... Jasne.
No to mu poprzewracałem, wysłuchując komentarzy w stylu:
— Ale gdzie tam, to nie o to chodzi!... Gnojki! Jak mogli zrobić coś takiego?!... Dobrze, tak trzymać!...
W pewnym momencie przerwał lekturę, spojrział na mnie i powiedział:
— Warto było umrzeć, ale wolałbym być z powrotem. Tyle zostało do zrobienia!
I wrócił do czytania.
Zauważyłem, że zaczynał blaknąć.
Obserwowałem go dłuższą chwilę, by się upewnić, i rzeczywiście — płowiał powoli, ale stale.
Zaryzykowałem.

— Słuchaj, pójdę poszukać innych i powiem im, że się pojawiłeś, a ty popilnuj tu wszystkiego, dobrze? Jestem pewien, że jakby się ktoś nieproszony pojawił, to śmiertelnie go przestraszysz.

Uśmiechnął się z nadzieją:

— Jasne. Idź.

Kiwnąłem mu głową na pożegnanie i wycofałem się, tak jak wszedłem, przez kuchnię. Dopiero gdy znaleźliśmy się na dworze, otarłem pot z czoła.

„Myślałem, że mamy ich wszystkich zabić, szefie?”

„Ja też tak myślałem.”

„Nie mogłeś się go pozbyć przy pomocy Spellbreakera?”

„Prawdopodobnie mogłem.”

„To dlaczego. . . ?”

„A gdyby się nie udało?”

„No tak. . . to co z resztą?”

„Przy takiej podstawie?! Można to ująć tak: zmieniłem zdanie.”

„Aha. To dobrze, bo pomysł od początku mi się nie podobał.”

„Też dobrze.”

Teleportowałem się prawie pod dom. Na ulicy było dość latarni, bym od razu był w stanie ocenić, czy jestem sam. Byłem. Mimo to do domu dotarłem, zachowując wszelkie środki ostrożności.

Kiedy znaleźliśmy się przy schodach, Loiosh spytał:

„To co teraz?”

„Nie wiem. Muszę się zastanowić. Nad Franzem też.”

Cicho wszedłem na górę i do środka.

Z sypialni dobiegał równy oddech Cawti. Zdjąłem buty i pelerynę w korytarzu, potem cicho rozebrałem się i położyłem

Zamknąłem oczy i zobaczyłem twarz Franza.

Zaśnięcie zabrało mi dziwnie dużo czasu.

Rozdział dwunasty

„I czarna peleryna — wyprać i wyprasować. . .”

Spałem długo i budziłem się wolno. Gdy się wreszcie ocknałem, usiadłem na łóżku i spróbowałem zebrać myśli oraz zdecydować, jak spędzić resztę dnia. Ponieważ najlepszy pomysł nie wypalił, zmuszony byłem wrócić do wcześniejszego. Czyli albo przekonać Cawti i Hertha, że nie żyję, albo zabić Hertha. Jakos nie przychodził mi jednak żaden sensowny sposób zorganizowania własnej śmierci. . .

„Szefie, wiesz, jaki masz problem?”

„Co? Wiem. Wszyscy chcą mi powiedzieć, jakie mam problemy.”

„A to przepraszam.”

„A proszę. Skoro zacząłeś, to mów.”

„Starasz się znaleźć dobry numer, który byłby skuteczny, a tego problemu nie da się rozwiązać nawet najlepszymi numerami.”

„Co chcesz przez to powiedzieć?”

„No bo tak, szefie. Nie daję ci spokoju to, że wszyscy ludzie, których ostatnio spotykasz, myślą, że nie powinieneś być tym, kim jesteś, i musisz zdecydować, czy chcesz to zmienić czy nie.”

„Loioosh, nie daję mi spokoju to, że jeden taki, z zawodu zabójca, ma na mnie kontrakt. . .”

„Przecież sam powiedziałeś, że byliśmy już w gorszych opałach, tak?”

„Tak. I zawsze zdołałem wymyślić jakiś numer, by z nich wyjść cało.”

„Dlaczego tym razem ci się nie udaje?”

„Bo jestem zbyt zajęty odpowiadaniem na pytania pewnego jherega, który uważa, że największy problem to życie ze mną.”

Loioosh zachichotał i zamilkł.

Loioosh miał jedną zaletę, której nie spotkałam u żadnego człowieka — wiedział, kiedy przestać gadać i pozwolić mi myśleć. Pewnie dlatego, że znał częściowo moje myśli, ale i tak było to osiągnięcie.

Teleportowałem się do biura, na co żołądek zareagował znośnie: widać sen mu dobrze zrobił. Wychodziło na to, że zawsze będę miał z nim problemy — Cawti

opowiadała mi, że kiedy współpracowała z Norathar, teleportowały się wszędzie, gdzie się dało, a jej żołądek nigdy się do tego nie przyzwyczyił. Choć z drugiej strony nie reagował też tak gwałtownie jak mój. Ale i tak raz omal nie spartaczyły roboty, bo zamiast zabić ofiarę, Cawti obrzygała ją na początek. W jej wydaniu historia te brzmiała wręcz pysznie.

Zawołałem Kragara, a gdy się zjawił, spytałem:

— I co?

— Zidentyfikowaliśmy zabójcę. Nazywa się Quaysh.

— Quaysh? Nietypowe.

— To w języku Seriolich. Znaczy: „Ten, Który Wymyśla Interesujące Zapinki Do Damskiej Bizuterii”.

— Rozumiem. Ktoś wziął na niego kontrakt?

— Tak. Niejaki Ishtvan. Użyliśmy go już raz.

— Pamiętam. Szybko się uwinął.

— Właśnie.

— Dobra. Kto rozpoznał tego Jakmutam?

— Kij. Kiedyś coś razem robili.

— Mhm... Wiesz co?

— Jakiś interes, nic osobistego.

— To dobrze. Ale powiedz Kijowi, żeby uważał. Skoro on wiedział, kto to jest, to ktoś może wiedzieć, że on wiedział, i...

— Że co proszę?!

— Powiedz Kijowi, żeby był ostrożny. Jeszcze coś istotnego?

— Nic, zbieram informacje o ochroniarzach Hertha, ale trochę potrwa, nim będę wiedział dość, by spróbować z którymś pogadać.

Przytaknąłem i posłałem go do dalszej pracy.

Podrapałem Loiosha po podgardlu.

A potem teleportowałem się do Wschodniej Dzielnicy. Dotarłem w pobliże aż za dobrze znajomego budynku, ale trzymałem się z dala od narożnika — przystanąłem na ulicy. Cała sztuka polegała na tym, by nie zostać zauważonym.

Ludzie nie znający się na tego typu sprawach przywiązują zbyt dużą wagę do wyglądu, a zwłaszcza do ubioru. Dlatego że to właśnie się zauważa. Zazwyczaj nie rejestruje się, w którą stronę ktoś patrzy, sposobu, w jaki idzie, czy tego, jak przemieszcza się w tłumie. Zauważa się wygląd. Ale to nie on przyciąga uwagę. Prawie codziennie widzi się kogoś wyglądającego zabawnie, ale nie zwraca się na niego uwagi. Oczywiście zauważa się go, ale nie zapamiętuje. Zapamiętuje się dziwny kształt nosa, niespotykaną fryzurę czy strój niestosowny do okazji.

Ja zaś ubrany byłem może jak na tę dzielnicę dziwnie, ale poza tym wyglądałem normalnie, a zachowywałem się tak, jakbym tu należał. Wszyscy się tak zachowywali, więc nikt nie zwrócił na mnie uwagi — nie zauważył mnie i nie za-

pamiętał. Ja zaś mogłem spokojnie obserwować budynek i sprawdzić, czy dzieje się coś niezwykłego. Bo gdyby zauważyli ducha Franza, na pewno by się działo.

Przez godzinę nie wydarzyło się absolutnie nic, więc stopniowo zbliżałem się, aż znalazłem się obok ściany bocznej, osłonięty od ulicy narożnikiem, i przyłożyłem do niej ucho. Była jeszcze cieńsza, niż podejrzewałem, toteż nie miałem kłopotów z usłyszeniem, o czym mówią, jeżeli rozmawiano normalnym głosem.

W ogóle nie rozmawiali o Franzu.

Usłyszałem Kelly'ego; mówił ostro i ironicznie.

— To tak, jakbyś powiedziała: „Wiem, że nie jesteś zainteresowany, ale...”

Reszta była za cicho.

Cawti coś odpowiedziała, ale także zbyt cicho. I to nie tylko dla mnie, gdyż Kelly polecił:

— Mów głośniej!

Cawti powtórzyła, ale ja tego też nie usłyszałem.

Obecni wewnątrz chyba nie mieli z tym problemu, jako że następny odezwał się Paresh:

— To absurd! Teraz jest to podwójnie ważne. Jakbyś nie zauważyła, jesteśmy w środku powstania i każdy błąd, jaki teraz popełnimy, będzie podwójnie groźny. Nie możemy sobie na to pozwolić.

Cawti wymamrotała coś, na co zareagowało głośno kilka osób.

Najdonośniejszy okazał się głos Gregora:

— Skoro tak uważasz, to po co w ogóle się do nas przyłączyłaś?

A Natalia dodała:

— Dlaczego patrzysz na to z ich punktu widzenia? Przez całe życie próbowałaś być arystokratką i dalej próbujesz, nawet teraz. Ale my nie robimy tego po to, żeby zająć ich miejsca, a nie zniszczymy ich, jeżeli będziemy przyjmowali ich kłamstwa za fakty.

Potem Kelly coś dodał.

A potem zrobiła się ogólna pyskówka, która jeśli jest prowadzona kulturalnie, nazywa się „dyskusją”.

Ta nie była.

Słuchałem tak i coraz bardziej czerwieniałem.

W pewnym momencie nawet Loioosh miał dość.

„Szefie, Rocza zaczyna się denerwować.”

Nie odpowiedziałem mu, bo mnie wściekłość dławiła.

Za rogiem było tylne wejście i gdyby nie resztki instynktu samozachowawczego, użyłbym go. I Kelly byłby martwy, zanim by się dowiedział, co go zabiło.

Czasami naprawdę trudno jest słuchać swego instynktu.

Jedyne, czego naprawdę nie rozumiałem, to jak Cawti to wytrzymuje. Albo raczej dlaczego zgadza się to wytrzymać. Ci tam byli albo głupi, albo nieostrożni

— wiedzieli, czym parała się Cawti, więc powinni też wiedzieć, że mogła ich wszystkich zabić w przeciągu paru sekund.

Kobieta, z którą się ożeniłem, tak właśnie by zrobiła.

Kiedy to sobie uświadomiłem, przestałem słuchać i poszedłem sobie.

* * *

W ciągu ostatnich miesięcy Cawti się zmieniła, a ja tego nie zauważyłem. Może z tym właśnie najtrudniej było mi się pogodzić. Może gdybym jej tak nie kochał, zauważyłbym to, ale kochałem i nic nie dostrzegłem. A teraz to bolało.

Nie było sensu zastanawiać się, dlaczego się zmieniła. Brak perspektyw, jak to mawia Kij. Istniało tylko jedno pytanie: czy będę udawał kogoś, kim nie byłem, albo starał się zostać kimś, kim nie chciałem być, tylko po to, by ją zatrzymać. Gdy postawiłem sobie to pytanie, odpowiedź stała się jasna. Nie, ponieważ nie zdołałbym. Poza tym było to bez sensu — próbować zostać kim innym w nadziei, że własna żona znów mnie pokocha. Wyszła za mnie za takiego, jakim byłem, tak samo jak ja ożeniłem się z nią taką, jaką wówczas była. Jeżeli się odkochała i mnie zostawi, to będzie to trudne, ale nie będzie końcem świata i jakoś będę z tym żył.

Albo i nie. Bo nie należało zapominać o tym tam Quayshu czy raczej o Hertcie, który wynajmie następnego, jeśli temu się nie uda. Mogli za mnie rozwiązać ten problem, co byłoby wygodne, ale nie idealne.

Kiwnąłem na kelnera. Przyniósł następną klawę, naturalnie w szklance, co przypomniało mi o Sheryl i nie poprawiło nastroju.

* * *

Godzinę później nadal byłem w ponurym nastroju. Weszła Natalia z jakimś człowiekiem, którego nie znałem, i Tecklą, który nie był Pareshem. Widząc mnie, skinęła głową na powitanie, zastanowiła się i powiedziała coś towarzyszom, po czym podeszła do mnie. Zaprosiłem ją gestem i postawiłem herbatę. Raz, bo miałem ochotę być rozrzutny, dwa, bo wiedziałem, że nie lubi klawy. Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie, dopóki kelner nie przyniósł herbaty. W kubku. Postanowiłem to zapamiętać.

Życie Natalii właściwie było wypisane na jej twarzy. Bez szczegółów natu-

ralnie. Miała ciemne włosy, ale już zaczynała siwieć, a siwizna nie dodawała jej powagi — czyniła ją po prostu starą. Brwi marszczyła od tak dawna, że weszło jej to w nawyk. W pobliżu nosa miała głębokie bruzdy, a cała twarz była spięta, jakby ciągle zaciskała zęby. A mimo to gdzieś w głębi jej oczu pojawiały się błyski... Oceniałem, że miała czterdzieści parę lat.

Piła herbatę drobnymi łyčzkami i oceniała mnie prawdopodobnie równie dokładnie jak ja ją.

— A jak ty się w to wszystko wplątałaś? — spytałem, chcąc przerwać milczenie.

Zanim odpowiedziała, zorientowałem się, że usłyszę wykład, więc dodałem:

— Zresztą nieważne. Nie wiem, czy chcę tego słuchać. Uśmiechnęła się lekko, co było najweselszą rzeczą, jaką widziałem, by dotąd zrobiła, i spytała:

— Nie chcesz posłuchać, jak byłem nałożnicą w haremie wschodniego wielmoży?

— Chciałbym, gdybyś nią była. A obawiam się, że nie byłaś, prawda?

— Obawiam się, że nie.

— No i dobrze.

— Natomiast byłem złodziejką przez jakiś czas.

— Tak? Nieźle zajęcie. Miłe godziny pracy.

— Jak wszędzie wszystko zależy od tego, jaką masz pozycję.

Pomyślałem o młodzieńcach z Domu Orki gotowych zadźgać każdego za dziesięć imperiali.

— Sądę z tego, że raczej nie byłaś na szczycie.

Przytaknęła.

— Żyliśmy po drugiej stronie miasta — miała na myśli Południową Adrilankę, bo dla większości ludzi było to całe miasto, jakie znali. — To było po śmierci matki. Ojciec zabierał mnie do gospody, żebym kradła monety zostawione przez pijaków na stołach albo odcinała im sakiewki.

— To rzeczywiście nie jest szczyt złodziejskiej profesji — przyznałem. — Ale przeżyć pozwala.

— Można tak powiedzieć.

— Zostałaś złapana?

— Raz. Umówiliśmy się z ojcem, że gdyby coś takiego nastąpiło, będzie udawał, że spuszcza mi lanie, jakby to był wyłącznie mój pomysł. Kiedy zostałam złapana, spuścił mi lanie.

— Rozumiem. Powiedziałaś okradzionym, jak to było naprawdę?

— Nie. Miałam może z dziesięć lat i byłem za bardzo zajęta płaczem i wrzeszczeniem, że już nigdy niczego nie ukradnę, że przepraszam i co mi tam jeszcze do głowy przyszło.

Kelner dołał mi klavy. Nauczony doświadczeniem nawet nie próbowałem jej tknąć.

Za to spytałem:

— I co się stało potem?

Wzruszyła ramionami:

— Nigdy więcej niczego nie ukradłam. Poszliśmy do innej gospody, a ponieważ nie chciałam kraść, ojciec wyprowadził mnie na dwór i spuścił drugie manto. Uciekłam i nigdy już go nie widziałam.

— Ile miałaś wtedy lat?

— Dziesięć.

— Hmm. To jak przeżyłaś, jeśli nie masz nic przeciwko, że pytam?

— Ponieważ o gospodach wiedziałam wszystko, poszłam do jednej i zaproponowałam, że będę sprzątać w zamian za jedzenie. Właściciel się zgodził i zamieszkałam w komórce. Z początku mogłam sprzątać przy gościach, gdy podrośłam, dopiero gdy wyszli, bo zaczynali mnie zaczepiać. Siedziałam u siebie po ciemku, bo właściciel liczył mi za oliwę. Nie przeszkadzało mi to: własny pokój był takim szczytem marzeń, że zimno czy ciemności nie miały znaczenia. Właściciel umarł, gdy miałam dwanaście lat, a wdowa chyba mnie polubiła. Nie liczyła za oliwę i nauczyła mnie czytać. Od tego czasu każdą wolną chwilę spędzałam na czytaniu: głównie tych samych dziesięciu książek. Jednej nie mogłam zrozumieć, niezależnie od tego, ile razy ją czytałam. Inna to były bajki, jeszcze inna to była sztuka teatralna o jakiejś katastrofie statku. A jeszcze inna o tym, jak uprawiać zboże, żeby mieć najwyższe plony. Skoro coś takiego czytałam, to najlepiej świadczy, jak desperacko potrzebowałam lektury. Ale nie miałam nic do roboty przez większość czasu.

Ponieważ umilkła, dodałem:

— A potem znalazł cię Kelly, odmienił twoje życie i dzięki temu zrozumiałaś to, tamto i owo. Zgadza się?

Uśmiechnęła się.

— Coś w tym rodzaju. Widywałam go na rogu sprzedającego gazetki, gdy załatwiałam różne sprawy. Pewnego dnia zrozumiałam, że gazetka to coś nowego do czytania. O księgarni nigdy nie słyszałam... myślę, że Kelly miał około dwudziestu lat... Przez następny rok co tydzień kupowałam u niego gazetę i uciekałam, nim zdążył się odezwać. Pojęcia nie miałam, o czym pisał, ale podobał mi się styl. Po roku zaczęło do mnie docierać i zaczęłam się zastanawiać nad tym, co czytam i co to ma wspólnego ze mną. Pamiętam, jakim szokiem było, gdy sobie uświadomiłam, że coś jest poważnie nie w porządku, gdy dziesięciolatek musi kraść po gospodach.

— Fakt — zgodziłem się. — Dziesięciolatek powinien być w stanie kraść na ulicach.

— Przestań!

— Dlaczego? — spytałem uprzejmie. — Każdy ma prawo do własnego zdania. A wracając do tematu, to właśnie wtedy zdecydowałaś się uratować świat.

Lata doświadczeń nauczyły ją cierpliwości, bo nie patrzyła na mnie z wyrzutem, jak zrobiłby to Paresh, ani nie obraziła się i nie zamilkła, jak miałyby to miejsce z Cawti. Zamiast tego potrząsnęła głową i powiedziała spokojnie:

— To nigdy nie jest takie proste. Zaczęłam rozmawiać z Kellym i zaczęliśmy dyskutować. Dopiero znacznie później zrozumiałam, że jedynym powodem, dla którego do niego wracałam, było to, że tylko on słuchał tego co mówiłam i traktował mnie poważnie. Wątpię, bym zdecydowała się kiedykolwiek coś zrobić, gdyby nie to, że akurat w tamtym roku nałożyli podatek knajpiany.

Przytaknąłem. Było to, jeszcze zanim mnie samego obchodziły podobne kwestie, ale pamiętam, jak ojciec o tym mówił tym specyficznym przyciszonym głosem, którego używał zawsze, gdy władze zrobiły coś, czego nie pochwalał.

— I co wtedy się stało? — spytałem.

Roześmiała się.

— Cała masa rzeczy. Gospoda została zamknięta i praktycznie natychmiast sprzedana, a nowy właściciel nie zamierzał jej otwierać, dopóki sytuacja z podatkiem ostatecznie się nie wyjaśni. W ten sposób znalazłam się na ulicy i bez pracy. Tego samego dnia spotkałam Kelly'ego, a w gazetce był duży artykuł na ten temat. Powiedziałam mu, co myślę o głupiej pisaninie o poważnych, prawdziwych sprawach, i dopiero na mnie naskoczył. Powiedział, że gazeta zawsze pisze o prawdziwych sprawach i że to jedyny sposób, by uratować miejsca pracy, a potem się rozkręcił. Niewiele z tego pamiętam, ale byłam wściekła i nie myślałam całkiem trzeźwo. Powiedziałam mu, że cały problem wziął się stąd, że Cesarzowa jest chciwa, a on, że jest zdesperowana, bo potrzebuje pieniędzy na to i na tamto, i zaczęło to brzmieć tak, jakby był po jej stronie. Wściekłam się i przez lata go nie widziałam.

— W takim razie co zrobiłaś?

— Znalazłam inną gospodę w dragaeriańskiej części miasta. Ponieważ oni nie rozróżniają, w jakim wieku jesteśmy, pozwolili mi obsługiwać gości. Okazało się, że kelner zginął tydzień wcześniej od ciosu nożem. To mi powinno uzmysłowić, gdzie trafiłam, ale nie uzmysłowiło. Znalazłam pokój po tej stronie Tyorine i codziennie szłam do pracy dwie mile. I przechodziłam koło małej księgarenki. Spędzałam w niej wiele czasu, ale był to doskonale spędzony czas. Najbardziej lubiłam książki historyczne — o historii Dragaerian, nie ludzi. I powieści, choć miałam trudności z zapamiętaniem ich treści. Wyobrażałam sobie, że jestem Dzurem-bohaterem i wygrywam bitwę pod Seven Pines, a zaraz potem atakuję Górę Dzur i walczę ze złą jędzą, która tam mieszka. Co się stało?

Chyba miałem głupią minę, słysząc określenie „jędza” użyte wobec Sethry Lavode — jeszcze nikt jej tak przy mnie nie nazwał.

— Nic — zapewniłem ją i zmieniłem temat. — Kiedy ponownie spotkałaś Kelly'ego?

Moja klawa była już na tyle zimna, że szklanke dało się złapać, i na tyle jeszcze

ciepła, że można było ją pić. Więc wypilem trochę.

— Po wprowadzeniu podatku pogłównego we Wschodniej Dzielnicy. Małżeństwo mieszkające niedaleko też umiało czytać, stąd się znaleźliśmy. Spotkali grupę ludzi próbujących wystosować petycję przeciwko jego wprowadzeniu adresowaną do Cesarzowej.

Skinałem głową — ktoś parę lat później pojawił się z taką petycją w lokalu ojca, mimo że znajdował się on w typowo elfiej dzielnicy. Ojciec wyrzucił go wraz z petycją za drzwi.

— Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, po co w ogóle wprowadzono ten podatek — przyznałem. — Chodziło o to, by ludzie nie mieszkali w mieście?

— Przede wszystkim był on wynikiem powstań na wschodzie. Północne księstwa potrzebowały przymusowej siły roboczej i chodziło o to, by ludzie tam właśnie się osiedlali. Napisałam o tym książkę. Chcesz egzemplarz?

— Aż tak mnie to nie interesuje.

Przyjrzała mi się dziwnie i kontynuowała:

— W każdym razie ja też się z nimi spotkałam i przez jakiś czas pracowaliśmy razem, ale nie podobał mi się pomysł proszenia Imperium na kolanach. To pewnie był wpływ wszystkich tych powieści przygodowych: miałam wtedy piętnaście lat, ale byłam przekonana, że od Cesarzowej uzyskują coś tylko ci, którzy proszą dumnie i udowadniają, ile są warci. Uważałam, że powinniśmy zrobić coś poważnego dla Imperium, a potem poprosić w nagrodę o zniesienie podatku.

Uśmiechnąłem się i spytałem:

— Jaka była reakcja pozostałych?

— Och, nigdy nie wystąpiłam z taką propozycją. Chciałam, ale bałam się, że mnie wyśmieją. Bo oczywiście mieliby rację. Natomiast zorganizowaliśmy kilka spotkań i zaczął się na nich pojawiać Kelly z trzema czy czterema innymi. Nie pamiętam, co mówili, ale wywarli na mnie duże wrażenie. Byli młodsi niż pozostali i zdawali się wiedzieć, o czym mówią. Przychodzili i wychodzili razem jak zespół. Przypominali mi jednostkę wojskową. Po którymś spotkaniu podeszłam do Kelly'ego i spytałam, czy mnie pamięta. Pamiętał i zaczęliśmy rozmawiać. Naturalnie prawie natychmiast się posprzeczailiśmy, tylko tym razem nie uciekłam. Dałam mu swój adres i pozostaliśmy w kontakcie. Przyłączyłam się do niego dopiero ponad rok później, po zamieszkach i zniesieniu podatku pogłównego.

Pokiwałem głową, jakbym wiedział, o czym mówi, i spytałem:

— Kelly brał w tym udział?

— Wszyscy braliśmy. Nie organizował zamieszek, ale był tu. Siedział przez pewien czas w jednym z obozów, do których nas wszystkich wsadzili. Mnie się udało, bo zdołałam uniknąć Gwardii, mimo że byłam wszędzie, gdzie się coś działo, nawet przy podpaleniu Giełdy Drzewnej. To spowodowało zresztą ściągnięcie wojska do miasta. Giełda należała do jakiegoś elfa, chyba z Domu Ioricha.

— Nie wiedziałem — przyznałem. — I od tego czasu jesteś z Kellym?

Przytaknęła ruchem głowy.

Pomyślałem o Cawti.

— To musi być trudne... on chyba nie jest najłatwiejszym człowiekiem do współpracy.

— Ale jest ekscytujące. Tworzymy przyszłość.

Popatrzyłem na nią nieco zdziwiony.

— Wszyscy tworzą przyszłość — powiedziałem spokojnie. — Wszystko, co każdy z nas robi, to tworzenie przyszłości.

— No tak, ale my ją tworzymy świadomie. Wiemy co robimy i co chcemy osiągnąć.

— Pewnie. Tworzycie przyszłość i dlatego poświęćcie teraźniejszość.

— Co masz na myśli? — spytała lekko zadowolona, co rokowało szansę na reedukację.

— To, że jesteście tak zaślepieni świetlistym celem, do którego dążycie, że nie dostrzegacie otaczających was ludzi. Tak zapamiętali próbujecie stworzyć tę waszą wizję, że nie obchodzi was, ilu niewinnych ludzi przy tym ucierpi. Poczekaj, daj mi skończyć. Oboje wiemy, czym się zajmuję zawodowo, możesz myśleć na ten temat, co chcesz, łącznie z tym, że jestem wcieleniem zła wszelkiego i degeneracji, ale nie o to chodzi, bo o tym dyskutować nie będę. Natomiast przyjmij do wiadomości, że nigdy przez te wszystkie lata nie zrobiłem celowo krzywdy żadnej niewinnej osobie, ani człowiekowi, ani elfowi, żeby nie było wątpliwości.

Spojrzała mi w oczy i odparła:

— Wierzę ci. I nie będę nawet z tobą dyskutować na temat tego, kogo uważasz za niewinnego. Mogę ci tylko powiedzieć, że jeżeli naprawdę wierzysz w to, co powiedziałeś, to nic, co powiem, nie zmieni twoich przekonań, więc nie ma sensu o tym rozmawiać.

Odetchnąłem z ulgą, bo spodziewałem się kolejnych frazesów albo obrazy. Sam zresztą nie wiem, dlaczego się tym przejmowałem — chyba dlatego, że wydawała się najrozsądniejsza z nich wszystkich, a człowiek nie lubi rozczarowań. Może też zależało mi na tym, by choć jedno z nich mnie polubiło... To było głupotą, jako że życie nauczyło mnie lata temu — konkretnie gdy miałem dwanaście lat, że staranie się, by być lubianym, nie przynosi efektów i z zasady jest bolesne. Wy tłumaczono mi to tak pogładowo, że nie zapomnę do śmierci, a parę dni musiałem spędzić w łóżku dzięki użytym argumentom.

Od tej pory wymuszam jedynie szacunek dla własnej osoby.

Uświadomienie sobie własnej głupoty i słabości wywołało falę złości na samego siebie, z którą przyszło otrzeźwienie i świeża dawka zdecydowania. Wybrałem zawód świadomie i nie żałowałem tego. Zdecydowałem się, ponieważ nienawidziłem elfów, i to nie uległo zmianie. Kelly i reszta robili wszystko dla idei, których nigdy nie zrozumieję. Dla nich ludzie byli „masami” (z zasady uciśnionymi), indywidualne osoby zaś były istotne tylko w związku z ich działalnością na rzecz

ruchu. Poza tym po prostu nie istniały. Ktoś kto myśli w ten sposób, nie jest zdolny do miłości, przynajmniej w normalnym znaczeniu tego słowa. Ale jest także niezdolny do nienawiści, ponieważ za bardzo interesuje go, dlaczego ktoś zrobił to, co zrobił, by go za to nienawidzić.

A ja umiałem nienawidzić. Nawet teraz czułem w sobie lodowatą nienawiść do Hertha. Doskonale rozumiałem, dlaczego zrobił to, co zrobił, i nie miało to żadnego znaczenia. Nienawidziłem go tak silnie, że chciałem zabić go własnoręcznie — wynajęcie zabójcy nie dałoby mi żadnej satysfakcji. Chciałem poczuć, jak tańczy pod ostrzem swój ostatni w życiu taniec i jak to życie będzie zeń wypływać niczym woda górskiego potoku. I chciałem widzieć w jego oczach świadomość, że dla niego już wszystko się skończyło: nie będzie wskrzeszenia, a może i nie będzie niczego, bo nadal nie byłem pewien, czy nie użyję broni Morgantich. Tego właśnie chciałem, a pragnienia robią z człowieka tego, kim jest.

Położyłem na stole zapłatę za klawę i herbatę. Natalia nie wiedziała, o czym myślę, ale zdawała sobie doskonale sprawę, że z rozmową skończyłem. Podziękowała i wstaliśmy równocześnie. Skłoniłem się uprzejmie, dziękując za towarzystwo.

Wychodząc, zauważyłem, że dała znak swoim towarzyszom. Wyszli tuż przede mną i przystanęli, czekając na nas. Kiedy ich mijałem, człowiek skrzywił się pogardliwie. Gdyby zrobił to Teckla, zabiłbym go, ale to był człowiek.

Więc poszedłem dalej.

Rozdział trzynasty

„... *usunąć kocią sierść...*”

Dzwonki rozbrzmiały, kiedy wszedłem do sklepu. Dziadek Pisał coś staromodnym ołówkiem. Uniósł głowę i widząc mnie, uśmiechnął się.

— Vladimir!

— Witaj, noish-pa.

Uściskaliśmy się. On przywitał się z Loioshem, mnie Ambrus wskoczył na kolana, ledwie usiadłem, toteż przywitałem się z nim jak należy. Ambrus nigdy nie mruczał w czasie głaskania czy drapania, ale w jakiś sposób dawał do zrozumienia, czy forma pieśczości mu odpowiada. Dziadek powiedział mi kiedyś, że Ambrus mruczy tylko wtedy, kiedy razem używają czarów. Mruczenie oznaczało, że wszystko jest w porządku.

Przyglądałem się dziadkowi, zastanawiając się, czy wygląda starzej i delikatniej. Nie mogłem tego stwierdzić, co nie jest niczym dziwnym — najtrudniej zauważa się zmiany u kogoś, kogo się dobrze zna i często widuje. Z jakiegoś powodu przyjrzałem się jego kostkom — na pewno wyglądały delikatnie jak na kogoś jego postury. Acz z drugiej strony klatka piersiowa była jak zwykle muskularna i szeroka pod wypłowiałą czerwono-zieloną koszulą, a łysa (jeśli nie liczyć cieniutkiego wianuszka siwych włosów) głowa błyszczała jak zwykle w blasku świateł.

— I co? — spytał po chwili dziadek.

— Jak się czujesz?

— Dobrze, jak zwykle. A ty?

— Podobnie, noish-pa.

— To dobrze. Co cię trapi?

Westchnąłem.

— Byłeś tu w 221? — spytałem.

Uniósł brwi zaskoczony.

— Byłem. To był zły czas — potrząsnął głową ze smutkiem, ale równocześnie coś rozbłysło na dnie jego oczu.

— Brałeś w tym udział?

— Jak mogłem nie brać? Wszyscy brali. Albo czynnie, albo się chowali, ale jakiś udział brali wszyscy.

— Mój ojciec też?

Spojrzał na mnie z dziwną miną.

— Twój ojciec mieszkał wtedy tutaj. Razem z twoją babką i moim bratem Janim. Byliśmy na Twovine i Hilltop, gdy Imperium próbowało nas złamać... Twój ojciec zabił gwardzistę rzeźnickim nożem.

— Naprawdę?!

Dziadek skinął potakująco głową.

Przez długą chwilę nie odzywałem się, próbując przyswoić sobie tę rewelację. Szkoda, że nie wiedziałem o tym, kiedy jeszcze ojciec żył... na pewno inaczej podchodziłbym wtedy do jego różnych zachowań. W końcu spytałem:

— A ty?

— A mnie po walce dali nawet stanowisko, więc chyba tu byłem.

— Stanowisko?

— Byłem delegatem kwartału: z M'Gary Street na północ od Elm. Gdy odbywały się spotkania, brałem w nich udział w imieniu wszystkich tam mieszkających i mówiłem, czego chcemy.

— Nie wiedziałem o tym... ojciec nigdy o takich sprawach nie mówił...

— Cóż... był nieszczęśliwy. To było wtedy, gdy straciłem twoją babkę... wtedy gdy wrócili.

— Chodzi ci o Imperium?

— O Imperium. Władze wysłały przeciwko nam wojska ściągnięte ze wschodniej granicy. Głównie złożone ze Smoków.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Westchnął i spojrzał gdzieś w dal. Sądzę, że myślał o mojej babce. Żałowałem, że jej nigdy nie poznałem.

— Może innym razem — powiedział w końcu.

— Oczywiście. Zauważyłem, że Kelly przyglądał ci się, jakby cię rozpoznawał. Wtedy się spotkaliście?

— Tak. Wtedy był znacznie młodszy i kiedy wcześniej rozmawialiśmy, jakoś nie skojarzyłem, że może chodzić o tego samego Kelly'ego.

— Noish-pa, czy on jest dobrym człowiekiem?

Dziadek spojrzał na mnie dziwnie.

— Dlaczego pytasz?

— Z uwagi na Cawti... tak myślę.

— Hmm... Cóż, jest dobry, jeżeli to, co robi, uznać za dobre.

Postarałem się dojść do prawdziwego sensu tej wypowiedzi, po czym spróbowałem z innej strony:

— Nie wydajesz się pochwalać tego, że Cawti związała się z nimi. Dlaczego, skoro sam brałeś udział w powstaniu czy rozruchach czy jak je tam zwać?

Dziadek rozłożył ręce.

— Vladimir, jeśli jest powstanie przeciw kamienicznikom czy właścicielom ziemskim, to oczywiście chcesz pomóc. Co innego masz zrobić? Ale teraz jest inaczej: oni stwarzają problemy, których nie ma. A poza tym to nigdy nie stanowiło powodu jakichkolwiek problemów między Ibronką... twoją babką a mną.

— Nie?!

— Oczywiście że nie. To było zdarzenie losowe, coś, co się stało, jak powiedzmy pożar. Wszyscy braliśmy w tym udział, uważaliśmy, że powinniśmy. Inaczej stanęlibyśmy po stronie bankierów i arystokracji. Ale to nie był powód, dla którego miałbym zostawić rodzinę czy wywoływać konflikt z żoną.

— Rozumiem... O tym chciałeś porozmawiać z Cawti, jeśli przyjdzie cię odwiedzić?

— Jeśli spyta, powiem jej to.

Pokiwałem głową, zastanawiając się, jak Cawti zareaguje. Wyszło mi, że już jej na tyle nie znam, by móc to przewidzieć. Zmieniłem temat, ale zauważyłem, że chwilami dziadek spogląda na mnie uważnie. Cóż, trudno było mu się dziwić.

Potwierdzało się, że najlepiej byłoby, gdyby Kelly'ego i resztę nagły szlag trafił, tylko że przez Franza, a raczej jego ducha, ja nie byłem w stanie tego zorganizować.

Wyglądało na to, że największym problemem z dorwaniem Hertha było to, że mógł na mnie polować dowolnie długo, gdyż nic go to nie kosztowało. Ludzie tu ograniczyli mu dochody, ale nie odcięli ich zupełnie, a poza swoją dzielnicą nic nie zrobili, bo ich to już nie interesowało. Miał źródło dochodów, kontakty i podwładnych. Mógł czekać, aż interesy we Wschodniej Dzielnicy wrócą do normy. Był elfem, mógł żyć jeszcze z tysiąc lat, więc po co miał się spieszyć?

Żeby go zabić, musiałem go zmusić do ruchu, do wyjścia na ulicę... a do tego... hmm. Dziadek obserwował mnie w milczeniu, jakby domyślał się, iż intensywnie coś analizuję.

A w moim umyśle rodził się właśnie nowy plan.

Kiedy się urodził, obejrzałem go sobie z każdej strony. Loiosh nie miał komentarzy, co było dobrym znakiem. Upiłem łyk herbaty i zastanowiłem się nad kilkoma problemami. Plan wytrzymał. Zdecydowałem się wcielić go w życie.

Wreszcie dziadek spytał:

— Masz pomysł, Vladimir?

— Mam, noish-pa.

— W takim razie powinienes zacząć go realizować.

Wstałem.

— Masz rację, noish-pa.

Pokiwałem głową i nic nie powiedział.

Pożegnałem się, a Loiosh poleciał przodem. Wyszedłem, dopiero gdy oznajmił, że droga wolna. Ten cały Quaysh nadal mnie niepokoił, toteż zachowywałem

znacznie większe niż zwykle środki ostrożności. Teraz były szczególnie ważne — jako nieboszczyk miałbym większe problemy z wprowadzeniem swego planu w życie. Można by rzec, że nie do przewyciężenia.

* * *

Przeszedłem zaledwie z dwie, trzy przecznice i mijałem jakiś zaułek, gdy zauważyłem dziewczynę opierającą się o mur. Dłonie trzymała z tyłu, a ubrana była w chłopską spódnicę błękitno-żółtej barwy. Miała z piętnaście lat i ogolone nogi. To pierwsze nie znaczyło wiele, to drugie było praktycznie jednoznaczne.

Kiedy przechodziłem obok, oderwała się od ściany i zaczęła mnie uprzejmie. Przystanąłem i życzyłem jej miłego dnia, nim dotarło do mnie, że to może być zasadzka. Odruchowo pogładziłem włosy i poprawiłem pelerynę — myślała, że staram się dla niej, i uśmiechnęła się, pokazując parę dołeczków. Zastanowiłem się, ile są warte ekstra.

„Zauważyłeś coś podejrzanego, Loiosh?”

„Za duży tłok, żeby mieć pewność, ale Quaysha nie widzę.”

Doszedłem do wniosku, że najprawdopodobniej jest to to, na co wygląda.

Zapytała, czy nie zechciałbym zabrać jej gdzieś na coś do picia. Powiedziałem, że być może. Zapytała, czy nie chciałbym zabrać jej gdzieś na małe rypanko. Spytałem za ile. Ustaliliśmy cenę na imperiała, czyli jedną trzecią tego, co biorą moje panienki.

Tym razem się nie uśmiechała, więc nie było dołeczków. Poprowadziła mnie za róg — na wszelki wypadek poszedłem tam z nożem w dłoni, ale trzymałem go tak, by nie było go widać. Weszliśmy do gospody, na której kilka pszczoł kręciło się koło ula. Miłe skojarzenie — nie znałem go. Porozmawiała z właścicielem, a ja schowałem nóż i wręczyłem mu siedem srebrnych monet zgodnie z umową. Wskazał mi głową schody i poinformował, że mam iść do pokoju numer 3. Jak na południe lokal był pełen i gości, i błękitnego dymu. Oraz smrodu potu, brudu i zastalego powietrza. Dobrowolnie nie siedziałbym tu minuty.

Dziewczę zaprowadziło mnie do pokoju numer 3 i weszło pierwsze, bo tak jej kazałem. Obserwowałem ją uważnie, ale nie zauważyłem, by dała komuś jakiś znak. Można było przyjąć, że w pokoju nikogo nie ma, mimo to, gdy się odwróciła do mnie, wleciał na zwiady Loiosh.

„Czysto, szefie” — zameldował natychmiast.

Dziewczę jakby dopiero teraz zwróciło na niego uwagę.

— Chcesz, żeby to też było w pokoju?

— Tak.

Wzruszyła ramionami.
— Niech będzie.
Wszedłem, zaciągając za sobą zasłonkę zastępującą drzwi. Umeblowanie było podobnie wykwinne i wyszukane: materac na podłodze i stolik obok.
Dałem jej imperiała i powiedziałem:
— Reszta dla ciebie.
— Dziękuję.
Zdjęła bluzkę. Ciało miała młode, więc twarz nie kłamała. Nie poruszyłem się. Spojrzała na mnie i spytała:
— Będziesz tak stał?
Podszedłem, a ona udała, że się uśmiecha z uznaniem, i wyciągnęła ku mnie ramiona.
Spoliczkowałem ją.
Cofnęła się zaskoczona.
— Co ty...?
Przerwał jej drugi policzek.
— Tylko bez takich! — oburzyła się.
Wyciągnąłem z peleryny nóż i pokazałem jej.
Wrzasnęła.
Wreszcie!
Wrzask jeszcze odbijał się od ścian, gdy ją złapałem i zaciągnąłem do kąta przy wejściu. Teraz w jej oczach był już strach.
— Teraz siedź cicho! — poleciłem. — Wydasz dźwięk, to cię zabiję.
Kiwnęła głową, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy.
Usłyszałem kroki na korytarzu, więc ją puściłem. Szarpnięta gwałtownie zasłona ukazała solidną maczugę, a za nią masywnego osobnika z czarną brodą.
Wpadł do pokoju i stanął jak wryty, widząc, że pomieszczenie jest puste. Zaczął obracać głowę, gdy złapałem go za włosy i wygiąłem je do tyłu tak, że kark dotknął noża trzymanego w drugiej dłoni. Znieruchomiał grzecznie.
— Puść maczugę — poleciłem.
Spiał się, jakby miał zamiar czegoś spróbować, więc zwiększyłem odrobinę nacisk ostrza.
Maczuga z łomotem wylądowała na podłodze.
— Grzeczny chłopczyk — pochwalilem.
Odwróciłem się do kurewki — wyraz jej twarzy powiedział mi, że to jej alfons, nie bramkarz z gospody czy jakiś życzliwy obywatel.
— Dobra — poleciłem. — Zmywaj się!
Obiegła nas, dopadła bluzki i nie nakładając jej nawet, wyprysnęła z pokoju. Na żadnego z nas nawet nie spojrzała.
Niespodziewanie brodaty spytał:
— Jezdeś ptok?

Zamrugalem zaskoczony.
— Ptak? — powtorzyłem tępo.
I dopiero wtedy mnie olśniło. Gwardia Feniksa — Feniks — ptak.
Podobało mi się to określenie.
Lord Khaavren dostałby pewnie ataku szału, gdyby je usłyszał.
— Nie jestem — poinformowałem go. — Dla kogo pracujesz?
— Eee?
Kopnałem go w wewnętrzną stronę kolana. Padł tak, jak chciałem. Przyklę-
nałem na jego piersi i umieściłem ostrze noża przed lewym okiem. Mam słabość
do lewego oka. I powtorzyłem pytanie.
— Nie pracuje dla nikogo — oznajmił. — Jezdem sam.
Uśmiechnąłem się paskudnie.
— Czyli mogę z tobą zrobić, co chcę, bo nikt cię nie chroni, tak?
To mu dało do myślenia, co chwilę potrwało, bo chłop był nieprzyzwyczajony.
— Mam ochronę — oznajmił w końcu.
— To dobrze — pogratulowałem. — Kogo?
W tym momencie dostrzegł Loiosha siedzącego na moim ramieniu. Przeniósł
wzrok na moją pelerynę i resztę stroju i musiał skojarzyć znaczenie kolorów, bo
oblizął wargi i bąknął:
— Nie chce być zamieszany.
Uśmiechnąłem się szerzej:
— A o ile bardziej możesz być zamieszany?
— No, ale...
Miałem dość, więc zadałem mu trochę bólu.
Kwiknął.
— Kto cię chroni? — spytałem cierpliwie.
Podał mi imię jakiegoś człowieka, o którym nigdy nie słyszałem. Cofnąłem
trochę nóż i powiedziałem:
— Teraz posłuchaj uważnie: pracuję dla Kelly’ego. Wiesz o kim mówię?...
To dobrze. Chcę, żebyś się wyniósł z ulicy. Właśnie skończył ci się interes, jasne?
Przytaknął.
Złapałem kosmyk jego włosów i obciałem go. Potem mu go pokazałem i scho-
wałem do wewnętrznej kieszeni peleryny.
— Teraz mogę znaleźć cię, kiedy tylko będę chciał — wyjaśniłem. — Rozu-
miesz?
Potwierdził energicznie.
— To dobrze. Wrócę tu za parę dni i będę chciał porozmawiać z tym dziew-
częciem. Jeżeli dowiem się, że spotkało ją coś złego, albo jeśli jej nie spotkam,
zabiorę ze sobą parę kawałków twojej osoby. Zrozumiałeś?
Najwyraźniej zdobył się na niecodzienny wysiłek umysłowy, bo znów przy-
taknął.

— To dobrze.

I wyszedłem.

Po paniencie nie było śladu.

Wyszedłem z gospody i ruszyłem na zachód. Po przejściu jakiejś półtorej mili zszedłem do obskurnego lokaliku w suterenie, który już dawno zwrócił moją uwagę. Właścicielem był wyjątkowo brzydki i obleśny typ. Zapytałem go, gdzie mogę znaleźć trochę godziwej rozrywki.

— Czego?

— Godziwej rozrywki: shereby, s'yang, obojętne.

Spojrzał na mnie tępo, co przyszło mu bez trudności.

Dałem mu imperiała.

Podał mi adres. Jakieś trzy budynki dalej.

Poszedłem tam. Nie kłamał — trzy stoły do shereby. I właściciel — siedzący na krześle pod ścianą. Chyba drzemał, bo nie zareagował nawet, kiedy przed nim stanąłem.

Więc odchrząknąłem i powiedziałem:

— Cześć. Przepraszam, że przeszkadzam.

Otworzył jedno oko.

— No?

— Wiesz, kto to jest Kelly? — spytałem.

— Eee?

— Kelly. Wiesz, ten co zablokował. . .

— Wiem. Co z nim?

— Pracuję dla niego.

— Co?

— Właśnie skończyłeś z hazardem. Koniec gry. Lokal zamknięty, goście wychodzą.

Pomieszczenie nie było duże, a ja nie starałem się mówić cicho, toteż wszystkie gry ustały jak nożem uciął, a wszystkie oczy zwróciły się ku mnie. Właściciel, podobnie jak poprzednio alfons, widząc kolory mojego stroju i Loiosha, doszedł do słusznego wniosku, tyle że jego ten wniosek zaskoczył.

— Posłuchaj, nie wiem, kim jesteś ani o co tu chodzi. . .

Przerwałem mu metodą zapożyczoną od Gwardii — trzepnąłem go w ucho ręką sztyletu, po czym odwróciłem broń w palcach ostrzem ku niemu i spytałem:

— To ci wyjaśniło sytuację?

Za plecami usłyszałem ruch.

„Kłopoty, Loiosh?”

„Nie, szefie. Goście wychodzą.”

„Doskonale.”

Kiedy zostaliśmy sami, obiecałem:

— Sprawdzę tę budę za parę dni. Jeśli zobaczę tu jakąś grę hazardową, dobiore ci się do dupy. Teraz wynoś się.

Poszło mu nader sprawnie.

Ja wyszedłem znacznie wolniej bardzo z siebie zadowolony.

* * *

Nim skończyłem, zrobił się wieczór. Sterroryzowałem trzech alfonsów, dwa salony gry, lichwiarza i pasera. Pracowity dzień.

Wróciłem do biura, by porozmawiać z Kragarem nad wprowadzeniem w życie drugiej części planu.

* * *

Kragar doszedł do wniosku, że zwariowałem.

— Zwariowałeś, Vlad.

— Prawdopodobnie.

— Wszyscy cię zostawią.

— Nie, jeśli będę im płacił.

— A skąd weźmiesz pieniądze?

— Zapomniałeś, że jestem bogaty?

— Na jak długo?

— Na kilka tygodni wystarczy, a wszystko rozstrzygnie się w tydzień.

— W jeden tydzień?

— W jeden. Spędziłem dziś pracowity dzień, napuszczając Hertha na Kelly'ego... — wyjaśniłem mu szczegółowo przebieg dnia. — Zajmie im z dzień, góra dwa dojdzie do tego, kto to zrobił. Wtedy Herth będzie próbował zabrać się do mnie wszędzie, gdzie się da, a Kelly...

— No?

— Poczekaj, sam zobaczysz.

Spojrzał na mnie nieźyczliwie i westchnął zrezygnowany.

— No dobrze, chcesz, żeby od jutra zamknięte były wszystkie lokale, burdele i inne interesy na całym terenie, a wszyscy właściciele mają przez tydzień nie wychodzić z domów, tak? — podsumował. — Mówisz, że cię na to stać, dobra. Ale tej drugiej części we Wschodniej Dzielnicy nie rozumiem.

— A co tu jest do rozumienia? Będziemy robić to, co dziś zacząłem, tylko na większą skalę.

— Ale podpalenia? Wybuchy? To nie sposób by...

— Mamy speców od takich spraw, pamiętasz? Wyszkolił nas Laris.

— Pamiętam, ale Imperium...

— Właśnie.

— Nie rozumiem. Już ci to, zdaje się, mówiłem.

— Nie musisz. Masz się zająć wykonaniem.

— Aha. Dobra, Vlad: twój cyrk, twoje małpy. A co z naszymi lokalami? Choćby z biurem?

— Najmij Kurwi Patrol, niech założą pełną ochronę magiczną łącznie z blokadami teleportacyjnymi. Wszystko co się da. Stać...

— ... cię na to. Wiem. I nadal uważam, że zwariowałeś.

— Herth też tak będzie uważał. Tylko że on będzie próbował sobie z tym poradzić.

— Skupi się na tym, żeby cię dorwać. O to ci chodzi?

— Też.

Westchnął jeszcze ciężiej, pokiwał głową i wyszedł.

A ja rozsiadłem się wygodniej, położyłem nogi na biurku i systematycznie sprawdziłem, czy o czymś nie zapomniałem.

* * *

Cawti była w domu, kiedy wróciłem. Przywitaliśmy się i pogawędziliśmy o bzdurach w stylu: „jak komu minął dzień”. Usiedliśmy sobie w salonie, jakby nic się nie zmieniło, ale tak, że dzieliło nas około stopy.

Wstałem pierwszy, przeciągnąłem się i stwierdziłem, że idę spać.

Życzyła mi dobrej nocy.

Zasugerowałem, że jej też pewnie przydałoby się trochę snu.

Zgodziła się uprzejmie i oznajmiła, że wkrótce się położy.

Poszedłem spać.

Loiosh i Rocza były dziwnie zgaszeni.

Pojęcia nie miałem dlaczego.

Zasnąłem błyskawicznie, jak zawsze kiedy plan wchodził w fazę realizacji. To jedna z tych rzeczy pozwalających mi utrzymać resztki trzeźwości umysłu.

* * *

Następnego dnia wcześniej teleportowałem się do biura i czekałem na informacje. Herth okazał się tak szybki, jak podejrzewałem — jego podwładni spróbowali przeniknąć do mojego biura i dwóch największych lokali.

— Dobrze, że wpadłeś na pomysł, żeby zwiększyć ochronę magiczną, Kragar — pochwaliłem.

Kragar mruknął coś niezyczliwie.

— O co chodzi? — zaciekałem się.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Już miałem mu powiedzieć, że zawsze wiem, co robię, ale uznałem, że w tych warunkach brzmiałoby to nieco głupio, więc odrzekłem:

— Ja też.

Wyglądało na to, że go usatysfakcjonowałem, bo spytał:

— Dobra. Co dalej?

Powiedziałem mu.

Najpierw wytrzeszczył oczy, potem uruchomił pamięć:

— Jasne. Jest ci coś winien, no nie?

— Nawet sporo. Ustal spotkanie na dziś, jeżeli będzie to możliwe.

— Dobra.

I wyszedł.

* * *

Kragar wrócił po godzinie.

— W „Blue Flame” — oznajmił z uśmiechem — O ósmej. On zajmie się ochroną, co znaczy, że wie, co się dzieje.

— Dziwne byłoby, gdyby nie wiedział.

— Ufasz mu?

— W końcu komuś trzeba... myślę, że mogę mu w tej sprawie zaufać.

Kragar przytaknął.

* * *

Około południa dostałem wiadomość, że podpaliliśmy kilka lokali Hertha w Południowej Adrilankhce. Musiał chłop zacząć obgryzać paznokcie z bezsilnej złości. On nie mógł mi nic zrobić, a ja biłem go po kieszeni coraz dotkliwiej. Po raz pierwszy od wielu dni miałem naprawdę dobry humor.

Poczułem psychiczne swędzenie i spytałem telepatycznie:

„Kto?”

„Chimov. Jestem w pobliżu lokalu Kelly’ego.”

„Coś się dzieje?”

„Wyprowadzają się.”

„Aha. Dowiedz się dokąd.”

„Dobra. Tu jest straszny tłum, zupełnie jakby się spodziewali kłopotów. Aha, i rozdają ulotki. Pełno tu tej makulatury.”

„Czytałeś którąś?”

„Tak. Jutro robią jakieś masowe zebranie w parku Naymat. To tu ma tytuł „DO BRONI”. Dużym drukiem.”

„Ślicznie! Dowiedz się, gdzie będą, i nie pchaj się w kłopoty.”

„Jasne, szefie.”

— Kragar!

— Czego?

— A, tu jesteś. Poślij kogoś do siedziby Kelly’ego. Z pięciu najlepiej. Mają porozbijać wszystkie meble, podziurawić ściany, rozpirzyć kuchnię. Sam wiesz co jeszcze.

— Dobra.

* * *

Reszta dnia upłynęła podobnie. Regularnie spływały meldunki o zniszczeniu określonych celów czy też o odparciu kolejnego ataku Hertha. A ja reagowałem szybko, sprawnie i bez błędów, czyli tak jak zwykle. I miałem doskonałe samopoczucie, dolewając drobnymi acz istotnymi posunięciami oliwy do ognia. Istniał oczywiście jeszcze jeden powód mojej pracowitości — biuro było najbezpieczniejszym dla mnie miejscem w całym mieście.

Wieczorem dowiedziałem się od wtyczki w organizacji w Pałacu Cesarskim, że władze owszem, wiedzą o zamieszkaniu w Południowej Adrilankhce. Padło w związku z tym imię Hertha. O mnie jak dotąd nikt nie wspominał. Idealnie.

* * *

Zbliżała się ósma. Wziąłem Kija, Świetlika, Wesołka i Chimova i udałem się do „Blue Flame”. Zostawiłem ich przed drzwiami, jako że gość obiecał zająć się ochroną, a wiedziałem, że już przybył. I rzeczywiście — ledwie wszedłem, dostrzegłem kilku gości i dwóch kelnerów, którzy musieli być jego ochroną.

Podszedłem do stolika i ukloniłem się.

— Witaj, Vlad — odezwał się Demon.

— Dobry wieczór. Dzięki, że przyszedłeś.

Skinął głową i usiadłem. Demon przewodniczył radzie Domu Jherega, a w praktyce rządził całym Domem. Oficjalnie był numerem drugim, bo tak mu było wygodniej. Za nie tak dawno wykonaną „robotę” był mi winien nie jedną uprzejmość, ale kilka, jak powiedziałem Kragarowi. Wymienialiśmy grzecznie uwagi, dopóki nie podano posiłku. Wtedy Demon przeszedł do rzeczy:

— Słyszałem, że wpędziłeś się w kłopoty.

— Drobne — zapewniłem go. — Nic, z czym nie byłbym w stanie sobie poradzić.

— Doprawdy? Cóż, miło słyszeć — spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem.

— W takim razie dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

— Bo chciałem, żeby nic się nie wydarzyło.

Mrugnął zaskoczony i zachęcił:

— Kontynuuj proszę.

— Imperium może zacząć zwracać uwagę na naszą rozgrywkę z Herthem, a kiedy Imperium zwróci na coś uwagę, robi to także rada.

— Rozumiem. A ty chcesz, żebyśmy się nie wtrącali.

— Właśnie. Możesz dać mi tydzień na załatwienie sprawy?

Odpowiedział pytaniem:

— A ty możesz ograniczyć kłopoty do Południowej Adrilankhi?

— Praktycznie tak. Nie zaatakuję go nigdzie indziej, a ja zamknąłem i zabezpieczyłem wszystkie swoje interesy, więc ciężko mu będzie zrobić coś na moim terenie. Mogą pokazać się ze trzy czy cztery trupy, ale nic spektakularnego czy głośnego.

— Imperium niezbyt lubi większą liczbę ciał, Vlad.

— Większej nie powinno być. Jeżeli moi będą ostrożni, nie powinno być żadnego. A poza tym, jak powiedziałem, w ciągu tygodnia wróci spokój.

Przyjrzał mi się z lekkim uśmiechem:

— Jak sądzę, przemyślałeś to i zaplanowałeś dokładnie.

— Tak.

Uśmiechnął się szerzej:

— Nie sposób zarzucić ci braku pomysłowości czy środków, Vlad. Zgoda: masz tydzień. Dopilnuję tego.

— Dzięki — odpowiedziałem z uczuciem.

Chciał zapłacić za posiłek, ale przekonałem go, że tym razem cała przyjemność jest po mojej stronie.

Rozdział czternasty

„... wyszczotkować białe drobinki...”

Do domu odprowadził mnie wzmocniony kontyngent ochrony. Dostarczyli mnie do samych drzwi i poczekali, aż wejść. Kiedy minąłem próg, poczułem, jak opada napięcie, które towarzyszyło mi od rana, ale nawet o tym nie wiedziałem. Biuro miałem naprawdę dobrze chronione, ale każdą ochronę można przełamać, natomiast dom stanowił sanktuarium nienaruszalne zgodnie ze zwyczajami Domu Jherega. Pojęcia nie mam dlaczego — może z tego samego powodu co świątynie: każdy musi gdzieś się czuć całkowicie bezpieczny, a na atak w domu narażeni byli wszyscy. Może zresztą powody są zupełnie inne. Nie wiedziałem tego, za to wiedziałem, że zwyczaj ten nigdy nie został naruszony.

Naturalnie jeszcze do niedawna nie słyszałem też, by ktokolwiek świadomie okradł członka Domu Jherega, o całej radzie nie wspominając. Cóż, ponoć zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz... Natomiast kolejny, który spróbuje skoku na kasę, naprawdę dobrze się zastanowi — postarałem się o to. Mogłem mieć tylko nadzieję, że debiut dotyczący naruszenia domu nie odbędzie się z moim udziałem...

Człowiek musi na czymś polegać.

No nie?

Jakkolwiek by było, znalazłem się bezpiecznie w domu, gdzie też byłem bezpieczny. Cawti siedziała w salonie, czytając tę ich gazetkę. Może nie byłem aż tak bezpieczny, jak sądziłem...

— Wcześniej wróciłaś — powitałem ją.

Nie uśmiechnęła się, gdy na mnie spojrzała.

— Ty skurwielu! — powiedziała z uczuciem.

Poczułem, że się czerwienię, i byłem na siebie za to wściekły. Podobnie jak za to, że dałem się zaskoczyć, choć wiedziałem, że szybko się zorientuje w sytuacji. I domyślałem się, jak zareaguje. Nie pomyliłem się, więc dlaczego, do cholery, zaskoczyło mnie, że zrobiła to, czego się spodziewałem.

— Ładnie to tak...

— Chyba nie myślałaś, że nie zorientuję się, że to ty pogoniłaś ludzi Hertha, zwalając winę na nas?!

— Wiedziałem, że się zorientujesz.
— Więc?
— Realizuję pewien plan.
— Plan! — warknęła pogardliwie.
— Plan. Robię co muszę.
Miała minę na wpół pogardliwą, na wpół wściekłą. Duże osiągnięcie.
— To co musisz — powtórzyła takim tonem, jakby chodziło o zwyczaj seksualne teckli.
— Właśnie.
— Robisz wszystko, co możesz, by zniszczyć jedynych ludzi, którzy...
— W końcu będą cię kosztować życie? Tak. A tak na marginesie, za co chcesz oddać to życie?
— Za lepsze życie dla...
— Och, przestań! Oni są tak pełni wielkich idei, że nie potrafią zrozumieć, że świat jest pełen ludzi, których nie można ignorować i niszczyć dla osiągnięcia tych idei. Pojęcie jednostki jest dla nich czymś zupełnie nieważnym lub nieistniejącym. Popatrz na nas: na siebie i mnie. Jesteśmy na etapie jeżeli nie wojny, to kłótni na pewno z powodu tak bzdurnego z punktu widzenia rodziny jak ci wspinali zbawcy ludzkości. A jedyne, co ty potrafisz dostrzec, to jakie skutki moje działanie będzie miało dla nich. Na to, jakie będzie miało dla nas, jesteś ślepa, a to, jakie już mają, cię nie interesuje. Czy to ci nie uświadamia, że nie postępują właściwie?
Roześmiała się, ale w tym śmiechu nie było wesołości, tylko nienawiść.
— Oni nie postępują właściwie? To wniosek, do którego doszedłeś? Że ruch jest zły?
— Tak. Dokładnie taki jest mój wniosek.
Skrzywiła się pogardliwie.
— I spodziewasz się, że ja to kupię?
Wytrzeszczyłem oczy i wykrztusiłem:
— O czym ty mówisz? Co masz kupić?
— Chodzi mi o to, że mi tego nie sprzedasz.
— Czego znowu mam ci nie sprzedać?
— Możesz sprzedawać sobie co chcesz i komu chcesz, ale nie mnie.
— Kobieto, opamiętaj się! — warknąłem. — Co ja jestem: handel obwoźny i drobne kradzieże?! Mówimy o naszej przyszłości...
— Zamknij się! — przerwała mi gwałtownie. — Swołocz!
Nigdy dotąd nie używała w stosunku do mnie inwektyw, czy wyzwisk. Aż dziwne, jak to zabolęło.
Po raz pierwszy od sceny w biurze poczułem złość skierowaną konkretnie przeciw niej. Stałem, czując, jak twarz mi tężeje, a jej spojrzenie tylko potęgowało mój gniew. W uszach mi dzwoniło i zdałem sobie sprawę, że tracę nad sobą

kontrolę, a gniew zamienił się we wściekłość. Zrobiłem krok w jej stronę. Przeszła się uśmiechać. Spojrzała na mnie okrągłymi oczyma i cofnęła się. Dopiero wtedy zauważyłem, że wstała. Nie wiem, co by się stało, gdyby się nie cofnęła. Ten krok dał mi moment samokontroli. Skręciłem ku drzwiom i wyszedłem...

„Nie na ulicę! Szefie!”

Rozpaczliwy głos Loiosha i chłodny powiew wiatru otrzeźwiły mnie nieco. Zrozumiałem, że mogę być w niebezpieczeństwie, i przemknęło mi przez myśl, by teleportować się do Czarnego Zamku. Zaraz potem uświadomiłem sobie, że w tym stanie ducha do teleportu się nie nadaje. Poza tym gdyby ktoś mnie zaatakował, byłbym mu naprawdę wdzięczny.

Ruszyłem przed siebie, starając się panować nad sobą na tyle, na ile byłem w stanie, a nie było to wiele. A potem przypomniałem sobie, czym skończył się ostatni taki kretyński spacer po mieście, i to mnie dość skutecznie otrzeźwiło.

Nie na tyle jednak, bym go zaprzestał.

Sądzę, że tej nocy zatroszczyła się o mnie Verra, moja Bogini Demonów. Albo też miałem więcej szczęścia niż rozumu. Herth musiał wyznaczyć sporą nagrodę i rozesłać kogoś na poszukiwanie mnie (że o Quayshu nie wspomnę). A nikt mnie nie zaatakował, mimo że przeszedłem spory kawałek i jeszcze posiedziałem sobie na dodatek przy nieczynnej fontannie na Malak Circle. Loiosh cały czas mnie pilnował, ja zresztą też się rozglądałem, wypatrując ewentualnego zagrożenia, ale z takim dziwnym uczuciem, jakby to nie miało nic wspólnego ze mną. Jakbym stał z boku i obserwował.

Nie przeszkadzało mi to myśleć. A wszystko zaczęło się od tego, że zobaczyłem twarz: Cawti przyglądającą mi się tak, jakbym złapał nieuleczalną chorobę. Dziadka z zatroskaną, ale kochającą miną. Mego starego przyjaciela Mellara, jak zwykle spokojną. A na koniec Franza, przyglądającego mi się oskarżycielsko.

To ostatnie było tyleż dziwne, co pozbawione sensu — nie znałem go i nie troszczyłem się o niego. Był mi obojętny. Nie widziałem go nigdy żywego, a przelotne spotkanie z jego duchem tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie mamy ze sobą nic wspólnego. Tylko dlatego moja podświadomość wykorzystwała akurat jego gębę?

Znałem sporo Dragaerian uważających, że Teckle są jacy są, bo tak jest ten świat urządzony i tak być powinno. To, co ich spotka w życiu, nikogo nie obchodziło, natomiast jeśli jakiś Teckla chciał poprawić swój byt, nie przeszkadzali mu. Najczęściej byli to lordowie, posiadacze dużych majątków ziemskich uważający, że w pełni na nie zasługują i że to też jest normalne. Nie wstydzili się tego, że są bogatsi czy lepsi od innych. Mogłem zrozumieć takie podejście. Co prawda miało to niewiele wspólnego z prawdziwą sytuacją Teckli, za to było całkiem logiczne z dragaeriańskiego punktu widzenia.

Znałem też paru Dragaerian rozpaczających głośno nad losem Teckli (i ludzi) i dających gotówkę rozmaitym instytucjom dobroczynnym na biednych i bezdom-

nych. Większość była całkiem majątna i poza tym niegłupia. A ja nimi gardziłem. Bo większość z nich tak naprawdę gardziła biedniejszymi od siebie i miała z tego powodu takie wyrzuty sumienia, że oszukiwała sama siebie. Raz: nie przyjmowali do wiadomości porządku społecznego, w którym żyli, dwa: wmawiali sobie, że robią coś dobrego i że to coś zmieni. No i znałem (przymusowo, ale zawsze) Kelly'ego i jego grupę. Byli tak zaślepieni swoją ideą poprawy świata, że nikt i nic więcej nie liczyło się dla nich. Byli kompletnie i całkowicie bezwzględni — naturalnie w imię dobra ludzkości.

Praktycznie z tych trzech grup składało się całe społeczeństwo, w którym żyłem, tylko że sam nie bardzo mogłem się zdecydować, do której pasowałem.

Na pewno nie do ostatniej. Mogłem zabijać jedynie konkretne osoby, nie całe społeczeństwa. Miałem wysoką opinię o swoich umiejętnościach, ale nie aż tak wysoką, by zdecydować się zniszczyć całe społeczeństwo jedynie na podstawie własnego widzimisie, ani też nie byłem takim megalomanem i maniakiem, by ryzykować śmierć tysięcy, gdybym się pomylił.

Kiedy ktoś pcha się z butami w moje życie, co się już zdarzało i będzie się zdarzać, traktuję to jako sprawę osobistą. Jakoś nigdy nie miałem skłonności do obarczania za to winą społeczeństwa czy systemu i nie próbowałem wywołać rewolucji, żeby inni to, co uznałem za złe, zniszczyli za mnie. Może byłem głupi czy naiwny, ale uważałem, że jeśli ktoś robi mi coś złego, należy go usunąć prostymi, czystymi metodami, na przykład użyć sztyletu.

Druga grupa też odpadała — zarobiłem na wszystko, co miałem, i ani trochę nie czułem się winny dlatego, że pierwszy raz w życiu jestem bogaty. Nawet moja podświadomość, włączając w to gębę Franza. Ci, którzy pogrążają się w nieuzasadnionym poczuciu winy, warci są tyle, na ile sami siebie oceniają.

Kiedyś należałem do pierwszej grupy... być może nadal należę, ale teraz mi się to nie podoba. To właśnie ich, tych z pierwszej grupy od dawna nienawidzę. Tych, którzy są u władzy i używają majątku, wykształcenia i kultury niczym pały, którą zmuszają innych do posłuszeństwa. To oni są moimi wrogami, nawet jeśli przez większą część życia nie zdawałem sobie z tego sprawy. To właśnie im chciałem pokazać, że mogę zjawić się znikąd i wstrząsnąć ich pewnością siebie. Ale mieliby głupie miny!

Mimo to nie mogłem uznać się za jednego z nich. Może byłem, ale nie mogłem się zmusić, by to zaakceptować. Tylko raz w życiu nienawidziłem samego siebie — wtedy, kiedy zdałem sobie sprawę, że Herth mnie złamał, choć sam o tym nie wiedział. Uzmysłowało mi to, że istnieją rzeczy, których człowiek nie pokona, obojętne jak mocno by nie próbował, gdyż siły, które występują przeciwko niemu, są potężniejsze niż on. Gdybym uznał, że należę do pierwszej grupy, znienawidziłbym siebie na zawsze, a śmierć byłaby lepsza od tego.

Skoro nie pasowałem do żadnej grupy, logiczny był wniosek, że byłem wszędzie i nigdzie, czyli byłem obcym przyglądającym się i niezdolnym pomóc ani

zaszkodzić. Komentator w teatrze życia.

Sam nie wiedziałem, czy wierzyć w to czy nie. Na pewno nie do końca było prawdą, że nic nie mogłem zrobić: w tej kwestii Kelly i Herth byli wyjątkowo zgodni. I to jak na razie powinno mi wystarczyć.

Zauważyłem, że robi się chłodniej i że jestem znacznie spokojniejszy. Uzmysłowilem też sobie, że powinienem jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Skoro byłem już na Malak Circle, postanowiłem wstąpić do biura, w którym zauważyłem światło, przechodząc, tyle że wtedy nie miało to dla mnie znaczenia. Powitał mnie zaskoczony Melestav, więc zrewanżowałem się pytaniem:

— Czy ty nigdy nie wracasz do domu?

— Wracam, ale jak długo coś się dzieje, ktoś musi się zajmować organizacją, bo te osiłki bez nadzoru wszystko spieprzą.

— Herth nadal próbuje dobrać się do nas?

— Tu i tam, ale niemrawo. Za to Imperium trysnęło energią nad podziw: Gwardia weszła do Południowej Adrilankhi.

— Co?!

— Z godzinę temu cała kompania Gwardii wkroczyła do Południowej Adrilankhi i weszła do Wschodniej Dzielnicy niczym do zdobytego miasta.

— Były jakieś walki?

— Nie słyszałem. Kilkunastu zabitych i rannych ludzi znaczy, że walk raczej nie było.

— Kelly?

— Nikt z jego grupy nie ucierpiał, bo zmienili adres.

— Fakt. Imperium podało jakiś powód?

— Zamieszki i niepokoje. O to przecież chodziło, no nie, szefie?

— Ale nie tak szybko! I nie sądziłem, że z taką siłą i z takimi ofiarami.

— Tak to już jest z Gwardią. Nie lubią ludzi, a mieli okazję.

— Ano mieli. Masz nowy adres Kelly'ego?

— Jasne.

Zapisał mi na skrawku papieru. Okazało się, że to ledwie parę domów dalej, tak że powinienem odnaleźć go bez problemów.

— Aha, tak przy okazji, Kij chciał pana widzieć — przypomniał sobie Melestav. — Myślał, że zobaczycie się jutro, ale jeszcze się tu kręci na wszelki wypadek, jakby pan przyszedł. Mam go zawołać?

— Dobra. Przyślij go do mnie.

Powędrowałem do mojego pokoju i usiadłem.

Po paru chwilach w drzwiach pojawił się Kij.

— Mogę z panem chwilę pogadać, szefie? — spytał. — Jasne.

Zamknął drzwi i spytał:

— Bajinoka pan zna?

— Znam.

— Chciał, żebym pomógł mu pana wystawić. Mówił pan, szefie, że chce wiedzieć o takich propozycjach jak najszybciej.

Pokiwałem głową z aprobatą:

— Nadal chcę. Zarobiłeś premię.

— Dziękuję.

— Kiedy z nim rozmawiałeś?

— Z godzinę temu.

— Gdzie?

— W „Blue Flame”.

— Był ktoś z tobą?

— Nie.

— Dobra. Uważaj na siebie.

Kij wymamrotał coś i wyszedł.

A ja zaskoczony stwierdziłem, że ani mnie to nie przstraszyło, ani nie zaskoczyło. Co nie znaczyło, że nie obeszło. Miałem na przykład nadzieję, że Kijowi nic się nie stanie. To on przecież rozpoznał Quaysha, co powodowało, że mógł stać się ponętym celem. Prawdę mówiąc, praktycznie pewnym celem.

Zaraz... godzinę temu... to nie była specjalnie trudna „robotą”, a Herth miał takich, którzy podrzynali gardła w ramach obowiązków za miesięczne wynagrodzenie.

Wstałem i wrzasnąłem:

— Melestav!

— Tak, szefie?

— Kij już wyszedł?

— Chyba tak.

Zakląłem i wypadłem z pokoju. Zbiegłem po schodach i wybiegłem przed budynek, ignorując podświadomość ostrzegającą o zasadzce. Loiosh znalazł się na ulicy pierwszy i nie wspomniał o żadnym niebezpieczeństwie. Rozejrzałem się.

Zasadzka była zastawiona. Ale nie na mnie. Zobaczyłem postać zbliżającą się od tyłu do idącego Kija i krzyknąłem:

— Kij!

Odwrócił się i uskoczył w bok. Postać też skoczyła, ale potknęła się i zaczęła padać. W tym momencie rozległo się głucho łupnięcie — Kij zdzielił go w głowę. Niedoszły zabójca rozciągnął się na ziemi z moim nożem w plecach.

Podszedłem, nie spiesząc się.

Kij wyjął z niego mój nóż, otarł go o płaszcz leżącego i podał mi go rękojęścią do przodu.

— Dobiłeś go? — spytałem.

Celowałem, żeby zabić, ale złośliwie skręcił, gdy mój nóż już leciał, i wiedziałem, że trafiłem w serce.

Kij potrząsnął przecząco głową.

Schowałem nóż.

— Jeśli ocknie się, zanim się wykrwawi, to przeżyje — ocenił. — Zabieramy go czy zostawiamy?

— Zostaw. Powiem Melestavowi, żeby przekazał Bajinokowi wiadomość. Niech sami po sobie sprzątają.

— Jasne. Dziękuję.

— Drobiazg. I bądź ostrożny, dobrze?

— Pewnie, szefie. Czasem się zastanawiam, dlaczego jeszcze siedzę w tym interesie.

— Ja też.

Wróciłem do budynku i wydałem Melestavowi niezbędne polecenia. Nie wydawał się zaskoczony, ale od czasu, gdy kazałem mu sprowadzić Kija do biura, nie udało mi się go niczym zaskoczyć.

Usiadłem za biurkiem i zmusiłem się, by przestać myśleć o tym, co Gwardia może wyprawiać we Wschodniej Dzielnicy. Owszem, byłem za to odpowiedzialny, ale nie wszystko i nie zawsze można przewidzieć. Obchodziło mnie to, ale byłem w stanie wojny. Jeśli pozwolę, by tego typu gorzkie żale mnie za bardzo zaabsorbowały, popełnię błąd. A potem już nic nie będę w stanie zrobić, by uratować Cawti, Kija, siebie czy kogokolwiek.

Miałem wojnę do wygrania. . .

A jako że przeżyłem już niejedną, dobrze wiedziałem, jak ważne są informacje, uderzenie jako pierwszy, zaskoczenie i zepchnięcie przeciwnika do obrony. Oraz ogłupienie przez dokładną ochronę tego co moje.

Herth miał większy teren, a więc i więcej środków do dyspozycji, ale to ja zacząłem wojnę i zadałem mu już spore straty, samemu nie ponosząc żadnych (poza finansowymi wynikającymi z przestoju). Co więcej — zabezpieczyłem się tak, bym ich nadal nie ponosił, na co chwilowo było mnie stać. A ponieważ nie spodziewałem się wygrać jej w klasyczny sposób, nie musiała długo trwać. Moim celem było zwabienie Hertha tam, gdzie mogłem go zabić, a najpewniejszym sposobem było wywołanie jak największego zamieszania na terenie, na którym on miał utrzymywać porządek.

To była połowa planu.

Druga połowa związana z Kellym była trudniejsza, ale też rokująca szansę na sukces. Pośpiech, z jakim Cesarzowa użyła Gwardii, skomplikował nieco sytuację, ale nie tylko moją, jego też, i to bardziej. I wątpiłem, by znalazł inne wyjście niż to, które dla niego zorganizowałem. Sądząc po jej reakcji, Cawti zdała sobie z tego sprawę. . . Myśl o Cawti rozproszyła mnie skutecznie, więc skłamałem w duchu.

„Pogadaj z nią, szefie” — odezwał się niespodziewanie Loiosh.

„Niedawno próbowałem, pamiętasz?”

„Nie rozmawialiście, tylko się kłóciliście. A jakbyś jej przedstawił cały plan?”

„Nie spodobałby się jej.”

„Ale może nie byłaby taka wściekła jak teraz.”

„Wątpię, by to miało znaczenie.”

„Pierwsze, co cię zirytowało, to to, że nie powiedziała ci o związaniu się z grupą Kelly’ego. Zgadza się?”

„Zgadza.”

„No to nie może to działać w obie strony?”

„Może... mądrało.”

Posiedziałem jeszcze chwilę, podszedłem do drzwi i gestem dałem znać ochronie, by się nie fatygowała. Potem wziąłem głęboki oddech, skupiłem się, zaczerpnąłem energii z Kuli i użyłem magii. Targnęło mną i oto stałem pod drzwiami mieszkania. Oparłem się o ścianę, czekając, aż minie pierwsza fala mdłości, i wszedłem.

W chwili, w której zamknąłem za sobą drzwi, wiedziałem, że coś jest nie tak.

Loiosh też.

Z nożem w dłoni ostrożnie przeszedłem do salonu i rozejrzałem się uważnie.

Loiosh leciał przede mną i też się rozglądał.

Nikt nie czekał, żeby mnie zabić.

W ogóle nikt na mnie nie czekał, ale wszystko wyglądało normalnie. Dopiero gdy sprawdziłem szafę w sypialni, zrozumiałem, o co chodzi — rzeczy Cawti zniknęły. Wróciłem do salonu, i wiedząc, czego szukać, rozejrzałem się raz jeszcze. Teraz dostrzegłem to bez trudu — wszystkie jej rzeczy, zaczynając od *lanta*, a kończąc na najmniejszych drobiazgach, zniknęły. Obaj z Loioshem od razu to zauważyliśmy, tylko żaden z nas nie uświadomił tego sobie na tyle, by zrozumieć, co jest nienormalnego w mieszkaniu.

Spróbowałem połączyć się z Cawti telepatycznie, ale mi się nie udało. Albo nie chciała ze mną rozmawiać, albo nie potrafiłem się wystarczająco skoncentrować. Na wszelki wypadek postanowiłem to sprawdzić.

„Kragar?”

„Słucham, Vlad.”

„Ishtvan się odezwał?”

„Jeszcze nie.”

„Dobra, to wszystko, co chciałem wiedzieć.”

Uspokojony zakończyłem połączenie. Poszedłem do sypialni i zamknąłem drzwi Loioshowi przed nosem.

Położyłem się — zdaje się, że na miejscu Cawti, i zastanowiłem się, czy chce mi się płakać. Nie chciało mi się.

Sam nie wiem, kiedy zasnąłem.

Rozdział piętnasty

„... ślady po oliwie maszynowej...”

Obudziłem się wcześniej — zmęczony i brudny. Jeśli się śpi w ubraniu, trudno spodziewać się innych odczuć. Rozebrałem się, umyłem i poszedłem dalej spać.

* * *

Drugi raz obudziłem się na krótko przed południem. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że Cawti się wyprowadziła. Przez dwie minuty gapilem się tępo w sufit, po czym zmusiłem do wstania.

Ogoliłem się, przyglądając się sobie uważnie. Nie zauważyłem żadnych zmian we własnej fizjonomii.

„I jak, szefie?”

„Cieszę się, że jesteś.”

„Co zamierzasz zrobić?”

„Chodzi ci o Cawti?”

„Aha.”

„Nie bardzo. Nie do końca w to wierzę... I nie myślałem, że aż tak mnie to trafi... czuję się martwy w środku... wiesz o co mi chodzi?”

„Czuję, szefie. Dlatego zapytałem.”

„Nie jestem pewien, czy nadaje się do realizacji tego, co zaplanowałem.”

„Może jakbyś z nią doszedł do ładu...”

„Może. Wypadałoby jej poszukać.”

„Tylko ostrożnie. Herth...”

„Wiem.”

Sprawdziłem broń, skoncentrowałem się i teleportowałem do znajomego parku we Wschodniej Dzielnicy. Bardzo miłe, otwarte i puste miejsce. Quayshowi

by się nie spodobało. Oczekałem, aż moje wnętrze wróci na swoje miejsce, i poszedłem poszukać jakiejś wzbudzającej zaufanie restauracji. Po drodze ominąłem dwa patrole Gwardii.

Znalazłem sympatyczny lokal, wybrałem odpowiedni stolik i poczekałem na kelnera. Zamówiłem, gdy się zjawił, i zanim odszedł, dodałem:

— Tylko klawę poproszę w kubku.

— Oczywiście, milordzie.

Nawet nie był zaskoczony!

I przyniósł w kubku.

Omal nie natrzaskałem sobie po gębie za głupotę. Wystarczyło się odezwać i nie musiałbym się bić z tymi cholernymi szklankami! Może to był dobry znak na resztę dnia.

„Jak myślisz, Loiosh?”

„Myślę, że robisz się przesądny.”

„A poza tym?”

„Że mocno wątpię.”

„Cóż... miło się zaczęło. Tak w kwestii zaczynania: możesz znaleźć Roczę?”

Nastąpiła chwila ciszy, nim odezwał się zirytowany:

„Nie mogę, bo mnie blokuje.”

„Nie sądziłem, że to potrafi.”

„Ja też nie. Po co to robi?”

„Bo Cawti ją poprosiła. Musiała się domyślić, że mogę ją w ten sposób śledzić. Cwaniara. Dobrze, użyjemy starych metod i pójdziemy obejrzeć nową siedzibę Kelly'ego. Poczekamy, a jak nam się znudzi, przekonamy tego, kogo zastaniemy, żeby nam powiedział, gdzie jest Cawti. Chyba że masz lepszy pomysł?”

„Nie mam, a ten jest rozsądny, szefie. A jak dorwę tę latającą gadzinę...”

Klava z miodem i śmietaną była dobra. Śniadanie też, więc zostawiłem suty napiwek na stoliku. Loiosh wyleciał pierwszy i zameldował, że wszystko w porządku, więc wyszedłem i ruszyliśmy ku nowemu mieszkaniu Kelly'ego. Po drodze ominąłem kolejny patrol — rzeczywiście wszędzie ich było pełno. Mieszkańcy nie wyglądali na uszczęśliwionych ich widokiem. Sądząc po minach gwardzistów, uczucie to było obopólne.

* * *

Pierwsze, co rzucało się w oczy po obejrzeniu nowego budynku, w którym zamieszkał Kelly, było to, że wyglądał tak samo jak stary. Różnice były minimalne: jaśniejszy odcień brązu na ścianach, trochę większe cofnięcie od ulicy i sąsied-

nich budynków, no i to, że mieszkanie Kelly'ego było z lewej, nie z prawej strony od wejścia.

Ponieważ nie byłem w nastroju do czekania, wszedłem, ledwie skończyłem oglądać budynek i sąsiedztwo. I zauważyłem kolejną zmianę — mieszkanie miało drzwi. Ciężkie, drewniane i z prawdziwym zamkiem. Nawet nie najgorszym. Trzeba byłoby się trochę napocić, żeby się włamać, a wyłamać drzwi bez hałasu nijak by się nie dało. Jeśli podobnie zabezpieczono inne wejścia i drzwi, to byłem pod wrażeniem. Wyczuwało się rękę Cawti. Już chciałem zaklaskać, gdy przypomniałem sobie, gdzie jestem, i załomotałem w drzwi.

Otworzył mój drogi przyjaciel Gregor. Wytrzeszczył oczy, widząc mnie, ale nie dałem mu się gapić, tylko przepchnąłem się obok. Było to chamstwo, ale jakoś je przeżyłem i żyję z tą świadomością nadal.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że rozkład mieszkania jest taki sam, za to pokój, w którym się znalazłem, jest czysty — pewnie nie zdążyli jeszcze naświnić. No i tym razem złożyli materace i pościel w stertę pod ścianą.

W pokoju siedzieli: Kelly, Natalia i Teckla, którego nie znałem. Rozmowa urwała się na mój widok, więc bez wstępów spytałem:

— Cawti jest w pobliżu?

Wszyscy poza Natalią spojrzeli na Kelly'ego.

— Chwilowo nie — odparła Natalia.

— W takim razie poczekam — stwierdziłem, obserwując ich.

Natalia obserwowała mnie.

Reszta obserwowała Kelly'ego.

Ten wydał wargi, niespodziewanie wstał i powiedział:

— Dobrze. Chodź do tyłu, porozmawiam z tobą.

I wyszedł do następnego pokoju pewien, że za nim pójdę.

Co mi tam — poszedłem.

Gabinet był równie posprzątnany i zorganizowany jak poprzedni. I tak samo umeblowany, toteż siadłem przed biurkiem. On siadł za, splótł dłonie na brzuchu i spojrzał na mnie, jak zwykle mrużąc oczy.

— A więc — oznajmił — zdecydowałeś się wezwać Imperium i zmusić nas do reakcji.

— Przyszedłem tu, by zobaczyć się z Cawti. Gdzie ona jest?

Nadal mi się przyglądał, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Masz Plan — stwierdził w końcu, wymawiając go z dużej litery — a reszta świata to detale, które mogą, ale nie muszą mieć z nim coś wspólnego. Twoim celem nie jest zniszczenie nas, jesteśmy po prostu użytecznym narzędziem.

Zabrzmiało to dziwnie podobnie jak to, o co ja go oskarżałem, ale nie przybyłem tu na dyskusję, choć z drugiej strony. . .

— Jeśli chcesz, możemy pogadać, czas szybciej zleci, a Cawti się w końcu tu zjawí. Czasu mam dużo, mogę trochę zmarnować na rozmowę z tobą. Natomiast

cel mojego planu jest prosty, więc do ciebie nie dotarł: chodzi mi o uratowanie życia Cawti.

— Nie własnego?

— Na to jest już za późno.

Zaskoczyłem go, co z dziwnych przyczyn sprawiło mi przyjemność.

— I wyjaśnijmy sobie coś jeszcze — dodałem — możesz się bawić w co chcesz, tylko nie mieszaj w to mnie i moich bliskich. Nie wiem, o co ci tak naprawdę chodzi, i nie obchodzi mnie to. Wiem natomiast, że prędzej czy później jeśli nie Herth, to Imperium wykończy ciebie i resztę. Jak długo będę w stanie temu zapobiec, nie dopuszczę, by moja żona zginęła razem z tobą. Jeśli chcesz porozmawiać, przestań się zachowywać jak najmądrzejszy w okolicy, bo na mnie nie robi to wrażenia.

Nawet się nie zdenerwował — musiał mieć niezłą wprawę w przyjmowaniu obelg.

— Nie wiesz, o co nam chodzi? — spytał zaskoczony. — Po tych wszystkich rozmowach nadal nie wiesz? Po konfrontacji na ulicy...

— Słyszałem frazesy.

— A słuchałeś ich?

— Wystarczającą ilość razy, by mieć dość. Twoi pomagierzy powtarzają je jak papugi do znudzenia.

— To wszystko, co do ciebie dotarło? Powtarzanie frazesów?

— Prawda bywa bolesna, no nie? — spytałem bez cienia współczucia.

— Nigdy nie zastanawiałeś się, że za słowami kryje się coś więcej, a konkretnie treść? Większość ludzi reaguje na slogany, bo je rozumie, ale reaguje także dlatego, że są one prawdziwe i dotyczą ich i ich życia. A tych, którzy nie chcą myśleć, uczymy...

Przypomniało mi się to, co podsłuchałem: jeśli tak wygląda ich nauka...

— Rozmawiałeś z Paresem i Natalią i ani razu nie słuchałeś, co mówią?! Niewiarygodne! Ale to teraz nieważne, bo nie jesteśmy tu po to, by się przed tobą usprawiedliwiać. Stanowimy tę część społeczeństwa ludzi i Teckli, która rozumie, co robi.

— Tak? A cóż takiego robicie?

— Bronimy się w jedyny możliwy sposób: jednocząc się i używając siły, którą mamy dzięki naszej roli w społeczeństwie. I dzięki temu możemy obronić się przed Imperium, przed Herthem czy przed tobą.

— Doprawdy? — zaczął mnie śmieszyć.

— Tak.

— To jak mnie powstrzymasz przed zabiciem cię tu i teraz?

Był odważny — to mu musiałem przyznać: nawet okiem nie mrugnął. Dzur nazwałby to męstwem. Jhereg głupotą.

— To mnie zabij.

— Jesteś mi potrzebny żywy... na razie. A kiedy uznam, że nadszedł twój czas, zjednoczysz się z duchami przodków.

Rzeczywiście był mi potrzebny, ale do czego, nie zamierzałem mu naturalnie mówić. Ani Cawti, jeśli o to chodziło. Dlatego zmieniłem temat.

— Więc istniejecie tylko po to, by bronić siebie i ludzi, tak?

— I Teckle. Ale zapomniałem, że ciebie to nie interesuje. Jesteś tak zajęty gonieniem fortuny przez górę trupów, że nie masz czasu nikogo słuchać, nieprawdaż?

— Zabrzmiało poetycko. Czytałeś może kiedyś Torturiego?

— Owszem, ale wolę Winta. Torturi jest sprytny, ale płytki.

— Proszę, odcytana jednostka! — zdziwiłem się szczerze. — A tak na marginesie to co do poetów masz rację.

— Lartol jest podobny.

— Zgadza się.

— Należeli do tej samej szkoły i żyli w tej samej epoce: po rekonstrukcji końca rządów dziewiątego Vallisty, kiedy arystokracja czuła żal do...

— Już dobrze, dobrze: powiedziałem, że jesteś odcytany jak na... kimkolwiek tam jesteś.

— Jestem rewolucjonistą.

— No proszę, jaki ładny zawód. Zresztą jeśli o mnie chodzi, to możesz sobie być, czym chcesz. Możesz nawet pochodzić z Domu Vallisty. Co prawda ziemno-wodny nie jesteś, ale tworzenie i niszczenie masz w naturze. Tyle że mało skutecznie wychodzi ci jedno i drugie.

Kelly pokręcił głową:

— Nie. Gdybym był elfem, należałbym do Domu Teckli.

— Ty to powiedziałeś — prychnąłem. — Ale przez grzeczność nie zaprzeczę.

— Tak... i to jest kolejna rzecz, której nie rozumiesz.

— Bez wątpienia.

— To, co powiem, odnosi się także do ciebie...

— Uważaj! Żywy nie znaczy nie uszkodzony.

— ...jak zresztą i do wszystkich ludzi. Teckle to tchórze, tak? Czy Paresh jest tchórzem?

— Paresh jest wyjątkiem. O wyjątkowej historii.

— A więc nie jest tchórzem. Teckle są leniwi i głupi. Wiesz to z doświadczenia czy tylko ze słyszenia?

Zastanowiłem się. Członkowie Domu Jherega od pokoleń żerowali na Tecklach — ale nie tylko na nich, co nie musiało oznaczać, że są głupi, tylko że my jesteśmy sprytniejsi i mądrzejsi. Poza tym Teckli było tyłu, że trudno sobie było wyobrazić, ilu ich naprawdę mieszka w stolicy, nie mówiąc już o wsiach.

— Z leniństwem nie spotkałem się nigdy — przyznałem. — Z głupotą czasami, ale na to nie mają monopolu. Natomiast tchórzostwo jest faktem.

— Dom Teckli odzwierciedla cechy wszystkich domów. Tak samo zresztą jak Dom Jherega, bo tylko te dwa domy przyjmują wszystkich, nie zadając pytań. Arystokracja: Smoki, Lyorny czy Dzurowie uznają to za słabość. Dom Lyorna w ogóle nie przyjmuje obcych. Nawet Dom Dzura wymaga przejścia testu. Wszyscy uważają, że tak postępując, wzmacniają swoje domy, gdyż w ten sposób zwiększają wśród ich członków cechy, które cenią: siłę, szybkość, spryt. To zależy od domu, ale przeważnie podobne uznaje się za największe cnoty dominującej kultury. Kultury arystokracji. Według nich mieszanie krwi pozbawionej tych cech prowadzi do słabości. Ponieważ oni tak uważają, ty też to robisz. A w rzeczywistości nie jest to słabość, lecz siła. Bo w naturze istnieją wszystkie cechy i to powoduje, że dopiero ci, którzy mają w jakimś stopniu je wszystkie są kompletnymi istotami. Dotyczy to tylko dwóch domów: Teckli i Jherega. No i oczywiście ludzi. Na pewno składają się na to też inne czynniki, z których istnienia jeszcze nie zdajemy sobie sprawy, ale w szerokim rozumieniu tego słowa tylko my jesteśmy ludźmi. Reszta to przedstawiciele domów, którym czegoś brak. Zastanów się, co jest ważniejsze.

I umilkł, jakby czekał na odpowiedź.

No to ją dostał:

— No to zakończyliśmy przyspieszony kurs szowinistycznej biologii, historii i polityki Teckli w jednym. Aha, i tego, co jest wymagane, by zostać rewolucjonistą. Pouczające, tylko że mnie biologia nie interesuje, w twoją wersję historii nie wierzę, a szowinistą jestem prywatnym, nie uspołecznionym. A co jest potrzebne, by zostać rewolucjonistą, wiedziałem już wcześniej.

— A co takiego według ciebie?

— Zaślepienie ideą tak dokładne, że nie zauważa się własnej bezwzględności w traktowaniu jednostek, obojętne: przyjaciół, wrogów czy widzów.

— Zaślepienie ideą? Tak to widzisz?

— Ogłuchłość? Właśnie ci powiedziałem.

— A skąd się bierze ta idea czy też te idee?

— A co mnie to obchodzi?

— One pochodzą od ludzi.

— Głównie martwych, jak sądzę.

Pokręcił głową i niespodziewanie spytał:

— A więc ty nie masz żadnej etyki?

— A co ci do tego?

— Ciekawość. Masz czy nie masz?

— Mam.

— Ale skłonny jesteś ją porzucić dla kogoś, kto wiele dla ciebie znaczy?

— Na to pytanie sam sobie odpowiedz.

— Cóż to jest etyka zawodowa? Idee ważniejsze od ludzi.

— Etyka zawodowa gwarantuje, że zawsze traktuję ludzi uczciwie. Elfy też, żebyś się słów nie czepiał.

— Gwarantuje, że zrobisz to co właściwe, nawet jeśli w danym momencie nie jest to wygodne?

— Można to tak ująć.

— Wiesz co? Opowiadasz nonsensy. Nasze idee według ciebie spadły z nieba, a twoje są święte. Nasze idee wyrosły z naszych potrzeb, przemyśleń i walki. Idee nie rodzą się w ciągu nocy, a ludzie nie decydują się, czy je przyjąć czy nie następnego dnia. Są wytworem czasów, tak jak magia przywołująca jest rezultatem rządów jednego z cesarzy z Domu Athyry. Idee zawsze wyrażają coś wolnego, nawet jeśli są złe. Ludzie za nie ginęli od początku swej historii, fakt, czasami za błędne, ale nie w tym rzecz. Gdyby nie były tworem ich doświadczeń i otaczającego ich świata, robiliby to? Naszą siłą jest to, że stanowimy część historii i społeczeństwa mającego te same problemy, a nie jednostkami. Oznacza to, że możemy przynajmniej próbować znaleźć właściwe odpowiedzi, nawet jeśli nie zawsze mamy całkowitą rację. Dobrze, że sam rozwiązujesz swoje problemy, ale ludzie i Teckle mają takie kłopoty, których nie mogłaby rozwiązać pojedyncza osoba.

Potwierdziły się moje przypuszczenia, że jak ktoś przyzwyczaił się do przemawiania, to prywatnie też będzie miał do tego skłonność. Żeby go podpuścić, powiedziałem:

— Jestem jednostką i rozwiązałem te problemy. Wydostałem się stąd i nie narzekam na to, jak żyję i kim jestem.

— Po ilu trupach?

— Czterdziestu trzech jak dotąd.

— No tak.

— No tak, co?

— Właśnie, co?

Znowu mrużył oczy, czekając na odpowiedź, która była dlań oczywista. Dla mnie też, tyle że była to zupełnie inna odpowiedź. To, że ostatnio zastanawiałem się nad pewnymi sprawami, nie oznaczało, że zamierzam budować sobie bazę polityczną albo wszczynać rewoltę, bo uważałem, że wiem lepiej od reszty świata, jak powinien on być urządzony.

— Jeżeli jestem aż tak bezwartościowy, to po co tracisz czas na rozmowy ze mną? — spytałem.

— Bo Cawti jest dla nas cennym nabytkiem. Jest jeszcze nowa, ale może stać się doskonałą rewolucjonistką. Ma z tobą problemy i to się odbija na jej pracy. Chcę, żeby te problemy się skończyły.

Tym razem omal mu nie przylałem.

Samokontrola czasami naprawdę wiele kosztuje.

— A więc mam ci pomóc manipulować Cawti, żeby mogła ci pomóc manipulować mieszkańcami tej dzielnicy. Dobrze wiedzieć, jak to działa. Załóżmy, że się zgodzę. W takim razie zaczniemy od tego, na czym mnie zależy: powiesz mi, gdzie ona jest.

— Nie powiem, bo nie będę się z tobą dogadywał na jakiegokolwiek zasadzie. Ściągnąłeś tu Gwardię, chcąc wpakować nas w sytuację, która by nas zniszczyła. Ale ci się nie udało! Nie będziemy się wdawali w żadne awantury. Wczoraj zrobiliśmy masówkę i przekonaliśmy wszystkich, by zachowali spokój i nie dali się sprowokować. Jesteśmy gotowi bronić się przed każdym atakiem, ale nie pozwolimy wpuścić się w...

— Daruj sobie. Ta retoryka jest funta kłaków warta w zetknięciu z rzeczywistością. Naprawdę ci się wydaje, że możesz przeciwstawić się Herthowi? On ma więcej wynajętych zbirów niż Verra włosów... pod pachą. Moja ingerencja tylko przyspieszyła sprawę: zniszczyłby was, kiedy tylko uzyskałby pewność, że nie przestaniecie robić tego, co robicie.

Teraz już tak nie uważałem, ale straszenie Herthem stanowiło nieodzowny element planu.

— Ma ich więcej niż mieszka tu ludzi i Teckli?

— Kelly, nie bądź idiotą: co to ma do rzeczy?

— A ma. Kazał zabić Franza — zmobilizowaliśmy pół dzielnicy. Kazał zabić Sheryl — zamknęliśmy całą. Ściągnąłeś Gwardię, myśląc, że w ten sposób rozwiązesz wszystkie swoje problemy, a w rzeczywistości zrobiłeś dokładnie to, co chciało Imperium: dostarczyłeś pretekstu. Ale to niczego nie rozwiązało, prawda? Są tu i nie mogą nic zrobić. Bo gdy tylko spróbują, weźmiemy całe miasto.

— Tak? To co cię powstrzymuje?

— Jest na to za wcześnie. Miasto przez jakiś czas zdołalibyśmy utrzymać, ale okolica do nas teraz nie dołączy. Zrobimy to jednak, jeśli będziemy zmuszeni: będzie to przykład, który zwiększy naszą siłę. Kiedy reszta kraju będzie w nas widziała swoich przedstawicieli, Imperium nie odważy się nas zniszczyć w obawie przed ogólnym powstaniem.

— Ot, świetlana przyszłość. I dlatego władze zrobią to, co chcecie, tak?

— Nie mogą przeprowadzić uczciwego śledztwa, bo wyszłoby na jaw, jak silnie organizacja jest połączona z Imperium. Dom Jherega zaczęłyby walczyć, wywołując chaos. Władze wiedzą, co możemy zrobić, więc wszystko, co mogą uczynić, to ściągnąć tu Gwardię i mieć nadzieję, że popełnimy błąd i utracimy zaufanie mas. Wtedy mogliby zniszczyć nasz ruch.

Spojrzałem nań, nie mogąc chwilowo wydobyć z siebie głosu.

— Słuchaj no — powiedziałem, gdy mnie odetkało. — A nie przyszło ci do głowy znacznie prostsze rozwiązanie? Wystarczy, że Herth wynajmie pół tuzina zabójców i zabije was tu, w tym domu. Co go powstrzyma?

— Ostatnim razem, gdy kazał zabić jedno z nas, zablokowaliśmy dzielnicę.

Teraz, jeśli zrobi coś podobnego, zdobędziemy całe miasto. A wtedy Imperium wystąpi przeciw niemu. I to będzie jego koniec.

— Jesteś idiotą. Jeśli wybije was wszystkich, a zwłaszcza ciebie, to nie będzie komu zrobić tego, o czym mówisz.

Potrząsnął głową i nic nie powiedział. Był tak pewien siebie, że przez moment przypominał mi Morrolana, który też był pewien, że może zniszczyć każdego, kto stanie mu na drodze, bo tak było zawsze. W sumie niegłupi człowiek, a nie dostrzegający najprostszych rozwiązań...

Dalsze rozmyślenia przerwał mi nagły ruch jego głowy i syk Loiosha.

— Witaj, Cawti — powiedział Kelly.

Nie odwróciłem się.

Loioshowi za to odpysknęła Rocza i przez kilka sekund powietrze było pełne wściekłego syku. Zaraz potem Loiosh wystartował i syk ucichł, za to rozległ się zajadły łopot skrzydeł i inne odgłosy walki.

— Witaj, Vlad — odezwała się Cawti. — Czy ta parka kogoś ci nie przypomina?

Odwróciłem się.

Miała czarne kręgi pod oczyma i wyglądała na wykończoną. Stłumiłem chęć przytulenia jej i powiedzenia, że wszystko w porządku — nie było i oboje o tym wiedzieliśmy.

Kelly bez słowa wstał i wyszedł.

Pewnie się spodziewał, że będę mu wdzięczny.

— Cawti, chcę, żebyś dała sobie z tym spokój — powiedziałem, gdy zostaliśmy sami. — Ta grupa w ten czy inny sposób zostanie zniszczona, a chcę, żebyś była bezpieczna.

— Domyśliłam się tego ostatniej nocy, gdy wyszłam.

Powiedziała to dziwnie cichym i spokojnym tonem. Dawno takiego nie słyszałem.

— Czy to coś zmienia? — spytałem równie cicho.

— Nie jestem pewna. Chcesz, żebyśmy wybrała między przekonaniem a miłością.

Przełknąłem ślinę.

— W sumie to chyba się do tego sprowadza.

— Jesteś pewien, że musisz?

— Muszę być pewien, że jesteś bezpieczna.

— A ty?

— To zupełnie inna sprawa.

— I jedynym powodem, dla którego zrobiłeś to wszystko...

— Było uratowanie twojego życia, do cholery!

— Przestań, Vlad. Proszę.

— Przepraszam.

— Zrobiłeś to, ponieważ uważasz, że Herth jest wszechpotężny, i nie dostrzegasz, jak jest słaby w porównaniu z potęgą uzbrojonych mas.

Z trudem ugryzłem się w język, słysząc „potęgę uzbrojonych mas”. I zapytałem spokojnie:

— A jeśli się mylisz?

Tak ją zaskoczyłem, że zaczęła myśleć. I to dłuższą chwilę, co z kolei mnie zaskoczyło.

— Pamiętasz tę konfrontację z Gwardią na ulicy? — spytała wreszcie. — Herth nie zrobił nic, gdy ta oficer z Domu Smoka przejechała mu nożem po twarzy. Nienawidził jej, miał ochotę zabić, ale nie zrobił nic. To kto jest potężniejszy?

— Oczywiście ona jako oficer Gwardii.

— A ona i Gwardia stali spokojnie, gdy Kelly przedstawiał nasze żądania. Myślisz, że Kelly jest od niej potężniejszy?

— Nawet ty tak nie myślisz.

— Zgadza się. Ale za nim stała potęga uzbrojonych mas. Sam to widziałeś. Uważasz, że jesteś od niej silniejszy?

— Nie. Ale to nie ja jestem waszym przeciwnikiem.

— A może się mylisz? Może to my jesteśmy silniejsi?

Westchnąłem i przyznałem:

— Teoretycznie istnieje taka możliwość.

— To dlaczego nie przestaniesz próbować mnie chronić? Poza wszystkim innym to upokarzające.

— Bo nie mogę. Nie rozumiesz tego? Po prostu nie mogę pozwolić ci dać się zabić i spokojnie na to patrzeć. Nic na to nie poradzę.

— Jesteś pewien, że chcę się dać zabić?

— Nie jest to twój cel, ale istnieje olbrzymia szansa, że tak się to skończy.

— Rozumiem. . . Nie zgadzam się, ale rozumiem.

— Wrócisz do domu?

— Poczekajmy, aż się to wszystko skończy, to będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

— Jak to się skończy?! Kiedy?!

— Kiedy Cesarzowa wycofa Gwardię.

— Aha.

Ręce mi opadły.

Do pokoju wrócił Loioosh i wylądował na moim ramieniu.

„I co? Wyjaśniliście sobie wszystko?” — spytałem.

„Praktycznie tak. Przez parę dni nie będę za dobrze latał, bo mnie złapała za prawe skrzydło, ale ona będzie chodziła pieszo przez ten czas.”

„Rozumiem.”

„Nie ma się czym martwić.”

„Aha.”

Wstałem i wyszedłem.

Minąłem Cawti, ale nie dotknąłem jej. Kelly, Gregor i paru innych rozmawiali w sąsiednim pokoju. Żaden na mnie nie spojrział. Ja na nich też. Zatrzymałem się na progu i rozejrzałem uważnie. Nie dostrzegłem niczego podejrzanego, ale i tak teleportowałem się do domu. Chwilowo Kragar dawał sobie radę, a ja musiałem zbyt dużo spraw przemyśleć.

Schody wydały mi się strasznie strome i długie, ale jakoś je pokonałem mimo ołowianych nóg. Kiedy dotarłem do salonu, padłem na sofę i długi czas patrzyłem przed siebie niewidzącym wzrokiem. Pomyślałem w końcu, że trzeba by posprzątać, ale nie miałem na to dość energii.

Loiosh spytał, czy nie chcę iść do teatru.

Nie chciałem.

Potem zebrałem się w sobie i przez kilka godzin ostrzyłem rapier — wszystko wskazywało na to, że będę go wkrótce potrzebował. Potem pogapiłem się w sufit, ale jakoś nie spadł stamtąd żaden genialny pomysł.

W końcu wstałem, wybrałem tomik poezji Winta i otworzyłem na przypadkowej stronie. Wiersz miał tytuł: „Zasypany”.

„... Czyżbym po nic za cię krwawił,
Pokonując moce wielkie?

Krew mą i pola gdzie żem bawił,
Zasypało kwiecie wszelkie...”

Przeczytałem do końca i rozejrzałem się. Rzeczywiście mogłem się mylić, ale ryzyko było zbyt duże, a to, czy miałem rację czy nie, wyjaśni się zbyt późno.

Rozdział szesnasty

„... oraz zeszyć rozcięcie z lewej strony.”

Obudziłem się w fotelu z książką na kolanach. Czułem się ścierpnięty, co jest normalne, kiedy się śpi w fotelu. Przeciągnąłem się, wziąłem kąpiel i ubrałem się. Był wczesny ranek. Usmażyłem parę jajek, ukroiłem chleba zrobionego jeszcze przez Cawti i posmarowałem go czosnkowym masłem. Taki zestaw był najlepszy. Do tego świeża klawa. Potem zmyłem naczynia i posprzątałem — kiedy skończyłem, byłem prawie gotów do działania.

Napisałem kilka zwięzłych listów do różnych osób, wyjaśniłem, co mają zrobić na wypadek mojego trwałego zejścia, i zająłem się myśleniem. Nienawidzę, zawsze zresztą nienawidziłem zmieniać planów w ostatniej chwili, ale tym razem nie było wyjścia. Cawti okazała się bardziej uparta od muła pancernego i nie byłem w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa tak, jak obmyśliłem. Na dodatek istniała możliwość, że nie uda mi się tak pokierować wydarzeniami, by wszyscy się powyrzynali. Należało wprowadzić poprawki do planu, co też zrobiłem po dokładnym przeanalizowaniu wydarzeń z paru ostatnich dni. Tak na wszelki wypadek postanowiłem jeszcze wciągnąć w to wszystko dziadka — problem polegał na tym, by nie pokazał się na miejscu, jak długo będzie trwało zamieszanie...

Znalazłem i na to sposób, sprawdziłem, czy rzecz jako całość jest wykonalna. Była.

Skontaktowałem się z Kragarem:

„Kto?” — spytał zwięźle.

„Ja” — odparłem równie zwięźle.

„O co chodzi?”

„Możesz się skontaktować z Ishtvanem?”

„Mogę.”

„To daj mu nowy adres Kelly’ego i powiedz, żeby czekał tam po południu.

I ma się nie rzucać w oczy.”

„Dobra. Coś jeszcze?”

„Owszem... ” — i podałem mu resztę instrukcji.

„Myślisz, że da się nabrać, Vlad?”

„Nie wiem. Ale to prawdopodobne. No i najlepsze, co zdołałem wymyślić.”

„Jasne.”

Potem sprawdziłem rapier i zrobiłem małą rozgrzewkę. A potem starannie sprawdziłem resztę broni. W końcu skoncentrowałem się i teleportowałem.

Jeżeli nie popełniłem poważnego błędu, to dziś wszystko powinno się rozstrzygnąć.

* * *

Po ulicach Południowej Adrilankhi wiał przenikliwy wiatr. Nie był przeraźliwie zimny, ale było w nim coś dojmującego i niósł ze sobą sporo kurzu. Zdołał całkiem skutecznie powiewać nawet moją peleryną, a przy jej obciążeniu jest to osiągnięcie. Dlatego gdy dotarłem do siedziby Kelly’ego, wybrałem miejsce dające gorszy widok, ale lepszą osłonę, i czekałem.

Gwardziści patrolowali po czterech, próbując zachować porządek tam, gdzie nie było zamieszek, i tym razem to Smoki były niezadowolone, bo znudzone. Teckle paradowali po ulicach zadowoleni z tego, że są ważni. I to właśnie oni najczęściej trzymali dłonie na rękojeściach broni.

Z łatwością dało się natomiast rozróżnić polityczne zapatrywania przechodniów — ci, którzy szli szybkim krokiem, mieli to wszystko gdzieś i spieszyli załatwić swoje sprawy. Ci, którzy się snuli, najczęściej z dumnie uniesionymi głowami, bezwzględnie byli nią głęboko zainteresowani i czekali, aż coś się zacznie dziać. Najgorsze dla nich byłoby, gdyby się zaczęło, a oni by tego nie widzieli.

Ishtvan prawdopodobnie też już gdzieś tu był, ale go nie dostrzegłem. Quaysh pewnie też. Quaysh wiedział, że o nim wiem, ale miałem nadzieję, że nie domyśli się istnienia Ishtvana.

Z nudów skonsultowałem się z Kragarem:

„Wydarzyło się coś ciekawego?”

„Nie. Ishtvan jest na miejscu.”

„Doskonale. Ja też. Wyślij wiadomość.”

„Jesteś pewien?”

„Jestem. Drugi raz może mi zabraknąć nerwów.”

„Dobra. Co z adeptką?”

„Wyślij ją do apteki naprzeciwko budynku Kelly’ego i każ jej czekać. Znamnie?”

„Nie, ale łatwo cię opisać. Dopilnuję, by cię rozpoznała.”

„Dobra. No to do dzieła.”

„Się robi, Vlad.”
Teraz już nie mogłem się wycofać.
Herth otrzyma krótką wiadomość:

„Jestem gotów na kompromis, jeżeli załatwisz usunięcie Gwardii. Nie mogę opuścić mieszkania. Możesz przybyć, kiedy ci odpowiada.
Kelly”

Siła była słabością — możliwość fałszu była zbyt oczywista, by ktokolwiek ją podejrzewał. Kelly i Herth nie znali się na tyle dobrze, by móc porozumiewać się telepatycznie, dlatego wiadomość pisana była prawdopodobna. A jej treść pasowała do opinii, jaką Herth miał o Kellym: niżej było już tylko gówno. Żeby się udało, Herth musi być przekonany, że Kelly obawia się Gwardii; ponieważ jako Jhereg sam się jej bał, nie powinno z tym być problemów. I wątpiłem, by podejrzewał, iż Kelly wie, jakie zagrożenie stanowi Gwardia dla każdego z Domu Jherega.

Mój plan mógł się nie powieść, gdyby: Herth nie zjawił się osobiście, miał zbyt liczną ochronę lub podjął dodatkowe środki ostrożności, których nie przewidywałem. W innym wypadku powinno się udać.

Adeptka Lewej Ręki zjawiła się, nim cokolwiek zaczęło się dziać. Była wysoka, miała czarne, kręcone włosy i nieco podobne do sówich rysy, co wskazywałoby na domieszkę genów Domu Athiry. Weszła do apteki, a ja podążyłem ostrożnie w ślad za nią.

Dostrzegła mnie, gdy wszedłem, i spytała:

— Lord Taltos?

Przytaknąłem.

Wskazała na budynek, w którym mieszkał Kelly.

— Chce pan, bym założyła blokadę uniemożliwiającą teleportację z tego budynku. Czy to wszystko?

— Tak.

— Kiedy?

Wyjąłem drobną monetę, skoncentrowałem się przez moment i podałem jej.

— Kiedy zrobi się ciepła.

— Doskonale.

Wyszedłem, także zachowując wszelkie środki ostrożności, i wróciłem na miejsce.

Po kilku minutach pojawił się Dragaerianin w barwach Domu Jherega i wszedł do budynku.

Westchnąłem.

„Dobra, Loiosh: czas na ciebie.”

„Jesteś pewny?”

„Jestem.”

„Dobra, szefie. Powodzenia.”

I odleciał.

A to równocześnie wyznaczyło granicę czasową, w której musiałem się zmieścić. Krwawa część, jak oceniałem, powinna być zakończona w ciągu maksymalnie pół godziny. Odruchowo pomacałem rapier i Spellbreakera, ale pozostawiłem je na miejscu i wcisnąłem się głębiej w cień.

Nie wiedziałem, co działo się w mieszkaniu, ale bez większego trudu mogłem to sobie wyobrazić. Posłaniec był od Hertha i przekazał co miał — czyli coś w stylu: „Herth się zgadza” albo „Herth jest w drodze”. Ani on, ani Kelly nie wiedzieli, o co chodzi, więc...

Natalia i Paresh opuścili budynek i rozeszli się w przeciwnie strony.

Kelly posłał po pomoc. Po kogo? Po masy naturalnie, wychodząc z założenia, że w kupie ciepłej i kupy nikt nie ruszy. Mój pierwotny plan zakładał zawiadomienie o wszystkim Gwardii i podziwianie, jak się wszyscy wezmą za łby i powyrzynają. Tyle że teraz był nieskuteczny, bo Cawti mógłbym jedynie wynieść nieprzytomną — wyprowadzić za nic by się nie dała, więc otwarte starcie przestało wchodzić w grę.

Pojawiło się czterech silnorękich w szarości i czerni. Dwóch zostało przed wejściem, dwóch weszło, by sprawdzić wewnątrz. Ci na zewnątrz rozglądali się, szukając takich jak ja. Nie znaleźli nikogo, bowiem pozostali spokojni i nie wezwali posiłków. A w okolicy kryliśmy się na pewno my z Ishtvanem, a najprawdopodobniej także i Quaysh. Stanowiło to dla mnie dobrą lekcję, jak łatwo jest się ukryć i równocześnie jak trudno jest kogoś kryjącego się zauważyć.

Dokładnie siedem minut później pojawili się: Herth, Bajinok i trzech ochro-niarzy. Weszli do budynku a ja skoncentrowałem się na prostym użyciu magii, moneta w dłoni adeptki czekającej w aptece rozgrzała się, a w sekundę później budynek został objęty blokadą teleportacyjną.

W samą porę — na ulicy zaczęli zbierać się ludzie, a tu i ówdzie także Tec-kle. Jeden z obstawy wszedł, pewnie by o tym powiadomić, i po chwili wyszedł. A po przeciwnej stronie ulicy zaczęła zbierać się Gwardia.

I w ciągu pięciu minut miałem powtórkę wydarzeń sprzed paru dni — z jednej strony z dwustu uzbrojonych ludzi, z drugiej osiemdziesięciu Gwardzistów. Konfrontacja dzięki uprzejmości baroneta Taltosa.

Tyle że mnie na niej zupełnie nie zależało. Gdyby Cawti była bezpieczna, zabiłbym Hertha, Ishtvan zabiłby Quaysha, a gwardziści Kelly’ego i pozostałych. Ponieważ Cawti nie była bezpieczna, nie zawiadomiłem Gwardii. A takim piorunem się łajzy zjawily, żeby ich pokręciło!

Cóż, czas było przestać leniuchować. Herth musiał się już zorientować, że wpadł w zasadzkę — wiadomość nie pochodziła od Kelly'ego, a z budynku nie mógł się teleportować. Domyślił się też, że czekam na ulicy, by go zabić. Miał trzy wyjścia: przeczekać, ryzykować życie, wiedząc o obecności Gwardii, i liczyć, że nie odważy się na atak, lub wezwać większą ochronę i liczyć, że gwardziści go zignorują, gdy będzie wychodził, by teleportować się z ulicy. Musiał się nieźle pocić.

Zanim przystąpiłem do działania, zauważyłem jeszcze coś. Gwardią dowodził stary Dragaerianin pod złocistą peleryną mający biel i złoto Domu Tiassy. Po pani porucznik śladu nie było, za to przeważającą część gwardzistów stanowiły Smoki. Oficer był weteranem — to było widać po rozmaitych drobnych szczegółach, a zwłaszcza po spokoju, z jakim czekał. Gdyby był człowiekiem, miałby pewnie sumiastego węża, tak zamiast go kręcić, drapał się czasem po nosie. I to były jedyne ruchy. Szpadę miał długą, lecz lekką, co sugerowało doświadczonego szermierza, z którym wolałbym się nie zmierzyć. A potem dotarło do mnie, że Gwardią Feniksa dowodzi właśnie stary Tiassa. Czyli że mam przed sobą najprawdopodobniej brygadiera, lorda Khaavrena we własnej osobie.

Byłem pod wrażeniem, i to nie tylko z jednego względu. Jego obecność oraz skład osobowy jego oddziału oznaczały jedno — teraz nie będzie niezdecydowania i żadne tam ulotki na nic się nie przydadzą. Jeżeli otrzyma rozkaz od Cesarzowej lub sam uzna to za stosowne, stojący naprzeciwko tłum nie musi zrobić nic, by zostać wyrżnięty w pień.

Z budynku wyszli Gregor i Paresh i zaczęli cicho rozmawiać z ludźmi na ulicy, pewnie nawołując do utrzymania spokoju. A ja zamknąłem oczy i skoncentrowałem się. Przypomniałem sobie rozbitą miskę na podłodze, ale zignorowałem ją — mogli posprzątać. Za to zacieku czerwonego koloru na podłodze nie ruszyli, bo wżarł się w drewno... potem przypomniałem sobie schody prowadzące do piwnicy, sufit o popękanej farbie i zwisającą z niego linę o postrzępionym końcu, z której kiedyś pewnie zwisała jakaś lampa. Jej grubość przypominająca wyłysiały pędzel, zakończenie i warstwę kurzu... wzór materiału zasłony u wejścia do piwnicy — ohydne brązowo-bure zygzaki na granatowym tle przetykane czymś, co mogło kiedyś być zielenią. I powietrze — zastarzałe, pełne kurzu... prawie że je poczułem.

Zdecydowałem, że wystarczy, zaczerpnąłem energii z Kuli i ukształtowałem ją tak, by odpowiadała obrazowi, który miałem w pamięci. Potem skrzyłem ją, świat fiknął kozła i otworzyłem oczy.

Stałem w korytarzu za zasłonką w upiorny wzorek i choć nie wyglądał on idealnie tak, jak go sobie wyobraziłem, znajdowałem się dokładnie tam, gdzie chciałem. Ponieważ zakładałem, że w korytarzu będą ochroniarze, starałem się zachowywać jak najciszej. Biorąc pod uwagę, że mój żołądek robił, co mógł, by zwrócić zawartość, nie było to łatwe. Najważniejsze, że się udało. Kiedy dosze-

dłem do siebie, wyrząłem przez szpary w zasłonie. Rzeczywiście — w korytarzu stał jeden, ale ponieważ tkwił tu już sporo czasu, a nic się nie działo, tak jak się spodziewałem, nie był specjalnie czujny. W drugiej części korytarza prowadzącej do tylnego wejścia nie zauważyłem nikogo. Co nie znaczyło, że ich tam nie było. Mogli (lub mógł) stać przed drzwiami albo w samym wejściu. Musiałem być przygotowany na ich obecność.

Nasłuchiwałem uważnie — rozróżniłem głos perorującego Hertha, a więc był tam, gdzie chciałem. Miałem dwie możliwości — usunąć po cichu tego w korytarzu i ewentualnie drugiego i poczekać, aż ktoś się tym zainteresuje, po czym jego też załatwić, ale prawdę mówiąc, wątpiłem, by udało mi się to osiągnąć bez hałasu. Poza tym nie wiedziałem, czy Herth nie zaryzykuje wyjścia, ewentualnie kiedy ściągnie posiłki.

Stąd też pozostało tylko to, na co byłem przygotowany od wczoraj. Co nie zmieniało faktu, że było to głupie i samobójcze. Ponieważ miałem wszystkiego dość, a na swoją śmierć byłem przygotowany od paru ładnych dni, wybrałem świadomie to rozwiązanie. Tylko ono bowiem dawało szansę usunięcia Hertha.

Doszedłem do wniosku, że czas najwyższy, i wydobyłem dwa cienkie i nadzwyczaj ostre noże do rzucania. Trzymając ręce opuszczone wzdłuż ciała, by noże nie rzucały się w oczy, wyszedłem na korytarz i ruszyłem miarowym krokiem ku ochroniarzowi. Uśmiechając się przy tym beztrąsko.

Zauważył mnie oczywiście natychmiast. I zgłupiał. Nie wiem, czy przez uśmiech, czy też z powodu mojego zachowania, ale tylko gapił się na mnie — ani nie sięgnął po broń, ani nie podniósł alarmu. A ja w tym czasie przeszedłem spokojnie te dziesięć dzielących nas kroków. A potem znalazłem się obok niego i był mój. Pchnąłem go w brzuch, co jest najskuteczniejszą metodą całkowitego wyłączenia kogoś z walki bez zabijania go. A ja nie chciałem zabijać tych, którzy tylko robili to, za co im płacono. Chyba że musiałem. Nim zdążył znieruchomieć na podłodze, miałem w dłoni nóż wyjęty zza cholewy prawego buta nadający się tak do rzutu, jak i do pchnięcia czy cięcia. Wszedłem do pokoju.

Wewnątrz znajdowało się dwóch ochroniarzy w pobliżu drzwi, trzeci obok Hertha, Herth, posłaniec i Bajinok. Oraz Kelly, Cawti stojąca obok niego, Gregor, Paresh, trzech ludzi i Teckla. Cawti dostrzegła mnie natychmiast, podobnie jak najbliższy Hertha ochroniarz. Szybki był — już miał w garści nóż i gotów był do rzutu. I padł z moim nożem w sercu. Padając, zdążył rzucić, ale brak mu już było siły i koordynacji — uskoczyłem i nóż drasnął mnie jedynie w dłoń. W tym czasie Herth zamilkł, Bajinok zasłonił go, a stojący najbliżej drzwi ochroniarze sięgnęli po broń. Zakląłem, wyciągnąłem shurikeny i skoczyłem w głąb pokoju.

Byłem szybszy, niż się spodziewałem — obaj przy drzwiach zdążyli wyjąć broń, ale nie zdążyli jej użyć; zostali trafieni, każdy shurikenem o ostrzach okrytych środkiem paralizującym mięśnie. Padli, próbowali wstać, dostali po nożu każdy i padli na dobre. A ja zdążyłem dobyć rapier (prawą ręką) i sztylet (lewą).

Bajinok zaś wyjął skądś lepipa zwanego łamigłówką — paskudną broń, bo mógł nią złamać klingę mojego rapiera. Zza jego ramienia wyglądał Herth. Jeszcze nie dobył broni — może zresztą jej nie miał. Nie wiem, nie mój problem. Unikałem ciosu łamigłówką, odskakując, i zaatakowałem. Pierwsze moje pchnięcie trafiło go albo w serce, albo w jego bezpośrednie sąsiedztwo, bo padł jak ścięty. Spojrzałem na posłańca poprzednio siedzącego na krześle — miał w dłoni sztylet i prawie zdążył wstać. Widząc rozwój wydarzeń, upuścił sztylet i usiadł, trzymając puste dłonie na widoku i z daleka od ciała.

Od mego wejścia do pokoju nie minęło dziesięć sekund. Trzech ochroniarzy leżało martwych albo wyłączonych z walki (nie licząc czwartego na korytarzu). Bajinok był martwy lub umierający, a ostatni podwładny Hertha jednoznacznie zadeklarował, że nie weźmie udziału w walce. Nie wierzyłem, że się udało.

Herth też nie.

— Czym ty jesteś? — wychrypiał słabo.

Wsunąłem rapier do pochwy i przełożyłem sztylet do prawej ręki. Nie odpowiedziałem, bo pytanie było głupie, a z celami nie gadam. Usłyszałem za plecami szelest i zobaczyłem, jak oczy Cawti okrągłają. Rzuciłem się w bok, przetoczyłem i zerwałem, zamierając w przysiadzie.

Na podłodze leżał kolejny nieboszczyk — tym razem nie mojej produkcji. Zauważyłem, że Cawti ma w dłoni nóż i że Herth nie poruszył się. Ostrożnie, ale szybko sprawdziłem, czy nieboszczyk jest nim całkowicie czy częściowo.

Był całkowicie.

I był to Quaysh. Z tyłu jego głowy wystawało krótkie, stalowe dłuto. Będę musiał spytać Ishtvana, jak je tam tak szybko i cicho umieścił.

Wstałem, odwróciłem się i poleciłem posłańcowi:

— Wyjdź i powiedz tym dwóm przed wejściem, że jeśli spróbują tu wejść, mój wspólnik ich zabije.

Mógł się zastanawiać, dlaczego w takim razie nie zabiliśmy ich od razu. Nie zadawał jednak głupich pytań i grzecznie wyszedł.

A ja podszedłem do Hertha, unosząc sztylet.

Co prawda wolałbym nie robić tego przy świadkach, zwłaszcza tyłu, ale cóż... druga okazja mogła się nie trafić, a ja potrzebowałem go martwego.

Nagle Kelly powiedział:

— Poczekaj.

Znieruchomiałem głównie z czystego zaskoczenia.

— Coś ty powiedział? — spytałem, nie wierząc własnym uszom.

— Nie zabijaj go.

— Odbiło ci do reszty?!

Herth miał twarz pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

— Mówię poważnie.

— Tak?!

— Nie zabijaj go.

Zrobiłem krok w tył, przyjrzałem się Kelly'emu i spytałem:

— Dlaczego?

— On jest naszym wrogiem. Walczymy z nim od lat i znamy jego metody. Nie potrzebujemy, żebyś się wtrącał i załatwiał to za nas. A przede wszystkim niepotrzebne nam śledztwo w sprawie jego śmierci. Obojętne, czy prowadzone przez Imperium, czy Dom Jherega.

Uśmiechnąłem się.

— Może trudno ci będzie w to uwierzyć, Kelly, ale głównie mnie obchodzi, czego chcesz, a czego nie chcesz. Gwoli wyjaśnienia: jeśli go nie zabiję, to jestem trupem. Myślałem, że i tak jestem, ale udało się bardziej niż się spodziewałem, więc może przeżyję. I nie będę marnował okazji, bo...

I w tym momencie mnie olśniło.

Był to załazek tak zwariowanego pomysłu, że z najwyższym trudem nie parsknąłem śmiechem. Ale to się mogło udać... żeby się udało, musiałem parę spraw przemyśleć, więc należało pozwolić się przekonywać.

— W najlepszym przypadku po prostu poczeka.

— Może — przyznał Kelly.

— A skąd ty tyle wiesz o jego sytuacji?

— W naszym interesie leży wiedzieć jak najwięcej o tym, co nas dotyczy. Walczymy z nim w taki czy inny sposób od lat, więc zebraliśmy sporo danych.

To się rzeczywiście mogło udać, tylko Kelly powinien być przekonany, że to jego zasługa, a na Hertcie musiałem wymusić jedną rzecz. Może też Cawti...

— Nadal mi nie powiedziałeś, dlaczego mam pozwolić mu żyć.

Kelly zmrużył czy i rozgadał się jak chciałem:

— Wiesz, że jesteś chodzącą sprzecznością? Wywodzisz się stąd i jesteś człowiekiem, a całe życie próbujesz temu zaprzeczyć. Przejąłeś punkt widzenia i maniry elfów i robisz, co możesz, żeby zostać arystokratą. Momentami nawet mówisz jak oni. A twoim celem wcale nie są pieniądze, lecz władza, bo to arystokracja ceni najbardziej. A mimo to nosisz węża i identyfikujesz się z ludźmi do tego stopnia, że żadnego nie zabiłeś. Odmówiłeś także, gdy zaproponowano ci zamordowanie Franza. Teraz możesz wybrać. Nie czy pozostaniesz zabójcą, czy zmienisz fach. O tym nie rozmawiamy; mówię ci tylko, że w interesie ludzi leży, żebyś go nie zabijał.

Ładnie mówił. I trochę nawet zgodnie z prawdą. Tak przy okazji zdałem sobie sprawę, że Paresh, Sheryl i Natalia mówili mi to samo, tylko w głupi sposób. Niewiele mnie to obeszło wtedy i teraz, ale faktem jest, że mało kto miał okazję świadomie wybrać stronę, po której chciał się opowiedzieć. Cawti wybrała. Ja też, a teraz był równie dobry moment jak każdy inny, by jej o tym powiedzieć; To, że nie byliśmy sami, akurat nie miało znaczenia.

— Chciałabyś, żebym do was dołączył, ale nie mogę i nie chcę.

Nic nie powiedziała, więc dodałem:

— Pewnie jestem zbyt wielkim egoistą. Chciałbym coś zrobić dla dobra ludzkości, ale coś sensownego, a może zresztą wiem, że nie potrafię i tylko sam się oszukuję. Teraz wreszcie wiemy, na czym stoimy: nie zmienię ani siebie, ani ciebie.

Ponieważ nadal panowała cisza, spojrzałem na Kelly'ego i wygarnąłem mu spokojnie, korzystając z okazji:

— Pewnie nigdy do ciebie nie dotrze, jak cię nienawidzę. Jesteś dobry w tym, co robisz, ale zapamiętaj sobie: według mnie twoja rewolta zakończy się masakrą ludzi. Jeśli tak będzie i jeśli elfy cię nie zabiją, to ja to zrobię. I zapamiętaj jeszcze coś: odebrałeś mi Cawti i doprowadziłeś do tego, że dużo straciłem w jej oczach. Takich rzeczy się nie zapomina i nie wybacza.

Tak go zaskoczyłem, że przez moment był prawie człowiekiem.

— Zrobiłem to? Nie miałem takiego zamiaru, wszyscy robimy to, co musimy. Każda decyzja, którą podejmujemy, oparta jest o kryterium niezbędności. Jesteś pewien, że to ja?

— Nie przeginaj. Słyszałeś, co powiedziałem: żyjesz na kredyt.

Odwrociłem się do Hertha — teraz był idealny moment, tylko należało nad sobą panować.

— Ciebie nienawidzę najbardziej ze wszystkich — w moim głosie brzmiała czysta nienawiść. — Nigdy nikogo tak nie nienawidziłem. Przekroczyłeś granicę interesów, sprawa stała się osobista. Zanim cię zabiję, mam zamiar cię torturować, co sprawi mi największą przyjemność.

Nadal nawet mięsień nie drgnął w jego twarzy — zaczynało mnie to wściekać. Patrząc na jego nieruchomą gębę, prawie się zapomniałem. Mimo tego co mi przyszło do głowy, nadal pragnąłem go zabić własnoręcznie, i to powoli. Złapałem go za gardło i rzuciłem na ścianę. Sztylet przysunąłem pod jego oko i oznajmiłem zduszonym głosem:

— Słuchaj, ścierwo: ci tu chcą, żebyś żył. Niech będzie moja krzywda, nie zabiję cię teraz. Dasz mi jednak słowo, że przez dwa dni nie naślesz na mnie nikogo. Mam dla ciebie pewną propozycję. Usłyszysz o niej w ciągu tych dwóch dni. No?!

— Nie naślę nikogo na ciebie przez dwa dni.

Potrząsnąłem głową. Nie bardzo mu wierzyłem, ale skoro zdecydowałem się na wariactwo, trzeba było ryzykować. ..

— Wracam do domu, Cawti. Wracasz ze mną? — spytałem prawie normalnym głosem.

Spojrzała na mnie smętnie.

Odwrociłem się.

W tym momencie od drzwi dobiegł głośny szcęk stali i do pokoju wleciała ciężka szpada, która z łoskotem wylądowała na podłodze. Zaraz potem do pokoju

wszedł tyłem jeden z pilnujących głównego wejścia. Do jego gardła przytknięty był rapier, który trzymał mój dziadek. Na jego ramieniu siedział Ambrus, a nad jego głową krążył Loiosh.

— Noish-pa!

— Chciałeś się ze mną zobaczyć?

— W pewnym sensie — znów omal się nie roześmiałem.

Prawdę mówiąc, zapomniałem, że poprosiłem, by przyszedł.

— Witam, panie Taltos — odezwał się uprzejmie Kelly.

Wymienili płytkie ukłony.

— Poczekajcie tu — poleciłem, nie adresując tego do nikogo konkretnego.

I wyszedłem, żeby się uspokoić. Zraniony przeze mnie nadal leżał i trzymał się za brzuch, tyle że teraz jęczał, a tymczasem zdołał wyjąć z ciała nóż. W obu jego nogach i rękach oraz w ramieniu znajdowały się rany po pchnięciach. Jak znam rękodzieło dziadka, były niewielkie, głębokie i bolesne jak cholera. Po posłańcu nigdzie nie było śladu. Ostrożnie wyszedłem na ulicę — ludzie i gwardziści nadal stali naprzeciw siebie, tyle że jednych i drugich było znacznie więcej.

Przeszedłem środkiem ulicy, kierując się ku dowódcy.

Stanąłem przed nim, skłoniłem się i spytałem:

— Lord Khaavren?

Spojrzał na mnie i twarz mu stężała. Kiwnął głową potakująco.

— Chciałem tylko powiedzieć, że nie będzie żadnych kłopotów. Ludzie wkrótce się rozejdą. To była pomyłka.

Przyjrzał mi się przez moment, jakbym był wroną, po czym przeniósł gdzieś wzrok. Przynajmniej nie patrzył na mnie jak na martwą wronę.

Odwróciłem się i poszedłem do apteki.

Odszukałem adeptkę i poinformowałem ją:

— Możesz zdjąć blokadę. A jeśli chcesz zarobić dodatkowo to wkrótce wyjdzie z budynku Herth z rannymi. Sądzę, że dobrze zapłaci za teleport do domu.

— Dziękuję, lordzie Taltos. To była przyjemność pracować z panem.

Pożegnałem ją ukłonem i wróciłem do budynku.

Jednak nim tam dotarłem, na ulicę wyszli Herth i ci z jego podwładnych, którzy mogli chodzić. Herth nawet na mnie nie spojrzał, gdy go mijałem. Wchodząc, dostrzegłem, że adeptka podeszła do niego.

W pokoju nie było ani Cawti, ani mojego dziadka.

Był za to Loiosh.

„Są w gabinecie Kelly’ego” — poinformował mnie.

„Też dobrze.”

„Dlaczego mnie wystawiłeś, zamiast skontaktować się z nim telepatycznie?”

„Dziadek uważa, że telepatii należy używać tylko w nagłych wypadkach.”

„A to nie był nagły wypadek?!”

„To był zaplanowany wypadek. A poza tym nie chciałem, żebyś był obecny, gdy będę robił coś głupiego.”

„I co? Zrobiłeś!”

„Owszem. I nawet mi się udało.”

„To znaczy, że wszystko wróciło do normy?”

„Nie. Ale na Cawti nie mam żadnego wpływu. Dziadek był potrzebny, gdybym nie przeżył: ktoś jednak powinien się nią opiekować.”

„A co z Herthem?”

„Obiecał przy świadkach, że przez dwa dni nikogo na mnie nie naśle.”

„Wierzysz mu?”

„Raczej tak, bo mam dla niego pewną propozycję.”

„Jaką?”

„Zobaczysz.”

Rozdział siedemnasty

„I chusteczka — wyprać i wyprasować.”

Następnego dnia otrzymałem wiadomość, że Gwardia została wycofana do koszar. Cawti nie pokazała się, ale prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że to zrobi.

Poszedłem się przejść, żeby sprawdzić słowność Hertha. Na wszelki wypadek w pogotowiu czekała w biurze wzmocniona ochrona gotowa zareagować na pierwszy sygnał. Bezpieczny (w miarę) spacer sprawił mi dużą przyjemność. Zaszedłem do paru lokali, których normalnie nie odwiedzam, i zjadłem całkiem dobry posiłek.

Kiedy przechodziłem obok wieszca, nabrałem nagle ochoty, by tam wejść, ale opanowałem się. Spacer upłynął bez żadnych incydentów, a ja przemyślałem sobie wszystko na spokojnie. I wyszło mi, że choć wariacki, pomysł w sumie ma sens. Zwłaszcza z punktu widzenia Hertha. O tym, że i tak go zabiję, tylko później, nie musiał wiedzieć.

Wieczorem przedstawiłem Herthowi propozycję.

* * *

Dwa dni później siedziałem w biurze, zajmując się sprawami codziennymi i tymi, które pojawiły się w ciągu ostatnich paru tygodni, gdy w drzwiach pojawił się Melestav.

— No? — spytałem zachęcająco.

— Przybył posłaniec od Hertha.

— Tak? I co powiedział?

— Powiedział „Tak” i że pan wie, o co chodzi. Czeka na odpowiedź.

— A więc jednak! — ucieszyłem się. — Tak, wiem, o co chodzi.

— Jaka będzie odpowiedź?

— Odpowiedzi nie będzie, za to idź do skarbcza i weź pięćdziesiąt tysięcy imperiali.

— Pięćdziesiąt tysięcy?!

— Tak.

— Ale... jasne. I co mam z nimi zrobić?

— Przekazać posłańcowi. Zorganizuj mu też odpowiednią eskortę i dopilnuj, żeby gotówka dotarła do Hertha.

— Dobrze, szefie. Jak pan sobie życzy.

— A potem przyjdź tu. I przyślij Kragara.

— Dobra, szefie.

Melestav wyszedł.

— Już tu jestem — rozległo się z fotela przy drzwiach.

— To dobrze.

— Co się porobiło? — zaciekał się Kragar.

— To czego chcieliśmy. Prostytycję i wymuszenia zamykamy. Hazard, paserów i całą resztę porządkujemy. Czy otworzymy burdele, przyszłość pokaże.

— Chcesz mi powiedzieć, że się udało?

— Właśnie kupiłem całą Południową Adrilankę.

* * *

Do domu wróciłem późno. Znalazłem Cawti śpiącą na sofce. Włosy miała rozsypane, a kości policzkowe wyraźnie widoczne w świetle jednej palącej się lampy. Marszczyła brwi, jakby zdziwiona czymś, co opowiadał jej sen. Nadal była piękna i dumna.

I bolało mnie, gdy na nią patrzyłem.

Potrząsałem ją łagodnie za ramię. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się słabo i usiadła.

— Witaj, Vlad.

Też usiadłem obok, ale nie za blisko.

— Witaj.

Przetarła oczy i po paru chwilach powiedziała:

— Miałam długą rozmowę z twoim dziadkiem. Myślę, że tego właśnie chciałeś. Prawda?

— Nie bylibyśmy w stanie spokojnie porozmawiać. Miałem nadzieję, że on znajdzie sposób, by powiedzieć ci to, czego ja nie miałem szansy.

Pokiwiała głową.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć? — spytałem.

— Nie jestem pewna... to, co ci wtedy powiedziałam, dlaczego jesteś nie-
szczęśliwy, to nadal jest prawda... tak myślę.

— Rozumiem.

— I myślę, że nadal będę pracowała z Kellym, bo to słuszne.

— Jak chcesz.

— Ale to nie jest cała odpowiedź... i nie na wszystkie pytania. Kiedy zdecy-
dowałam się zacząć tam działać, myślałam, że to rozwiązuje wszystko, i nie po-
traktowałam cię właściwie. Przepraszam. Dopiero teraz dotarło do mnie, że reszta
świata nie przestała żyć tylko dlatego, że ja zajęłam się czymś nowym. Pracuję
z Kellym, bo uważam to za swój obowiązek, ale moje obowiązki na tym się nie
kończą. Mam także zobowiązania względem ciebie.

Ponieważ umilkła na dłużej, jak się okazało, powiedziałem w końcu:

— Nie chcę, żebyś wróciła tylko dlatego, że uważasz to za swój obowiązek.

Westchnęła.

— Rozumiem, o co ci chodzi, i nie traktuję tego w ten sposób. Problem w tym,
że masz rację: powinnam była z tobą porozmawiać, gdy tylko się to zaczęło. Ale
nie mogłam się na to zdobyć... bałam się zaryzykować nas. Rozumiesz, co mam
na myśli?

Przyglądałem się jej zaskoczony — takie wytłumaczenie, przyznaję, nie przy-
szło mi do głowy. Tak dobrze się maskowała, że nie podejrzewałem, iż tak jak ja
może czuć się przestraszona i niepewna. Nie bardzo wiedziałem, co jej odpowie-
dzieć, więc powiedziałem po prostu:

— Kocham cię.

Wyciągnęła rękę i objąłem ją.

Po chwili spytałem:

— Wrócisz?

— A powinnam? Nadal musimy sporo spraw dopracować.

Przypomniał mi się ostatni zakup i zachichotałem.

— Pracy to nam akurat nie zabraknie.

— Hmm?

— Właśnie kupiłem Południową Adrilankę — oznajmiłem.

Wytrzeszczyła oczy i zamarła.

— Odkupiłeś od Hertha? — spytała po chwili.

— Odkupiłem.

Pokiwała głową.

— To rzeczywiście musimy poważnie porozmawiać.

— Też tak myślę, ale nie teraz.

— Nie teraz — zgodziła się, a po chwili dodała: — Jestem zdecydowana pra-
cować dla dobra ludzi i Teckli. I nadal nie wiem, co ty o tym sądzisz.

— Nie podoba mi się to, choć do końca jeszcze nie wiem. Nie wiem też, czy
wypali ponowne zamieszkanie razem. Wiem, że mi cię brak i że to boli.

Pokiwała głową i powiedziała:

— W takim razie wróć, jeśli chcesz, i spróbujemy wspólnie nad resztą pracować.

— Chcę.

Objęliśmy się i dla mnie było to niczym uroczystość. Miałem wrażenie, jakbym był skazańcem, którego nagle ułaskawiono.

I rzeczywiście tak się czułem. Wtedy.